

Cassie Miles

Oblicze wroga

OSOBY

Amanda Fielding - chłodna blondynka, pani prezes banku. Cierpi na częściową amnezję, trochę bezradna. Pamięta jednak pewien sekret, który jest bardzo wiele wart.

Dr David Haines - były narzeczony Amandy. Teraz jest on jedynym człowiekiem, któremu pani prezes ufa.

Bill Chessman - prezes rady nadzorczej Empire Bank. Ma więcej władzy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Harry Hoffman - strażnik, który wie stanowczo za dużo na temat unieszkodliwiania systemów alarmowych.

Elaine Montero - sprytna i bystra reporterka, która wie o napadzie więcej, niż powinna.

Stefan Phillips - adorator Amandy, który nie zna znaczenia słowa „nie”.

Jax Schaffer - boss świata przestępczego. Ucieka z więzienia, w chwili gdy trwa napad na bank.

Tracy Meyer i Carrie Lamb - zakładniczki, współtowarzyszki niedoli Amandy.

PROLOG

Pozbawiona okien sala konferencyjna Empire Bank Kolorado znajdowała się tuż koło skrytek depozytowych: wygodna lokalizacja, lecz pomieszczenie tak małe, że wywoływało napady klaustrofobii. Amanda Fielding miała wrażenie, że beżowe ściany napierają na nią ze wszystkich stron. Wydawało jej się, że przy kwadratowym laminowanym stole panuje tłok, a przecież były tam tylko dwie inne kobiety: Tracy Meyer i Carrie Lamb.

Ten dyskomfort potęgował jeszcze dodatkowo temat spotkania odbywającego się o dziewiątej rano pierwszego lipca. Mówiąc w skrócie, Tracy Meyer potrzebowała pilnie gotówki dla swojej pasierbicy, Amanda natomiast była przeciwna naruszeniu funduszu powierniczego mającej.

- Nie jestem pozbawiona serca - oznajmiła, zamykając skoroszyt.

- Wiem - powiedziała nieśmiało Tracy. - Doceniam, że znalazłaś dla mnie czas.

- To należy do moich obowiązków. - Amanda była prezesem filii Empire Bank. - Musisz spojrzeć na sprawę wielopłaszczyznowo. Twoja pasierbica ma siedem lat, powinnaś zastanowić się nad jej przyszłością. Rozumiem twoje przywiązanie do dziewczynki, ale...

- Czyżby? - Tracy wpadła jej w słowo - Nie uważam Jennifer za pasierbicę. Ona jest po prostu częścią mnie samej, jak moje własne oczy czy ręce. Wychowuję ją od czwartego roku życia. Razem zmagaliśmy się ze śmiercią jej ojca.

Łzy spływały po policzkach Tracy. Carrie Lamb ujęła ją za rękę i na ucho wyszeptała kilka kojących słów.

To ona zaproponowała to spotkanie i Amanda była zadowolona z jej obecności. Carrie Lamb pracowała jako kasjerka w banku, przyjaźniła się z Tracy, często pomagała chorowitej Jennifer nadrabiać zaległości w szkole.

Carrie w naturalny sposób okazywała wszystkim wokół serdeczność, czego Amanda zupełnie nie potrafiła. Zawsze była chłodna i nawet macierzyństwo tego nie zmieniło. Jej filozofię dałoby się podsumować w trzech słowach: „miesz się radzić”. Ciężko pracowała, by osiągnąć wytyczone cele i podobnej dyscypliny oczekiwała od innych.

Zniecierpliwiona spoglądała ponad stołem na kasztanowe loki delikatnej Tracy i na ciemne włosy poczciwej Carrie. Pomyślała, że

wygląda przy nich jak lodowata blond księżniczka, do tego wystrojona w drogi kostium od Armaniego.

- Trzymajmy się faktów, Tracy.

- Masz rację, przepraszam.

- Twój mąż, Scott, został zabity na służbie. Policja z Denver i kilka prywatnych osób wspomogło Jennifer, tworząc specjalny fundusz w wysokości około siedemdziesięciu tysięcy dolarów.

- Potrzebuję części tych pieniędzy. Musiałam rzucić pracę, żeby być przy Jennifer. Ona jest chorowita, wymaga stałej opieki.

- Co z twoim ubezpieczeniem?

- Nie pokrywa nawet kosztów leczenia, nie mówiąc już o bieżących wydatkach na życie. - Tracy otworzyła stalową kasetkę depozytową. - Mam tu wszystkie papiery. - Jestem legalną opiekunką Jennifer, dysponentką funduszu.

Tracy wyjęła z kasetki błyszczący rewolwer, a Amandzie wydało się, że beżowe ściany małego pomieszczenia zbliżyły się do siebie jeszcze bardziej.

- Boże, Tracy, po co ci broń?

- To służbowy rewolwer Scotta - wyjaśniła Tracy. Amanda zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinien skonfiskować go departament policji i czy Tracy ma pozwolenie na broń.

- Nie jest chyba naładowany?

- . Nie mam pojęcia, nawet nie wiem, jak to sprawdzić. Nie znoszę broni.

Carrie wzięła rewolwer, wprawnym ruchem wysunęła bębenek, wysypała na dłoń pięć kul i wrzuciła do kasetki.

- Teraz mamy pewność, że jest rozładowany.

- Proszę. - Tracy podsunęła Amandzie dokumenty.

- Mam kopie, wiem, co tam jest napisane. Z prawnego punktu widzenia wszystko jest w porządku. Ale jako zarządzająca tym funduszem zgłaszam sprzeciw, nie chcę, żebyś uszczuplała jego kwotę. Pieniądze mogą zostać przeznaczone w przyszłości na opłacenie college'u Jennifer, może też przydadzą się, gdy będziesz musiała załatwić małej specjalny tryb nauczania.

- Na razie nadaża z programem. Dzięki lekcjom z Carrie czyta lepiej niż jej rówieśnicy.

- Niczego nie krytykuję.

- Ton twojego głosu świadczy o czymś wręcz przeciwnym. A zatem?

Amanda, walcząc z powtórnie ogarniającym ją poczuciem klaustrofobii i przytłaczającą atmosferą napięcia, spojrzała na Carrie, oczekując od niej wsparcia. Jednak ta wzruszyła tylko ramionami na znak, że nie chce popierać żadnej ze stron. Amanda pragnęła jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

- Tracy, tu chodzi o coś więcej niż natychmiastowy dostęp do gotówki. Nim naruszysz fundusz, powinnaś zastanowić się, jak to będzie wyglądało w oczach sędziego. Dziadek Jennifer wszczął przecież starania o przyznanie mu opieki prawnej nad małą. Bliskie pokrewieństwo i bardzo dobra sytuacja materialna, to w oczach sądu warte uwagi argumenty.

- On prawie nie zna Jennifer - odparła Tracy. - Jego córka zmarła, kiedy Jennifer miała dwa lata. Przez ostatnie cztery lata spotkali się ledwie kilka razy. Nienawidził Scotta...

- Wygląda na twardego człowieka - wtrąciła się Carrie - ale chyba nie ma szans na wygraną procesu o opiekę nad dzieckiem.

- Obawiam się, że ma. - Amanda była prawnikiem i zanim przeszła do bankowości, praktykowała przez kilka lat.

- Poza tym dziadka Jennifer stać na najlepszych adwokatów.

- A mnie nie - westchnęła Tracy. - Wiem, że to będzie źle wyglądało, kiedy zacznę korzystać z funduszu.

Wreszcie się zrozumiwały.

- Musisz znaleźć jakiś inny sposób, żeby pomóc Jennifer. Stała praca, pożyczka...

Amanda nie dokończyła udzielania porad, bo ktoś zaczął szarpać za klamkę.

- Jesteśmy zajęte! - zawołała.

Kopnięte z całych sił drzwi otworzyły się z hukiem. W progu stał ubrany na czarno mężczyzna, w kominiarce, z półautomatem w dłoni.

- Wychodzić! Natychmiast!

- Co się dzieje? - spytała Tracy.

Amanda doskonale wiedziała, co się dzieje. Spełnił się jeden z jej sennych koszmarów.

- To napad.

Mężczyzna chwycił ją za ramię.

- Ty jesteś Amanda, prezes oddziału, nieprawdaż? Znasz zatem szyfr otwierający skarbiec.

Przytaknęła. To niemożliwe! Niemożliwe! Ale działa się naprawdę. To rzeczywiście był napad na Empire Bank. Boże, co stanie się z pracownikami? Co będzie z nią samą? Jeżeli zostanie ranna lub zginie, kto zaopiekuje się jej dzieckiem? Dziewięciomiesięczna Laurel Fielding była całym jej życiem, największym skarbem.

- Ruszać się! Wszystkie! - zakomenderował bandyta, wypychając Carrie za drzwi.

Fizyczne zagrożenie spowodowało szok. Amandzie zrobiło się czerwono przed oczami, nie mogła wykrztusić słowa. Musisz sobie poradzić! - przemknęło jej przez myśl. Powinna natychmiast wziąć się w garść. To jej bank. Odpowiada za obecnych tu ludzi. Z trudem schodziła po schodach.

W końcu znaleźli się na parterze. Dwóch, również zamaskowanych, bandytów krążyło między stanowiskami kasjerów. Poranni klienci banku i pracownicy leżeli bez ruchu twarzą do marmurowej podłogi. Z głowy Harry'ego Hoffmana, ochroniarza, sączyła się krew.

Modliła się, żeby żył. Wezbrała w niej wściekłość.

- Zrobię wszystko, co chcecie, tylko nie wyrządzajcie już nikomu krzywdy - zwróciła się do bandyty, usiłując opanować szcęknięcie zębów.

- Ruszaj się! Jesteś nam potrzebna do otwarcia skarbcza.

Amanda z trudem przeszła za stanowiska kasjerów. Myślała jedynie o tym, by napad skończył się, zanim jeszcze komuś stanie się krzywda. Zatrzymała się przed drzwiami do skarbcza.

- Żeby go otworzyć, potrzebny jest szyfr i dwa klucze.

- Kto ma drugi klucz?

Amanda wskazała palcem główną kasjerkę, Jane Borelli, która leżała na podłodze, trzęsąc się ze strachu i bezgłośnie szlochając. Jeden z bandytów przyskoczył do Jane i spróbował postawić ją na nogi, lecz ona kurczowo trzymała się kolumny, koło której leżała. Napastnik przymierzył się do kopniaka.

- Dość! - krzyknęła Amanda. - Nie widzisz, że jest zbyt przestraszona, żeby się ruszyć?

Carrie wystąpiła do przodu.

- Ja go wezmę.

Ukłęka koło przerażonej koleżanki i odnalazła klucz. Najwyższy z napastników wystrzelił w powietrze całą serię z automatu.

- Dość sztuczek! Otwierajcie skarbiec! Natychmiast!

Carrie i Amanda stanęły przed stalowymi drzwiami metrowej grubości. Były one automatycznie odblokowywane pomiędzy dziewiątą a piątą trzydzieści. Gdyby Amanda teraz je zamknęła, włączyłby się system uniemożliwiający dostęp do skarbcza. W środku znajdował się milion dolarów w gotówce i w obligacjach - dziś rano miał go zabrać opancerzony furgon firmy Wells Fargo. Zamykając drzwi, Amanda mogła ocalić tę sumę.

Co jednak znaczyły pieniądze wobec zagrożenia życia klientów i pracowników? Włożyła klucze, wybrała kombinację i przekreśliła zamek szyfrowy. Rozległo się charakterystyczne szczęknięcie mechanizmu. Skinęła na Carrie, która użyła drugiego klucza.

Skarbiec stanął otworem.

Jeden z bandytów pozostał na straży, dwóch weszło do środka.

Amanda, Carrie i Tracy cofnęły się i zbiły w ciasną gromadkę. Choć żadna nie wypowiedziała ani słowa, rozumiały się doskonale, za pomocą dotyku wyrażając swoje uczucia: strach, bezradność, frustrację. Tracy Meyer i Carrie Lamb być może były ostatnimi osobami, które Amanda miała okazję oglądać. Mogą tu zginąć wszystkie razem.

Amanda szybko odsunęła od siebie tę myśl. Musi przeżyć. Musi opiekować się Laurel. Ścisnęła za ramię Tracy i czuła, że wytworzyła się między nimi więź wykraczająca poza wszelkie słowa, logiczne argumenty i dyskusje o funduszu Jennifer. Do diabła z opinią sędziego! Jeżeli uda jej się ująć z życiem, załatwi sprawę po myśli Tracy.

Odwróciła głowę i spojrzała przez okno wychodzące na Speer Boulevard. Po drugiej stronie stał jakiś mężczyzna z komórką. Rozpoznała go. Co on tu robi? Dlaczego właśnie on? - przemknęła jej myśl.

- Ej, ty! - wrzasnął bandyta - Odsuń się od okna, już!

Nim wykonała rozkaz, dostrzegła coś jeszcze - wozy policyjne. Serce zabiło jej mocniej, a jednocześnie ogarnął ją potworny strach.

Bandyta również zobaczył samochody.

- Mamy towarzystwo - krzyknął do swoich kolegów.

W tej samej chwili zaczęło się coś dziać. Siwowłose klient ze zwinnością młodego chłopaka wyciągnął z kieszeni sportowej kurtki broń i trzykrotnie strzelił.

Przerażony bandyta krzyknął i też otworzył ogień. Głośne echo odbijających się rykoszetem kul i krzyki ludzi potęgowały wrażenie potwornego hałasu. Wokół unosiła się woń prochu... i śmierci.

Amanda zatkała uszy i skuliła się, usiłując chronić głowę. Wydawało się jej, że krzyki dochodzą gdzieś z bardzo daleka. Potem wszystko ucichło.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła bezwładne ciało siwowłosego mężczyzny. Miała wrażenie, że jego ręka wskazuje na nią w geście niemego oskarżenia. Krew mężczyzny kapła powoli na marmurową posadzkę.

- Boże, to moja wina.
- Nie mogłaś nic zrobić - wyszeptała Carrie.
- Ale ja muszę coś zrobić!

Trzeba coś postanowić, podjąć zdecydowane działania. Ale co powinna zrobić? Jak ich powstrzymać? Zza ściany słyhać było dzwonek telefonu i strzępy rozmowy. Zapewne bandyci rozpoczęli negocjacje z policją.

- Zamierzamy wypuścić ludzi - powiedział do Amandy jeden z bandytów.

- Ambulans. Powiedźcie policji, że potrzebny jest ambulans. Natychmiast!

- Wy trzy - wskazał na Amandę, Tracy i Carrie - odsuńcie się.

Szybko zorganizował ewakuację, zapędził mężczyzn do przenoszenia rannych - ochroniarza i uzbrojonego klienta. Pozostali klienci, jeden za drugim, opuszczali budynek.

W końcu przyszła kolej i na nie. Amanda i jej dwie towarzyszki ruszyły ku drzwiom, ku wolności.

- Wy trzy zostajecie! - rozkazał wysoki, zwałyści facet. - Potrzebujemy zakładniczek.

- Wypuście je! - poprosiła Amanda, wskazując Carrie i Tracy.
- Przykro mi, skarbie, ty jedna nam nie wystarczysz. Amanda była prezesem banku. Coś znaczyła w tym mieście.

- Wiesz, kim jestem?
- Pewnie. Zakładniczką - zadrwił bandyta.
- Musisz wypuścić te dwie kobiety - zażądała.

- Spokojnie. Chyba że chcesz być martwą zakładniczką.

Amanda odwróciła się do Tracy, opiekunki chorej siedmiolatki, która straciła już rodziców. Czemu byłam wobec niej taka nieprzejednana i ostra? - pomyślała ze smutkiem.

- Tracy, tak mi przykro.

- Rozumiem, Amando. Nie wolno dopuścić, by złodzieje skrzywdzili Tracy. Albo

Carrie. Boże, Carrie też już dostatecznie dużo w życiu wycierpiała.

- Żądam... - zaczęła. Kątem oka zobaczyła lufę automatu zbliżającą się do jej głowy. Nie zdążyła się uchylić. Usłyszała jeszcze huk w głowie, jakby jej czaszkę rozrywała potężna eksplozja. A potem zapadła ciemność...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Amanda leżała płasko na plecach, z rękami wzdłuż tułowia. Bardzo bolała ją głowa, zaciskała z całych sił powieki, nie chciała się poddać, nie chciała na zawsze rozpląnąć się w spowijającej ją mgle. Czemu tak boli? Nie pamiętała, by doznała kiedyś równie przejmującego bólu. Niczego nie pamiętała.

Zamglony umysł skojarzył jej się z nieprzyjazną pustynią - żadnej myśli, żadnego dźwięku. Tylko ona jedna, sama pod szarym niebem. Dookoła absolutna pustka, nic, z wyjątkiem odległego widnokregu.

Chciała odzyskać świadomość, odnaleźć drogę do domu, nie wiedziała jednak, gdzie ma się skierować. Ze spękanej brązowej ziemi pod stopami nie dało się odczytać żadnych śladów czy wskazówek. Którędy wiodła droga? Ruszyć w tę Stronę czy w przeciwną?

- Amando! Amando, obudź się! - usłyszała niski baryton. Brzmiał znajomo...

Westchnęła. Nie mogła się jednak poruszyć, jakiś straszny ciężar uciskał jej klatkę piersiową. Dobrze chociaż, że mogła oddychać - to już jakiś sukces.

- Obudź się. Teraz, natychmiast.

Czemu nie zostawia jej po prostu w spokoju? Wdech, wydech, znowu wdech. Ciemna zasłona zaczęła się powoli unosić.

Pod powiekami pojawiły się niewyraźne kontury błyskającego neonu. Obolały mózg nakazywał podnieść rękę, ale zdołała jedynie poruszyć palcami.

- Amando!

Gdy wreszcie z najwyższym trudem zdołała unieść powieki, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był biały sufit.

- Gdzie jestem?

- Świetnie - odpowiedział głos. - Wszystko będzie w porządku.

Łatwo mu mówić. To nie on leży nieruchomo jak kamień, bez woli i czucia. Czyżby to był szpital? Jestem w szpitalu? Powoli zaczęły do niej docierać szmery, szelesty i oddalone głosy.

Ostrożnie poruszając oczami, rozejrzała się wokół. Znajdowała się w małym, kwadratowym pomieszczeniu. Ścianę na wprost zakrywał duży kawałek białego płótna, coś jakby parawan. Wciąż miała na sobie czarną jedwabną bluzkę i spódniczkę od Armaniego. Ktoś przykrył ją żółtym pledem, rękaw bluzki podwinięty był do łokcia - w żyłę tkwiła igła od kroplówki.

Gdy czyjaś ręka dotknęła jej policzka, Amanda dostrzegła siedzącego przy łóżku mężczyznę. Krótko ostrzyżone czarne włosy, podbródek niemal przedzielony na dwoje głęboką, pionową bruzdą. Spojrzała w jego lśniące oczy, a wtedy mężczyzna uśmiechnął się. Znała te oczy. Wpatrywała się w nie z niepokojem, ale i z przyjemnością.

- David - powiedziała.

- Poznajesz mnie. To świetnie. Bałem się, że nastąpiła utrata pamięci.

- Z moją pamięcią jest wszystko w porządku - syknęła.

Co tu robi David? Był ostatnią osobą, którą chciałyby spotkać. Dlaczego właśnie on?

Owładnęło ją poczucie absurdalnej złości, spotęgowane tym, że właściwie nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego jest na niego taka wściekła.

- Davidzie, niech cię cholera!

Wolną ręką uderzyła go w twarz i opadła bezsilnie na poduszki. Ponownie zamknęła oczy.

Boże, to bez sensu. Przecież ona i ten człowiek byli zaręczeni, mieli się pobrać. To on kupił jej ten wspaniały brylant.

Dlaczego nie ma pierścionka na palcu?

Spojrzała ponownie na Davida. Jego szczeka zaczerwieniła się, ale Amanda nie czuła wyrzutów sumienia. Wiedziała, że zasłużył na policzek, nie mogła sobie tylko przypomnieć dlaczego.

- Nic się nie zmieniłaś, Amando - uśmiechnął się blado.

A jednak się zmieniła. Nie była już zakochana, nie musiała wciąż od nowa wybaczać Davidowi... Co mu właściwie wybaczała? Jakie to krępujące, nie móc sobie niczego przypomnieć.

Amanda zmrużyła oczy. David miał na sobie biały fartuch z przypiętym identyfikatorem, pod fartuchem niebieski szpitalny uniform. Z kieszeni wystawał mu stetoskop.

- Czemu jesteś tak ubrany?

- Jestem lekarzem. Na drugim roku stażu.

To nie miało żadnego sensu. Była absolutnie pewna, że, choć ukończył studia medyczne, nigdy nie odbył stażu. Jak David Haines mógłby zostać lekarzem? Przecież był nieodpowiedzialnym hulaką, którego tak naprawdę interesowało jedynie jego lśniące czarne porsche. Wspomnienia dzikich imprez i pijaństw w towarzystwie tego

faceta budziły w niej jedynie głęboki niesmak. Dlaczego właściwie się rozstali?

- Nie wzięliśmy ślubu?

- Dałaś mi kosza. Dwa razy.

Przypomniała sobie. Decyzja o zerwaniu zaręczyn nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Zresztą, teraz i tak mogła myśleć jedynie o bólu, który przeszywał jej na wylot czaszkę. To było tak dawno temu... chyba pięć lat. Tamta tragedia należała już do przeszłości.

Odwrociła głowę ku głośno pikającej maszynerii.

- Gdzie ja jestem?

- W Denver General Hospital - odparł David. - Na oddziale powypadkowym.

- Powypadkowym? Dlaczego tu jestem?

- Nie pamiętasz?

Narastał w niej opór. Instynktownie czuła, choć nie chciała się do tego przyznać, że w pamięci ma duże luki. Czy David nie powiedział, że obawia się o jej pamięć? Nie chciała tu leżeć i być badana. A już na pewno nie przez niego.

- Niektóre szczegóły pamiętam jak przez mgłę - mruknęła niewyraźnie.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem. Przez chwilę prawie uwierzyła, że to prawdziwy lekarz.

- Możesz usiąść?

- Oczywiście. Co za głupie pytanie.

Kiedy jednak usiłowała podnieść się na łokciach, pokój jak szalony zawirował jej przed oczami, straszliwy ból przeszył czaszkę.

Musisz sobie poradzić! - napominała się w duchu. Zmusiła się w końcu, by usiąść sztywno na twardym szpitalnym łóżku. Zawroty głowy przybrały na sile. Wpadła w jakiś szaleńczy wir, kręcący się z narastającą prędkością - szybciej, coraz szybciej... Nie potrafiła się z niego wyrwać. Zaraz znowu straci przytomność...

Ogarnęła ją obezwładniająca panika. Amanda nie bała się bólu, była gotowa stawić czoło kłopotliwej sytuacji, ale utrata kontroli nad własnym ciałem była dla niej równoznaczna z najgorszym upokorzeniem.

- Davidzie, pomóż mi!

- Wszystko będzie dobrze. - Otoczył ją ramieniem.

Z wdzięcznością przytuliła twarz do jego piersi. Mocne ramiona dawały ukojenie. Nawet kiedy David zachowywał się nieodpowiedzialnie - a zdarzało się to często - w jego objęciach czuła się zawsze bezpieczna. Uderzył ją w nozdrza tak dobrze znany zapach jego ubrania. Już tak dawno David jej nie przytulał... Trzymał ją mocno, jakby chciał powstrzymać nową falę bólu. Słyszała bicie jego serca.

- Amando, nie zasypiaj ponownie! - usłyszała jego głos. - Amando?

Niechętnie wysunęła się z jego objęć. Nie wolno jej okazywać słabości. David nie był dla niej odpowiednim mężczyzną.

Odsunęła się. Samodzielnie usiadła na twardej jak skała krawędzi łóżka, machając niemrawo nogami w powietrzu.

- Nic mi nie jest.
- Skoro tak twierdzisz.
- Naprawdę.
- OK.

Wyjął latarkę wielkości łyżeczki.

- Nie ruszaj się. Muszę zbadać twoje źrenice.
- Czemu?

- Po prostu rób, co mówię. Chcę, żebyś wodziła wzrokiem za światłem. Nie ruszaj głową.

Nie wiedziała, co prawda, dlaczego miałyby marnować czas na słuchanie uwag Davida Hainesa, lecz zastosowała się do jego poleceń.

- Doskonale - powiedział. - Wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

- Z całym szacunkiem - zdobyła się na sarkazm - co niby miałyby być ze mną nie tak?

- Bałem się, że to wstrząśnienie mózgu. Nie byłaś w śpiączce, ale traciłaś kilka razy przytomność. Dostałaś niezłe po głowie. Ile widzisz palców? - Uniósł dłoń.

- Trzy.

To zakrawało na jakiś absurd! Nie przypominała sobie, żeby ktokolwiek ją uderzył. Żarty zaszły za daleko i w dodatku wcale nie były śmieszne.

Musi podnieść się z tego niewygodnego łóżka. Ma bardzo napięty terminarz. Wiele spraw, wiele spotkań. O dziewiątej jest przecież umówiona z Tracy Meyer i Carrie.

- Miło było cię zobaczyć, Davidzie, ale ja naprawdę muszę iść.

- Nigdzie nie pójdziesz!

- Słucham? - Zaczynał działać jej na nerwy. - Nawet nie próbuj mi mówić, co mam robić. Te czasy już dawno minęły.

- Jeśli chcesz innego lekarza, w porządku. Ale nikt nie wypisze cię ze szpitala, zanim nie będziemy mieli pewności, że nie doznałaś poważnego urazu mózgu.

Nadał nie całkiem mu wierzyła, ale jego słowa sprawiły, że się opanowała.

- Wyjaśnij mi, co konkretnie podejrzewasz.

- Poważne stłuczenia, może też krwiaki pod czaszką. Skrzepy, tętniak... Jeśli ci się poszczęści, skończy się na dokuczliwych bólach i zawrotach głowy. Może wystąpić niewielkie zaburzenie koordynacji ruchowej. Podwójne widzenie. Możesz mieć kłopoty z pamięcią krótkotrwałą.

- Amnezja? To nie może być amnezja, przecież pamiętam, jak się nazywam, znam swój adres.

- Tak? To powiedz mi, co jadłaś dziś na śniadanie.

Już miała powiedzieć, że były to płatki na mleku i kawa, ale w porę ugryzła się w język. Zaraz, to chyba nie było dzisiaj... Może wczoraj? Poranek był pochmurny, mglisty. Nic dziwnego, że musiała nałożyć te cieliste rajstopy, które pasowały do pantofli od Gucciego. Zaraz, zaraz, kiedy to było?

- Nie wiem - przyznała w końcu.

- Zaburzenia pamięci krótkotrwałej wywołują chwilową dezorientację - wyjaśnił. - Pamiętasz odległe w czasie zdarzenia, bliższe są niezbyt wyraźne, ale prawdopodobnie również je sobie przypomnisz. Typowe jest to, że jako ostatnie powrócą wspomnienia bezpośrednio związane z sytuacją, w której doznałaś urazu mózgu.

- Ale to przejdzie, prawda?

- Niektórzy ludzie - wzruszył ramionami - nigdy nie przypominają sobie prawdziwych okoliczności wypadku.

Amanda nie zaliczała się do „niektórych”. Nie chciała funkcjonować z dziurą w pamięci, z częściową utratą świadomości.

- Opowiedz mi, Davidzie, co się stało. Ze szczegółami.

- To teraz nieważne. Najpierw musisz odpocząć, dojść do siebie.

Była już dostatecznie zaniepokojona, a teraz jeszcze David wyraźnie wymigiwał się od odpowiedzi. Co jej się przytrafiło?

Włamanie do domu? Wypadek samochodowy? Nagle ogarnęła ją panika, jej ciałem wstrząsnął potężny dreszcz.

- Laurel!

- Uspokój się, Amando! A jeśli coś się stało Laurel?

- Moja córka. Ona nie jest ranna?

- Twoja córka?

- Laurel. Moje dziecko. - Chwyliła go za poły białego kitla. Usiłowała spojrzeć Davidowi w oczy, by w nich wyczytać odpowiedź.

- Davidzie, proszę. Powiedz, że mojemu dziecku nic się nie stało.

- Nie wiedziałem nawet, że masz dziecko.

- Czy z nią wszystko w porządku? - Czuli, że zaraz zaczną krzyczeć.

- Twoje dziecko nie uczestniczyło w wypadku.

- Bogu dzięki! - Ulga spowodowała, że w jej umyśle otworzyła się jakaś klapka: ujrzała buźkę cherubina, delikatne blond loki. Amanda mogła znieść to, że została ranna, nawet to, że ma uszkodzony mózg. Ale gdyby coś się stało Laurel... Nie, tego by nie przeżyła.

- W jakim wieku jest twoje dziecko?

- Ma dziewięć miesięcy. Najwspanialsze niemowlę na świecie. Blondyneczka, niesłuchanie inteligentna. Każda matka tak mówi, ale ona rzeczywiście jest nad wiek bystra.

Wyraz twarzy Davida powstrzymał ją od kontynuacji tego pochwalnego peanu na cześć Laurel. Jakaś niepokojąca myśl zaczęła się kołatać po mrocznych dotąd zakamarkach jej umysłu. Skrzywiła się.

- Mówiłeś, że zostałam ranna. Nie zaznam spokoju, póki nie dowiem się całej prawdy.

- Była próba napadu na Empire Bank. Na jej bank?

- Czy ktoś jeszcze odniósł obrażenia?

- Trzech mężczyzn zabrało pogotowie. Strażnika, klienta i jednego z bandytów.

- Co z nimi?

- Nie mam pojęcia.

- Policja aresztowała pozostałych napastników?

- Tego też nie wiem.

Zwiesiła bezradnie ramiona. Czemu, do cholery, nie pamięta czegoś tak istotnego? Przecież to ona jest odpowiedzialna za bank. I zawiodła. Ranny został jeden z klientów.

Dotknęła swojej głowy, poczuła bandaż. Lewa skroń pulsowała bólem.

- Boże, chyba nie ogolili mi głowy?

- Próbowałem ich do tego zachęcić. - David odsunął się o krok i skrzyżował ramiona na piersi. - Pomyślałem, że byłoby ci do twarzy z fryzurą na punka, ale obeszło się bez golenia, rana jest dokładnie na linii włosów. Wystarczyło pięć szwów.

- Ty mi zakładałeś szwy?

- To moja praca, Amando. Jestem lekarzem. Na drugim roku stażu.

- Jasne. A ja właśnie dostałam pokojową Nagrodę Nobla. Wyjmij mi to - wskazała na kroplówkę. - Muszę stąd wyjść, mam mnóstwo pracy.

Znów przesunęła się na krawędź łóżka, ale kiedy spojrzała w dół, podłoga wydała się odległa niczym dno Wielkiego Kanionu. Poczowała zawrót głowy i zamknęła oczy.

- Sama widzisz, zawroty głowy. Nie uszłabyś nawet trzech kroków.

- Dam sobie radę. Jestem tego pewna. Przytrzymał ją na łóżku.

- Amando, posłuchaj uważnie: przez kroplówkę podajemy ci środek przeciwbólowy, inaczej nie byłabyś w stanie normalnie funkcjonować. Kolejnym objawem wstrząśnienia mózgu są właśnie zawroty głowy. Będę cię tu trzymał, dopóki całkowicie nie dojdiesz do siebie.

- To znaczy, jak długo?

- Zostaniesz na noc na obserwacji.

- Mowy nie ma! Gdzie jest moja torebka? Stanowczym gestem przytrzymał ją za ramię, drugą ręką pogładził po policzku.

- Dzisiaj musisz zostać na oddziale intensywnej terapii, ktoś musi przy tobie czuwać. Zleciłem ponadto rezonans magnetyczny i tomografię.

- Prześwietlenie mózgu? Mowy nie ma, nie pozwalam!

- To standardowa procedura.

- Nie w moim przypadku. - Opowiadano jej, jak wygląda takie badanie. Pacjent jest unieruchomiony wewnątrz potężnej maszyny. - Zapomniałaś, że mam klaustrofobię? Nie ma mowy, żebym to zniosła.

- Technika posunęła się naprzód. Nie mamy tu najnowocześniejszego sprzętu, ale możemy przewieźć cię do innego szpitala. Tam będziesz musiała włożyć do aparatu jedynie głowę. To ważne, Amando. Musimy zobaczyć obraz twojego mózgu, aby upewnić się, czy nie grozi ci poważne niebezpieczeństwo, na przykład tętniak albo zakrzep.

- Nie życzę sobie takich badań. Chcę stąd wyjść.

- Kładź się! Natychmiast! - Tym razem był bardzo stanowczy.

Spojrzała na niego ze złością. Chciała wyrwać się z tego miejsca, ale była zanadto oszołomiona i osłabiona. Do tego ranna w głowę... Zrezygnowana, wyciągnęła się posłusznie na łóżku.

- Możesz znaleźć moją torebkę? Mam tam telefon komórkowy.

- Zapomnij o nim.

- Muszę się dowiedzieć, co dzieje się w banku. Jak czują się ranni.

- Sam to załatwię, obiecuję. - Okrył ją obrzydliwym żółtym kocem. - Lada chwila zajrzy do ciebie pielęgniarka, przyjdzie też neurolog, żeby cię zbadać.

- Davidzie, obiecaj mi, że dowiesz się, co ze strażnikiem i klientem.

- W porządku. - Musiał zacisnąć zęby. Zaczynał mieć tego wszystkiego dość. - Wróć. A ty nigdzie się nie ruszaj.

- Znam swoje prawa. Nie możesz trzymać mnie tu wbrew mojej woli. Mogę odmówić zgody na leczenie w tym szpitalu.

- Amando, przysięgam, że jeżeli będziesz chciała stąd wyjść, osobiście przywiążę cię do łóżka.

Wyszedł na korytarz. Delikatnie rozmasował wciąż obolałą po uderzeniu szczękę. Amanda nic się nie zmieniła. Nic a nic. Wciąż uważał ją za najbardziej upartą kobietę i największą furiatkę, jaką kiedykolwiek poznał.

Mniej więcej półtora roku temu spędzili ze sobą ostatnią namiętą noc. Liczył na pojednanie, miał nadzieję, że Amanda mu przebaczy. Stało się jednak inaczej. Rano pokazała mu drzwi, wyrzuciła jak wczorajszą gazetę. O nie, nie popełni już więcej tego samego błędu - nie zaufa Amandzie!

Półtora roku temu nie miała dziecka. Teraz mówi o córce. Byli ze sobą osiemnaście miesięcy temu... To by się zgadzało. To może być jego dziecko.

Ale nie, to chyba niemożliwe, przekonywał sam siebie. Nawet taka lodowa księżniczka, taka zimna egoistka jak Amanda powiedziałyby mu pewnie, że będzie z nim miała dziecko.

Nie wspominała co prawda o żadnym innym facecie, ale przecież musiał ktoś być w jej życiu. Ktoś - czyli ojciec dziewczynki. To pewnie dlatego nie chciała mu więcej widzieć, nie odpowiadała na pozostawiane przez niego wiadomości, rozmyślał ponuro, idąc korytarzem.

Nie wspomniała o mężu, ale przecież to o niczym nie świadczyło. Cholera! Amanda u boku innego mężczyzny, kochająca i wierna mężatka... Nie mógł znieść tej myśli.

Zaraz, zaraz. Osiemnaście miesięcy? Biologia za nic sobie ma terminy ślubów. Nawet jeśli Amanda wyszła za mąż lub się zaręczyła, to nie oznacza jeszcze, że to nie David jest ojcem jej dziecka.

Spokojnie. Czy rzeczywiście spłodził tę maleńką blondyneczkę? Jeszcze niedawno, w czasach kiedy popijał, wylądowałby w najbliższej knajpie, i przy kolejnych drinkach próbował ukoić skołataną nerwy i zagłuszyć rozterki. Takie zachowanie należało już do przeszłości. Na szczęście...

Poprzysiągł sobie, że nie spuści oczu z Amandy, dopóki nie uda mu się z nią poważnie porozmawiać. Musi poznać prawdę o Laurel.

Załatwił konsultację neurologiczną, polecił siostrze, by miała na oku Amandę i nie pozwoliła jej wstawać z łóżka, a przy okazji wypytała niesforną pacjentkę o ubezpieczenie oraz przebyte choroby.

Potem poszedł do Stelli, siostry oddziałowej. Stella nosiła okulary, których soczewki przypominały denka od butelki, ale nic nie umykało jej uwagi. Znała wszystkich i wiedziała o wszystkim, co działo się w szpitalu. Najlepszym źródłem informacji na temat innych rannych podczas napadu na bank mogła być właśnie ona.

Oderwała wzrok od zielonego monitora.

- To ty zajmujesz się Amandą Fielding? - zapytała bez zbędnych wstępów.

Przytaknął.

- Popularna osóbką. Całe mnóstwo ludzi się nią interesuje.

- Kto na przykład?

- Na przykład reporterka telewizyjna Elaine Montero. - Stella wydeła pogardliwie wargi. - Przychodzi tu taka i myśli, że wszystko jej wolno. Wiadomo powszechnie, że nigdy nie wpuszczamy dziennikarzy na oddział, tymczasem ta damulka żąda, byśmy jej wydali pozwolenie na wywiad z Amandą.

Nic dziwnego, że media interesują się napadem.

- Ktoś jeszcze?

- Strasznie namolny facet, niejaki Stefan Phillips. Mówi, że jest narzeczonym Amandy. Koszmarny gość.

- Narzeczony? Przecież ona nawet nie ma na palcu pierścionka.

Widać głos zdradził Davida, bo Stella natychmiast okazała zainteresowanie.

- O co chodzi, Haines? Znasz Amandę Fielding?

- Byliśmy kiedyś przyjaciółmi. Dawne czasy. - Nie należało nic więcej mówić, bo zwierzyć się Stelli, to jakby ogłosić wszystko przez radio. - Jak się czuje ten strażnik z banku? Nazywa się chyba Hoffman.

- Zwichnięty nadgarstek, wstrząśnienie mózgu. Odzyskał świadomość i jest teraz na oddziale intensywnej opieki. Dwaj pozostali mieli mniej szczęścia. Bandyta dostał w nogę, trzeba było wyjmować kulę i podczas zabiegu wywiązały się jakieś komplikacje. Spędzi tu ładnych parę dni, oczywiście pod nadzorem policji.

- A trzeci pacjent? - zapytał lekarz. Stella postukała w klawiaturę.

- Nazywa się Nyland. Rany postrzałowe klatki piersiowej i brzucha. Nie wygląda to najlepiej, ciągle jest na reanimacji.

David postanowił, że nie powie Amandzie o Nylandzie. I tak już czuła się wystarczająco winna.

- Przy okazji - dodała Stella - czy Fielding może mówić? FBI chce z nią rozmawiać.

- FBI?

- Tak, oni zajmują się napadami na banki, nie policja stanowa. Powinieneś o tym wiedzieć.

David nigdy nie miał dokładnego rozeznania w zakresie uprawnień instytucji stanowych i federalnych, zbyt pochłaniała go praca.

- Stello, co wiesz o tym napadzie na bank?

- Jedno jest pewne, doktoru - błysk w oku świadczył, że siostrę cieszy możliwość podzielenia się z kimś smakowitymi plotkami - gliniarze schrzaniłi sprawę.

- Jak to?

- Bandyeci wypuścili wszystkich zakładników, z wyjątkiem Fielding i jeszcze dwóch kobiet. Podobno chcieli się poddać. Negocjacje były w toku, a tu nagle... bum! Oddział specjalny dostał się do banku przez okna i zrobiło się potworne zamieszanie.

- Nieźli kowboje - przyznał David.

- To nie wszystko. Jeden z bandytów zwiął, używając zakładniczki jako tarczy. Pokazywali jej zdjęcie w wiadomościach. Nazywa się Carrie Lamb, wygląda na miłą dziewczynę.

- Teraz rozumiem, czemu Elaine Montero staje na głowie, żeby się tu dostać.

- Zaraz, doktorze. To jeszcze nie wszystko. Podczas gdy cała policja z Denver i chłopaki z oddziału specjalnego, wszyscy uzbrojeni po zęby, kotłowali się koło Empire Bank, uciekł więzień federalny przewożony właśnie do sądu.

- Kto to taki? - zainteresował się David.

- Jax Schaffer. Gruba ryba światka przestępczego. Nigdy by nie zwiął, gdyby oddział specjalny był w pobliżu.

David zmarszczył brwi. No proszę, jeszcze jedna rzecz, której nie może powiedzieć Amandzie. Ona i tak ma już na głowie dosyć zmartwień, nie ma sensu mówić jej jeszcze o ucieczce groźnego kryminalisty. Amanda czuje się za wszystko osobiście odpowiedzialna, więc pewnie będą ją gryzły wyrzuty sumienia, że ktoś został ranny, a ten gangster zwiął, kiedy komandosi szturmowali jej bank.

Do biurka podszedł blondyn o wyglądzie biznesmena, elegancki i pewny siebie. Ignorując Davida, zwrócił się wprost do Stelli:

- Przepraszam, czy mógłbym uzyskać informacje o stanie zdrowia Amandy Fielding?

Pielegniarka otaksowała go wzrokiem.

- Nie wiem, czy jest pan upoważniony. Pana godność?

- Frank Weathers. Jestem bliskim znajomym pani Amandy Fielding.

- Jak bliskim? - wtrącił się David.

- Pracujemy razem. - Odwrócił się gwałtownie do Davida. - Jestem szefem działu w Empire Bank. A kim pan jest?

- Lekarzem Amandy.

David pomyślał, że ten facet chyba nie jest w jej typie, ale były to tylko mgliste spekulacje. Jeśli chodzi o Amandę, niczego nie mógł być pewien.

- I jak, doktorze, mógłby mi pan powiedzieć, w jakim jest stanie?

- Wstrząśnienie mózgu, trochę obrażeń. Jej stan jest nie najgorszy.

- To cudownie.

David odetchnął z ulgą. Amanda na pewno nie chciałaby, żeby ojcem jej dziecka został gość, który używa słowa „cudownie”.

- Muszę mieć pewność, że Amandzie nie grozi poważne niebezpieczeństwo, chcę tę wiadomość przekazać pozostałym pracownikom - ciągnął dalej Frank. - Cały personel jest teraz przesłuchiwany przez FBI. Ja miałem szczęście, nie muszę zeznawać, nie byłem rano w pracy; wizyta u dentysty. Dlatego właśnie mogę...

Stella uderzyła dłonią w blat swojego biurka tak głośno, że Frank podskoczył.

- Musi pan stąd wyjść - oznajmiła stanowczo. - Nasze przepisy nie pozwalają wpuszczać na oddział ambulatoryjny znajomych pacjentów.

- Naturalnie. Zaczekam w poczekalni. Proszę informować mnie na bieżąco o stanie chorej.

- Moment - zatrzymał go David. Wyrzucał sobie, że nie potrafi traktować Amandy jak zwykłej pacjentki, o której po wypisaniu ze szpitala szybko się zapomina. Musiał się dowiedzieć, kto jest ojcem Laurel. - Zna pan Stefana Phillipsa? - spytał.

- W rzeczy samej. Widziałem go nawet przed chwilą w poczekalni.

- Proszę mnie zatem przedstawić. - David ruszył z Weathersem do poczekalni pełnej niewygodnych, obitych skajem krzesel; w zawieszonym pod sufitem telewizorze szedł właśnie jakiś idiotyczny talk show.

David natychmiast domyślił się, że Stefan to ten wysoki, pewny siebie, atletyczne zbudowany blondyn stojący z dala od innych. Z przykrością pomyślał, że mogli z Amandą stanowić bardzo ładną parę.

Uścisnęli sobie ręce. Mocny uścisk Stefana wzmógł jeszcze w Davidzie chęć współzawodnictwa.

- Jak ona się czuje? - zapytał Stefan.

- Poza potworną migreną chyba wszystko w porządku. Muszę jeszcze przeprowadzić kilka badań. Tomografię komputerową.

- Powodzenia. - Stefan wyszczerzył zęby. - Amanda cierpi na klaustrofobię.

- Wiem. - Próbując opanować zazdrość, David spojrzął w piwne oczy rywala. - Słyszałem, że jesteście zaręczeni?

- No, niezupełnie. - Stefan sprawiał wrażenie nieco zawstydzonego małym kłamstwem. - Pomyślałem, że jeżeli powiem, że jestem jej narzeczonym, to pozwolą mi ją zobaczyć. Przyjaźnimy się od lat. Obydwoje pochodzimy z Chicago. Nasze rodziny były bardzo zaprzyjaźnione.

- Rozumiem, taki chłopak z naprzeciwnika - zadrwił David, z trudem opanowując wrogość. - Łączy pana coś bliższego z Amandą?

Stefan cofnął się o krok, zdumiony bezczelnym zachowaniem lekarza i obcesowym pytaniem.

- To chyba nie pańska sprawa.

Jego reakcja była w pełni uzasadniona. David wiedział, że tamten ma rację. Na dobrą sprawę mógłby teraz dać bezczelnemu lekarzowi w szczękę. Czemu Amanda zawsze musiała prowokować go do takich zachowań?

- Jeżeli Amanda czuje się dobrze, chciałbym zabrać ją do domu - oznajmił Stefan.

- Do domu? Mieszkacie razem? - David zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak ostatni idiota, ale to było silniejsze od niego.

- Amanda mieszka sama. Jeżeli nie liczyć Laurel i niani.

David głupio się uśmiechnął. Boże! Więc nie była mężatką, nie zaręczyła się, mieszkała sama. Dwa razy dała mu kosza, ale nie znalazła innego partnera życiowego. Poczul ulgę.

- Doktorze? - zagadnął Stefan. - Czy może pan przewidzieć, kiedy Amanda zostanie wypisana ze szpitala?

- Właśnie, kiedy? - wtrącił natychmiast swoje trzy grosze Frank Weathers.

David przyglądał się uważnie obydwóm mężczyznom. Obaj blondyni, niby podobni, a jednak zupełnie różni. Stefan dorównywał Davidowi wzrostem, miał jakieś metr osiemdziesiąt, był opalony,

widać było, że wiele czasu spędza na świeżym powietrzu. Chudziutki i drobny Frank wyglądał przy nim jak kruszynka. Ale żaden z nich nie zobaczy się z Amandą, przynajmniej dopóki David ma w tej sprawie coś do powiedzenia. Najpierw to on musiał z nią porozmawiać w cztery oczy.

- Jeżeli nie zgodzi się pozostać na obserwacji w szpitalu, wróci do domu ambulansem. W czasie transportu potrzebna jej będzie specjalna aparatura monitorująca.

Aparatura monitorująca? To już nie było niewinne kłamstwo, ale jedno wielkie łgarstwo. David odwrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem na oddział.

- Doktorze! - zawołał za nim Frank. - Może pan informować nas o jej stanie?

- Oczywiście - rzucił przez ramię.

Pomyślał z satysfakcją, że prędzej piekło zamarźnie i powstaną tam trasy narciarskie, niż on przekaże tym dwóm informacje o stanie zdrowia Amandy. Nie miał ochoty nigdy więcej oglądać tych facetów.

Skierował się wprost do oddzielnego zasłaną pomieszczenia, w którym leżała Amanda. Natknął się tam na neurologa, doktor Lorette Spangler. Wysoka, z czarnymi włosami upiętymi w kok, pojawiła się przed nim jak kolejna już tego dnia chmura gradowa. Doktor Spangler nie zaliczała się do licznych wielbicielek Davida, nie odpowiadało jej jego specyficzne poczucie humoru.

Tym razem jednak lekarka spoglądała z dezaprobatą na Amandę, która siedziała wyprostowana na łóżku i pomimo podłączonej kroplówki i bandaża na głowie, usiłowała zachowywać się władczo. Była blada, jedynie na jej policzkach wykwitły niezdrowe rumieńce.

Zobaczyła Davida i natychmiast zwróciła się do niego:

- Powiedz tej kobiecie, że nie zamierzam dać się zamknąć w żadnej maszynie. Nie pozwolę na to.

- Niechże pani będzie rozsądna - obruszyła się nie na żarty doktor Spangler. - Żeby postawić właściwą diagnozę, musimy dowiedzieć się, co dzieje się w pani mózgu.

- Czuję się dobrze - nie ustępowała Amanda. - Jedyne, czego mi potrzeba, to mojej torebki i butów.

- Doktorze Haines? - Spangler wyprowadziła go na korytarz. - Nie mogę uwierzyć, że ktoś może być aż tak arogancki. Do diabła, co ona sobie wyobraża! Że niby kim jest?

- Była prawniczką. Nie ma sensu jej do niczego zmuszać, bo wie, że nie możemy jej leczyć wbrew woli.

- Nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia? Dlaczego protestuje?

- Ma klaustrofobię. Przeraza ją sama myśl o tomografii komputerowej. Lepiej daj temu spokój, Loretto.

- Ustalmy jedno, Haines. Jeśli będę potrzebowała konsultacji ze stażystą, sama o nie poproszę.

Nie był w nastroju, żeby reagować na złośliwe zaczepki koleżanki.

- Więc czego chcesz, u diabła, Loretto? Nie możesz zmusić pacjenta do poddania się badaniom.

- To ma być wyzwanie?

- Ogólny stan Amandy jest dobry. Cierpi na bóle głowy, chwilowo nie pamięta tego, co zdarzyło się ostatnio. Ale w końcu ludzie bez przerwy dostają w głowę i jakoś z tego wychodzą. Rachunek prawdopodobieństwa uczy nas, że i z nią wszystko będzie OK.

- Bez tomografii czy rezonansu nie chciałabym o tym wyrokować. - Ze złością stuknęła długopisem w podkładkę z przyklejonymi papierami. - Nie mogę zalecić wypisania Fielding.

- Nie masz wyboru - uciął David. - Amanda Fielding nie wyrazi zgody na dalsze badania.

- Napiszę, że ty się temu nie sprzeciwiasz.

- Świetnie. Zrób tak.

Wrócił do pokoju, w którym leżała Amanda. Poderwała się jak diabełek wyskakujący na sprężynie z pudełka.

- No i co? Masz moją torebkę? Co z telefonem?

- Nie możesz się odzepić od tej komórki? Może chcesz jeszcze komputer? A może przeniesiesz tu całe swoje biuro i będziesz udawać, że nic się nie stało? Przecież omal cię nie zabiło.

- Nie wariuj.

Tusz do rzęs rozmazał jej się wokół oczu, blond włosy poskręcały we wszystkie strony, wyglądała jak jakieś małe rozzłoszczone zwierzątko. A mówiąc dokładniej, wyglądała po prostu fatalnie. Dlaczego zatem nadal uważał, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie? Co też mu chodziło po głowie?

Patrzył na nią, chciał ją całować, chciał się z nią kochać, nim jej niebieskie oczy utracą ten niezwykły blask. Cholera, doprowadzała go do szaleństwa.

- Rozepnij bluzkę. - Wyciągnął z kieszeni stetoskop.

Podniosła obronnym gestem dłoń.

- Po co?

- Muszę cię zbadać.

David starał się zachowywać jak lekarz, ale nie potrafił przestać być mężczyzną. Kiedy już rozpięła dwa górne guziki czarnej jedwabnej bluzki, aż zakreśliło mu się w głowie.

Usiadł obok, odpiął jej biustonosz, przytknął stetoskop do aksamitnej skóry Amandy.

Słuchał nieco przyspieszonego bicia jej serca i wspominał, jak cudownie im kiedyś było razem. Słuchał i wspominał ich wspólne noce.

- Oddychaj głęboko, Amando.

- Davidzie, dowiedziałeś się czegoś o strażniku z banku?

- Jest na intensywnej terapii. Złamany nadgarstek i wstrząśnienie mózgu. Nic mu nie będzie.

- A ten drugi? Ten klient?

- Nazywa się Nyland. Nie mam najnowszych wiadomości o jego stanie.

- Bardzo z nim źle?

Zawahał się, ale nie chciał jej okłamywać.

- Wciąż jest na sali operacyjnej. Dostał w brzuch i w klatkę piersiową.

- Został postrzelony?! - W oczach Amandy błysnął strach, lecz wyprostowała się i zdołała opanować. - Ja chcę do domu. Nie będzie żadnych prześwietleń. Podpiszę, że to na moje własne żądanie, że nie będę w razie czego zgłaszać żadnych roszczeń pod adresem szpitala.

On jednak nie chciał jej jeszcze wypuszczać. Musiał dowiedzieć się czegoś o dziecku.

- Zawrzyjmy układ - zaproponował. - Wypiszę cię ze szpitala, ale nie możesz zostać sama. Musisz być pod obserwacją, trzeba cię budzić co trzy, cztery godziny, by uzyskać pewność, że nie zapadniesz w śpiączkę.

- W porządku, znajdę kogoś, kto się mną zajmie.

- Nie kogoś, tylko mnie - oświadczył stanowczo. - Zabiorę cię, jak tylko skończę dyżur.

- Poczekaj. Skąd pomysł, że zapraszam cię na noc do domu?

- To nie będzie po raz pierwszy. Półtora roku temu... pamiętasz?

- Nie każ mi wspominać, to bardzo źle wpływa na mój ogólny stan.

Teraz pragnęła jedynie jak najszybciej znaleźć się w domu i wziąć Laurel w ramiona.

- Amando?

- Davidzie, nie chcę o tym rozmawiać.

- Osiemnaście miesięcy temu - nie dawał za wygraną - spotkaliśmy się przypadkiem w „Cherry Creek Mall”.

Owszem, pamiętała tę kawiarnię i jeszcze jakąś rzeźbę oświetloną rzeźbę z brązu.

- Wypiliśmy kawę - powiedziała.

Rozmawiali wtedy, chyba po raz pierwszy, jak cywilizowani ludzie. David często śmiał się swoim charakterystycznym gardłowym śmiechem. Powoli rozjaśniało się jej w głowie.

- To wtedy powiedziałeś mi, że kończysz studia i masz zacząć staż. Ucieszyłam się.

Była wtedy z niego dumna. Wreszcie miały się ziścić jego marzenia o zostaniu lekarzem.

Później, kiedy rozpadł się ich związek, dość szybko wyrzuciła Davida z serca i z pamięci, ale tego wieczoru nie potrafiła mu się oprzeć.

Kawałki układanki zaczęły się wreszcie formować w spójną całość. Przypomniała sobie Davida leżącego u jej boku, jego nagą muskularną sylwetkę, gdy podchodził o świcie do okna w apartamencie na czternastym piętrze.

I wreszcie, zdumiona, przypomniała sobie najważniejsze: David Haines jest ojcem jej dziecka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mówili o nim Iceman: był zimny jak lód, twardy, opanowany.

Dzisiaj było jednak inaczej. Czuł zapach szpitalnych środków antyseptycznych - dziwny, jakby słodko - gorzki. Pachniało marzeniami, które wzięły w łeb.

Idiotyczne błędy! Iceman wciąż nie mógł się z tym pogodzić. Napad miał pójść jak po maśle. W końcu Tempie, Sarge i Dallas to zawodowcy. Dallas był elektronikiem, dlatego zlecili mu unieszkodliwienie systemu alarmowego. Tempie miał zabezpieczać odwrót. A Sarge był tępym mięśniakiem.

Iceman koordynował robotę. Wszystko było zaplanowane, każdy najdrobniejszy nawet szczegół. Powinien wziąć swoją dolę i przestać się tym zajmować.

A tu jak na złość Amanda Fielding przeżyła.

- Wraca do zdrowia - mówił wprost do słuchawki, osłaniając ją dłonią i usiłując przekrzyczeć hałas panujący na szpitalnym korytarzu.

- Masz pecha.

- Nie moja wina. Sarge dał plamę. Zgodnie z planem miał się nią zająć.

- Nieważne. Teraz to twój problem, Iceman.

Rozumiał, co to znaczy. Mogą go dopaść. Amanda może skojarzyć wszystkie elementy łamigłówki i przypomnieć sobie, że maczał w tym palce.

Owszem, na skutek wstrząśnienia mózgu utraciła chwilowo pamięć, ale jak długo może potrawać taki stan? To tylko kwestia czasu - wszystko sobie przypomni i wskaże palcem właśnie na niego. A wtedy...

- Co robić? - zapytał.

- Sprzątnij ją.

Nigdy jeszcze nikogo nie zabił. Nie miał nawet broni.

- Niech zajmie się tym ktoś inny.

- Sprzątnij ją - powtórzył głos w słuchawce. Połączenie zostało przerwane. Był zdany na własne siły,

sam musiał zająć się Amandą. Musiał ją zabić. Co za ironia losu! On, Iceman, ma zabić Królową Śniegu.

Musi przygotować się psychicznie, to teraz najważniejsze. Musi przekonać samego siebie, że wyeliminowanie Amandy Fielding to

tylko kolejny krok na jego drodze. Tylko tyle, nic więcej. Potrafi go zrobić.

Tak, potrafi zabić.

David postanowił zajrzeć do Amandy. Siedziała na łóżku wyraźnie zniecierpliwiona, kroplówka była już odłączona.

- Kiedy będę mogła stąd wyjść?

- Zaraz.

Cofnął się na korytarz, wtoczył do sali chromowany wózek inwalidzki.

- Wskakuj!

- Mogę chodzić - obruszyła się.

- Jasne. Jesteś w znakomitej formie. Możesz wziąć udział w maratonie, ale wolałbym, żebyś zdała się na mnie. Mam pewien plan.

Dotknęła stopami podłogi i przeszył ją dreszcz. Jej twarz była popielata mimo opalenizny. David zorientował się, że ból głowy wciąż jej bardzo dokucza. Ujął ją pod ramię, pomógł wstać.

- Wciąż masz zawroty głowy?

- Tak, na szczęście' lekkie - broniła się, kiedy usiłował posadzić ją na wózku. - Zanim gdziekolwiek mnie zawieziesz, muszę wiedzieć, co to za plan.

- A to czemu?

- Bo z ciebie niezłe ziółko. Głupie żarty się pana trzymają, doktorze. Ciągłe wpędzasz mnie w jakieś kłopotliwe sytuacje. Jesteś niemożliwy!

- Czyżby?

- Kiedyś omal mnie nie aresztowali za kąpiel w fontannie w samym centrum miasta.

- To ty uparłaś się, żeby robić to w samej bieliźnie.

- Była jedwabna, od Versace'a. Woda omal jej nie zniszczyła.

To prawda, lubił kiedy była spontaniczna, gdy zapominała o samokontroli i wystudiowanym chłodzie. Amanda, na co dzień niezwykle opanowana, zawsze miała w sobie odrobinę szaleństwa.

- Dzisiaj jestem śmiertelnie poważny. Wsiadasz na wózek, jedziemy do głównego wejścia, bierzemy mój samochód i odwozę cię do domu.

- Dlaczego do głównego? Nie prościej skorzystać z bocznego?

- Tak będzie lepiej. Napad na bank to temat numer jeden we wszystkich lokalnych mediach. Chyba połowa reporterów z Denver

oblega nasz szpital. Wszyscy czają się przy wyjściach ewakuacyjnych, bo spodziewają się, że właśnie tamtędy będziesz się próbowała wymknąć.

- Nie macie ochrony?

- Pewnie, że mamy. Ale reporterzy mają teleobiektywy. Jeżeli wywozę cię od frontu, jak każdego zwykłego pacjenta, może nikt nie zwróci na nas uwagi. Taki jest mój plan. Chyba że koniecznie chcesz się oglądać w czołówce wieczornych wiadomości.

- Nie bardzo mi na tym zależy. Może i nie pamiętam, co się stało w banku, ale nie zamierzam pokazywać się ludziom w tych kretyńskich bandażach. Muszę dbać o swój wizerunek.

Nie powiedział jej tego, ale uważał, że jej wizerunek i tak już mocno ucierpiał na skutek wydarzeń, które miały miejsce tego ranka. Ale cóż, od napadu na bank i urazu mózgu ważniejsza była kobieca próżność.

- A do tego FBI chce z tobą rozmawiać. Będę kręcił, udawał, że nadal jesteś w szpitalu.

- Kręcił? - Wyprostowała się. - David, byłam i pragnę pozostać praworządnym, odpowiedzialnym obywatelem. Nie mam nic do ukrycia.

- W porządku. Odpowiedzialnym i rozsądnym zachowaniem byłoby pozostanie w szpitalu i zgoda na rentgen i tomografię. Potem mogłabyś pogadać z federalnymi, dać oświadczenie dla mediów. Jeśli jednak koniecznie chcesz wracać do domu, to muszę cię jakoś chronić przed męczącym przesłuchaniem. Sama zdecyduj, co wolisz.

Zastanawiała się przez chwilę, wreszcie zmierzyła Davida zimnym spojrzeniem i niezdarnie wgramoliła się na fotel - Dobra, wytaczaj stąd ten pojazd - rozkazała.

Mogła sobie być jakimś tam zakichanym prezesem banku, ale jednocześnie potrafiła być naprawdę odważna, potrafiła rzucać wyzwania i podejmować rękawicę. To kolejna cecha, która zawsze pociągała go w tej kobiecie.

- Nareszcie moja dziewczynka wraca do formy - ucieszył się zjadliwie.

- Na pewno nie jestem już dziewczynką, a tym bardziej twoją - odparowała.

- Kto wie, co będzie?

David okrył jej nogi kocem, drugi zarzucił na ramiona i zabandażowaną głowę Amandy. Kamuflażu dopełniły ciemne okulary.

- Bardzo subtelne - mruknęła.

- Miej na uwadze, że to szpital miejski, a nie ekskluzywna prywatna klinika. Kręci się po nim wielu dziwnie wyglądających ludzi. Postaraj się wyglądać jak bezdomna.

- A ty nie zdejmiesz fartucha?

- Po co? Jestem jednym z wielu stażystów i właśnie wywożę pacjentkę na dwór, by nacieszyła się słońcem.

- Moje buty... David, gdzie są moje buty?

- Nie widzę. - Rozejrzał się wokół bezradnie.

- Lepiej, żeby się znalazły. To włoskie pantofle od Gucciego za trzysta dolarów. Z wierzchu beżowe, z czarną zelówką, na niskim obcasie, zapinane z tyłu.

- O, o! To właśnie nazywam amnezją wybiórczą. Nie pamiętasz, co wydarzyło się podczas napadu, ale potrafisz opisać podeszwy swoich butów.

- To żadna filozofia Zawsze je noszę do tych spodni.

- Wygląda na to, że twoich pantofli tu nie ma. Będziemy musieli znaleźć ci jakieś inne obuwie.

Powoli wyjechał z sali na korytarz, kierując się w stronę szpitalnych gabinetów ambulatoryjnych. Choć była dopiero pierwsza, do tego środa, wokół panował wielki ruch. Zamierające wycie syreny ambulansu na moment zagłuszyło jęki, narzekania i pokasywania chorych. Jakaś znękana kobieta trzymała jedno dziecko na kolanach, drugie na ręku. Policjant prowadził więźnia ubranego w pobrudzony jaskrawopomarańczowy kombinezon. Dyżury na oddziale ambulatoryjnym nie należały do ulubionych zajęć Davida, ale przynajmniej tu nigdy nie było nudno.

Podjechali do biurka, za którym urzędowała Stella. Zdawał sobie sprawę, że nie uda im się przemknąć koło niej niezauważenie, więc chcąc, nie chcąc, wtajemniczył pielęgniarkę w plan ucieczki.

- Stello, chciałem ci kogoś przedstawić. To jest Amanda Fielding. Zdaje się, że zapodziały się gdzieś jej buty.

- Witam, Stello. Nie ma także mojej torebki. Pielęgniarka zlustrowała Amandę uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

- Nie przesadziłeś z tym kamuflażem? Wygląda zupełnie jak mumia.

- Dzięki - ucieszyła się Amanda. - Mówiłam mu, że to niezbyt wyrafinowany plan.

- Plan jest w porządku. Ktoś może cię przecież rozpoznać, a tego wszyscy chcemy uniknąć. - Stella ze schowka za plecami wyciągnęła tekturowe pudło. - Zobaczmy, co mamy w rzeczach znalezionych.

Po chwili Amanda miała już na sobie domowe kapcie, moherowy szal, a na obandażowanej głowie wielki kapelusz z równie dużą sztuczną stokrotką.

- To jest to! - zawołała radośnie Stella, nakładając Amandzie na nos słoneczne okulary. - Okryj kolana pledem i będzie doskonale.

- Którędy najkrótsza droga na oddział psychiatryczny? - prychnęła Amanda.

Jej przebranie było zupełnie absurdalne. Gdyby nie fakt, że za wszelką cenę chciała znaleźć się w domu z Laurel, nie przystałaby nigdy na pomysł Davida. Takie szalone zachowania były dla niego typowe. Kiedyś uważała jego wariactwa za czarujące. Jednak teraz...

Zanim się zorientowała, wózek toczył się już korytarzem wzdłuż sal operacyjnych i oddziału rekonwalescentów. Przy drzwiach prowadzących do głównego holu David szepnął jej do ucha:

- Lepiej będzie, jeśli się pochylisz.

- Świetny pomysł! Może jeszcze powinnam zacząć machać rękami? Wtedy na pewno nikt nie zwróci na mnie uwagi.

- Jak sobie życzysz.

Zgarbiła się, mruczając coś pod nosem. Wciąż bolała ją głowa, ale nie zwracała na to uwagi, myślała jedynie o Laurel.

Zerknęła ostrożnie spod ronda cudacznego kapelusza. Hol główny miał dwie kondygnacje, w głębi znajdowała się winda. Pośrodku tej dużej, aseptycznej przestrzeni ulokowano stanowisko informacji. Choć Amanda mieszkała zaledwie kilka kilometrów stąd, nie była jeszcze nigdy w Denver General Hospital. Jak mówił David, był to największy szpital w mieście. Oprócz zwykłych pacjentów przyjmowano tu ofiary Wypadków, zajmowano się więźniami, udzielano porad ambulatoryjnych. Mimo to Amanda, w moherowym szalu i kapeluszu ze stokrotką, wyglądała chyba najdziwaczniej i rzucała się w oczy.

Dostrzegła zbliżającą się ku nim dobrze ubraną czarnowłosą kobietę.

- Doktorze Haines! - wykrzyknęła nadchodząca. Przerażona Amanda modliła się po cichu, żeby David zignorował wołanie. Wózek zatrzymał się jednak. No cóż, jakoś trzeba będzie przez to przebrnąć.

- Pani jest Elaine Montero z „Network News” - skonstatował David.

- A pan jest lekarzem, który zajmuje się...

- Nie wpuszczamy dziennikarzy do szpitala. Pani widok mógłby źle wpłynąć na samopoczucie pacjentów.

- Czy to prawda, doktorze, że Amanda Fielding jest w śpiączce?

- Proszę mnie przepuścić. Muszę wywieźć na dwór tę miłą starszą panią, żeby mogła nacieszyć się słońcem.

Amanda skuliła się, kiedy uczynił gest w jej stronę, ale Montero nie zaszczyciła jej nawet jednym spojrzeniem. Ta wszędobylska reporterka telewizyjna węszyła sensacyjny temat i trzeba było czegoś więcej niż dziwacznie ubrana osoba na wózku, by przyciągnąć jej uwagę.

- Czy Amanda Fielding cierpi na amnezję? - nie dawała za wygraną.

Amanda zrozumiała, że muszą stąd uciekać. Natychmiast. Pociągnęła za rękaw Davida. Odwrócił się i pochylił nad pacjentką.

- Bez komentarzy - wyszeptwała. - Powiedz jej: żadnych komentarzy i wynośmy się stąd do diabła.

- O co chodzi, pani Higgenbottom? - Mrugnął do niej. Miała wrażenie, że bawi się zarówno jej zażenowaniem, jak i całą sytuacją. - Żadnych kominiarzy? Zgadzam się z panią. Ja też ich nie lubię.

- Przykro mi, Elaine. Musimy iść. - Odwrócił fotel i ruszyli.

- Jeszcze chwileczkę, doktorze! - Reporterka była uparta i nie zamierzała tak łatwo się poddawać.

Amanda skuliła się jeszcze bardziej, teraz moherowy szal zasłaniał jej pół twarzy. Wciąż powtarzała w myślach dwa magiczne słowa, które pozwolą jej stąd uciec. Bez komentarzy. Bez komentarzy. Bez komentarzy.

David uparcie pchał wózek do frontowego wyjścia i zagadywał wścibską reporterkę.

- Nie mogę nic powiedzieć o Amandzie, ale na przykład wczoraj miałem bardzo interesujący przypadek. Pewna starsza kobieta

połknęła muchę, nie mam pojęcia, dlaczego ją połknęła, ale jej stan jest krytyczny.

Byli już prawie w drzwiach frontowych, zbliżali się do stanowiska ochrony.

- Jedno pytanie - błagała Elaine. - Tylko jedno pytanie, doktorze.

- Ja też mam pytanie. Czemu nie pilnuje pani tylnego wyjścia wraz z resztą dziennikarzy?

- Instynkt. Mam wewnętrzne przekonanie, że najważniejsze wydarzenia rozegrają się właśnie tu. Czy Amanda Fielding została zatrzymana przez policję? - Dziewczyna stawiała się coraz bardziej natrętna.

- Co takiego? - Amanda nie mogła uwierzyć, że wyrwało się jej to pytanie. To rzeczywiście był jej głos?

- Spokojnie, spokojnie pani Higgenbottom - David uspokajał pacjentkę, naciągając ponownie szal na jej usta. - Nie wolno się pani denerwować.

- Czy Fielding jest pod policyjnym nadzorem? - indagowała Elaine. - Słyszałam, że bandyci mieli wtyczkę w banku i że Amanda Fielding była w to zamieszana.

- To źle pani słyszała. - Amanda podniosła się z fotela i dopiero teraz dostrzegła perfekcyjny makijaż i nieskazitelną fryzurę reporterki. - Amanda Fielding jest doskonałym pracownikiem na stanowisku kierowniczym, jej lojalność wobec firmy nie podlega dyskusji.

Znów zawrót głowy. Pewnie wstała zbyt pośpiesznie. Chytry koci uśmieszek pojawił się na ustach Elaine.

- Jak się pani nazywa? - zainteresowała się dziennikarka.

- Higgenbottom. - Amanda opadła na fotel. - Może mnie pani zacytować.

Elaine, wpijając sępi wzrok w swoją ofiarę, jednocześnie zaczęła wykonywać gwałtowne gesty. Amanda dostrzegła kątem oka, że pędzi ku nim facet z kamerą wideo.

- Zatrzymajcie tych ludzi, oni nie mają tu czego szukać - krzyknął David w stronę ochroniarzy.

Ci natychmiast zajęli się kamerzystą i reporterką, zażądali okazania legitymacji prasowych. Tymczasem David i Amanda byli już przy drzwiach frontowych.

- Trzymaj się!

Pędzili chodnikiem, strasząc przechodniów i pacjentów, którzy wyszli na zewnątrz odetchnąć świeżym powietrzem, dosłownie na jednym kole wykonali skręt, cudem omijając grupę pielęgniarek.

W końcu zobaczyła jego czarne porsche.

- Wsiadaj - zakomenderował, otwierając drzwi od strony pasażera.

Ledwie wgramoliła się do niskiego wozu i usadowiła na obitym skórą siedzeniu, David natychmiast uruchomił potężny silnik. Opony zapiszczały; wycofali się z parkingu, o włos unikając zderzenia z nadjeżdżającym vanem. Zwolnili dopiero na ulicy.

- Udało się!!! - krzyknął przeraźliwie David i wystawił ramię przez okno.

- Czemu ja zawsze muszę cię posłuchać? - Amanda zdjęła kapelusz i ciemne okulary. - To był najgłupszy plan ze wszystkich możliwych. A ty jeszcze pogorszyłeś sytuację, rozmawiając z tą straszną kobietą.

- I nadużyłem zaufania pacjentki. - Zaczął się śmiać.

- Jakiej pacjentki?

- Chodzi o tę starszą kobietę. Ona nie połknęła muchy, ale pająka. W dalszym ciągu nie rozumiem dlaczego.

- Jesteś walnięty! Nie dociera do ciebie powaga sytuacji?

- Daj spokój, Amando. To taka gra w chowanego dla dorosłych. Przyznaj, że sama nieźle się bawiłaś.

- Ciężko pracowałam, żeby zrobić karierę. Czy sądzisz, że pozostanę prezesem banku, jeśli media pokażą mnie w stroju bezdomnej nędzarki?

- Chcesz wiedzieć, co sędzę o tym jako lekarz? Powinniśmy wrócić do szpitala, żeby usunąć ci operacyjnie ten kij, który dawno temu połknęłaś.

- Ja nie muszę wracać do szpitala. To ty jesteś chory. Na nieuleczalny brak odpowiedzialności. - Dobrze zrobiła, zrywając zaręczyny pięć lat temu. Miała również rację, nie mówiąc mu o Laurel. Nie był dobrym materiałem na ojca. - Nie zmieniłeś się ani na jotę.

- Jeśli chodzi o zasadnicze sprawy, to nie. Ciągle lubię się wygłupiać - zatrzymał samochód na światłach - różnica polega na tym, że teraz robię to na trzeźwo.

- Niedojrzały. Infantylny. Niebezpiecznie niedojrzały. - Oparła głowę o wygodny zagłówek obciągnięty skórą. Było gorąco. Została ranna w głowę. Ale to nie tłumaczyło błędów, jakie popełniła w ocenie sytuacji. - Jak ja mogłam to wszystko powiedzieć tej reporterce?

- To była dobra robota, pani Higgenbottom. Stałaś w swojej obronie.

- To nie jest zabawne. - Bo też nie było. Co oznaczały te wszystkie pytania zadawane przez Elaine Montero Davidowi? - Czy policja rzeczywiście uważa, że w napad był zamieszany ktoś z personelu banku?

- Nie mam pojęcia. - David od pewnego czasu bez przerwy spoglądał we wsteczne lustro. - Mamy teraz większy problem. Ktoś nas chyba śledzi.

- Po prostu cudownie! - Czemu nie zakończyć takiego wspaniałego dnia niewielkim pościgiem po ulicach Denver? Chyba byłaby nawet zadowolona z konfrontacji, przynajmniej uszłoby z niej trochę pary. Amanda obejrzała się przez ramię i parsknęła śmiechem. - Spokojnie, Davidzie. Znam ten samochód. To wóz Stefana Phillipa.

- Twojego narzeczonego?

- Kto tak twierdzi?

- On. Powiedział pielęgniarce z izby przyjęć, że jesteście zaręczeni.

- Więc skłamał.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego to zrobił, ale widocznie miał jakiś ważny powód. Stefan był dobrym chłopakiem, znała go chyba od zawsze. Ich rodzice przyjaźnili się. Jeszcze w Chicago oboje obracali się w tych samych kręgach. Było zupełnie naturalne, że Stefan nawiązał z nią kontakt, kiedy i on przeniósł się do Denver.

- Co cię z nim łączy? - dociekał David.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Dobrymi starymi przyjaciółmi. - Stefan chętnie towarzyszył Amandzie podczas różnych mniej lub bardziej oficjalnych spotkań, w których musiała uczestniczyć. W przeciwieństwie do Davida nigdy nie stawiał jej w kłopotliwej sytuacji. Miał nienaganne maniery i zawsze zachowywał się bez zarzutu.

- Nie lubię go - oznajmił David. Zdziwiła się.

- Nie miałam pojęcia, że się znacie.

- W szpitalu rozmawialiśmy wystarczająco długo. Zorientowałem się, że go nie lubię. Za gładki. Założę się, że nigdy nie pobrudził sobie rączek.

- Do twojej wiadomości: Stefan świetnie się wspina po górach, jest instruktorem narciarskim. Prawdziwy ekspert w tych waszych typowo męskich zabawach.

- Spałaś z nim?

- Zamknij się! - O co mu chodzi? Zachowuje się jak palant.

- Amando, to proste pytanie. Robiliście to?

Krew ją zalała. Takiego chamstwa nie może tolerować. Ani ze strony Davida, ani ze strony nikogo innego.

- Nie masz, do cholery, żadnego prawa wypytywać o moje życie osobiste. Owszem, kiedyś coś nas łączyło, ale to przeszłość. Było, minęło. I nie próbuj więcej odnosić się do mnie z tą swoją grubiańską poufałością.

Zatrzymali się przed dziewiętnastopiętrowym blokiem, w którym znajdowały się eleganckie apartamenty. Amanda wysiadła, zatrzasnęła drzwiczki. Z trudem i powoli szła do wejścia, odczuwała silny ból, miała zawroty głowy. Woląла jednak raczej się przewrócić, niż skorzystać z pomocy Davida.

Nie miała torebki, a więc i kluczy, trzeba było zatem zadzwonić na portiera, żeby ich wpuścił do środka. Kolejny zawrót głowy przyprawił ją o mdłości, musiała oprzeć się o ścianę.

Wreszcie drzwi stanęły otworem. Portier ze zdziwieniem popatrzył na jej ekscentryczny strój.

- Nie pytaj o nic - ostrzegła.

- Strasznie się denerwowałem. Wszystko w porządku, Amando? - zaniepokoił się portier.

- Będzie dobrze, jak tylko położę się do łóżka.

Obok Amandy pojawił się niespodziewanie Stefan, chwycił ją w objęcia.

- Jak się masz? Martwiłem się o ciebie.

Wdzięczna za okazaną troskę, oparła się na jego ramieniu.

- Czuję się dobrze, zupełnie dobrze. Pomógł jej dojść do windy.

- Davidzie, dlaczego nie przywiozłeś jej ambulansem? Mówiłeś przecież, że tak będzie najlepiej i najbezpieczniej.

- Zmieniłem zdanie - warknął David.

- Och, zamknij się - odwarknęła przez ramię. Czemu ten typ po prostu nie pójdzie sobie do diabła? Nogi się pod nią uginały, miała wrażenie, że w jej głowie ktoś gra na bębnach.

- Zaprowadzić cię? - zaoferował się Stefan.

- Sama dam sobie radę.

Musi odzyskać siły, nim spotka się z Laurel. Mała mogłaby się przestraszyć, widząc matkę w takim opłakanym stanie. Tak, musi być silna. Przecież to dzięki wewnętrznej sile i determinacji zrobiła karierę, dzięki tej samej sile potrafiła godzić samotne macierzyństwo z pracą zawodową i obowiązkami towarzyskimi.

Wysiadła na czternastym piętrze, ruszyła korytarzem. Nareszcie wróciła do siebie. Nie poruszała się tak energicznie jak zazwyczaj, ale przynajmniej udawało jej się podnosić i opuszczać stopy, nie przewracała się. W końcu zadzwoniła do swoich drzwi.

Otworzyła jej niania, młoda, rudowłosa Vonnie studentka college'u, Vonnie.

- Amando! - wykrzyknęła.

Vonnie cofnęła się do pokoju, chwyciła pilot i wyłączyła telewizor.

- Jak się czujesz? - zapytała.

Później pogada z Vonnie o irytujących nawykach związanych z telewizją. Teraz całą swą uwagę skupiła na dziewięciomiesięcznej Laurel, która stała w kojcu, i trzymając się jego krawędzi, kołysała się w jakimś sobie tylko znanym, tajemniczym rytmie.

- Cześć, skarbie. - Amanda podniosła córeczkę i ból natychmiast minął, jak ręką odjął. Uśmiechnęła się. Nie sposób było patrzeć na Laurel i nie uśmiechać się do tego najpiękniejszego dziecka na świecie. Kształna główka, puszyste blond włosy, żywe niebieskie oczy, długie rzęsy.

- Amando, było mnóstwo telefonów z telewizji – paplała Vonnie.
- Nie wiedziałam, co mówić i w końcu włączyłam automatyczną sekretarkę.

- Mogłaś powiedzieć cokolwiek.

Przytuliła dziecko. Nie ma znaczenia, co jeszcze się stanie, przynajmniej córka jest bezpieczna. A to jest ważniejsze od kariery, od wszystkich spraw, od całego tego szaleństwa. Laurel jest centrum jej świata.

Centrum nie pachniało jednak w tej chwili fiołkami.

- Trzeba cię przewinać - orzekła Amanda.

- Ja się tym zajmę. - Chudy rudzielec rzucił się ku maleńkiej, wyciągając ręce. - Oglądałam w telewizji informacje o tym napadzie. Byli antyterrorysty i tak dalej. Bardzo się przestraszyłam, kiedy powiedzieli, że trafiłaś do szpitala. Mogłaś do mnie zadzwonić.

- Podobno wyłączyłaś telefon.

- Racja! Gdybyś nawet zadzwoniła i tak nie mogłabym odebrać.

Amanda jeszcze mocniej przytuliła dziecko.

- Ja się zajmę Laurel. Chcę zostać przez chwilę sama z moją dziewczynką.

Idąc do dziecięcego pokoju, myślała o Davidzie. Czuła się winna, że trzymała go z dala od małej, ale równocześnie zalewała ją duma. Amanda chciała mu pokazać córeczkę, pragnęła się z nim podzielić radością z posiadania tak wspaniałego i wyjątkowego dziecka. Ale jeszcze nie teraz. Nie teraz. Była nadal tak wściekła, że nie sprostałaby wyzwaniu.

Zamknęła za sobą drzwi, położyła córeczkę na stole.

- Skarbie, tym razem zrobiłaś prawdziwy bałagan. Uszczęśliwione dziecko zagaworzyło.

- Ja też cię kocham - powiedziała Amanda, szeroko się uśmiechając.

Przewijanie córeczki było zajęciem na tyle rutynowym, że mogła myśleć przy tym o czymś zupełnie innym. Wracała do przeszłości, usiłowała przypomnieć sobie wszystkie ważne wydarzenia.

Tak, powinna powiedzieć Davidowi, że zaszła w ciążę, kiedy półtora roku temu wylądowali ponownie razem w łóżku. Po jakimś czasie zrobiła sobie test ciążowy i wynik ogromnie ją uradował. Dziecko! Miała trzydzieści pięć lat i niezbyt już ufała swojemu biologicznemu zegarowi. A jednak tak! Będzie miała dziecko!

- I to byłaś ty - przemówiła poważnie do Laurel. - Ty, moja maleńka.

Laurel roześmiała się na całe gardło, zupełnie jak gdyby mama opowiedziała jej świetny kawał.

Amanda przypomniawszy sobie, jak sięgała po słuchawkę, żeby zadzwonić do Davida, przekazać mu wspaniałą nowinę. Nigdy jednak nie wykręciła numeru.

Zbyt dobrze znała tego faceta. Z pewnością naciskałby, żeby wszystko załatwić jak trzeba. Nalegałby na ślub.

Tymczasem nie był odpowiednim kandydatem ani na męża, ani na ojca. Ich małżeństwo okazałoby się katastrofą. Wiedziała o tym już pięć lat temu, zrywając zaręczyny. Ten facet był kompletnie szalony i nieodpowiedzialny. Nie można mu było ufać. Wstawał za późno, za dużo pił.

W wielu sprawach przypominał jej własnego ojca, czarującego mężczyznę, który zawsze potrafił ją rozśmieszyć... jeśli tylko potrafiła zapomnieć o wszystkich nie dotrzymanych przezeń obietnicach.

Skończyła przewijanie i usiadła z córeczką w bujanym fotelu. Mała miała w sobie mnóstwo energii, koniecznie chciała pobuszować po pokoju. Uspokoila się jednak, czując ciepło matczynej piersi, gaworzyła wesoło, uśmiechając się od czasu do czasu. Amanda wróciła myślami do ojca.

Jack Fielding. Przystojny mężczyzna. Trzecie pokolenie bogatych Fieldingów z Chicago. Jack różnił się jednak od swojego ojca i od dziadka. Oni pomnażali rodzinny majątek, Jack go trwonił. Amanda odziedziczyła świetne nazwisko i koneksje, ale pieniędzy już niestety nie.

Jakie to dziwne, że myśli teraz o tych starych rodzinnych historiach! Pewnie na skutek wstrząsu jej umysł rozpoczął wędrówkę po krętych i mrocznych ścieżkach... Ostatnie, jakże ważne wydarzenia jawią się jako niewyraźne, rozmazane obrazy, a odległa przeszłość wydaje się zadziwiająco jasna i ostra.

- Opowiem ci coś, Laurel - zaczęła Amanda. - Dawno temu tata obiecał mi, że w moje dziewiąte urodziny zabierze mnie na żaglówkę. Ten dzień mieliśmy spędzić tylko we dwóje na jeziorze Michigan.

O pierwszej po południu Amanda, zwarta i gotowa, usiadła na frontowym ganku; czerwcowe słońce było już wysoko na niebie. Czekala niecierpliwie, aż rozpocznie się ten wymarzony dzień z ojcem. Czekala.

- Ale tato się spóźniał - powiedziała na głos do córeczki. Koło trzeciej matka zaproponowała jej inne, zastępcze atrakcje: kino albo lody. Amanda nie zgodziła się. Ojciec przecież jest już w drodze, jeśli teraz wyjdą, to mogą się z nim minąć.

Zapadał zmierzch, mama się coraz bardziej złościła. Zarzuciła Amandzie złośliwy upór i bezmyślność. Namawiała, by córka przynajmniej weszła do środka i zdmuchnęła świece na urodzinowym torcie.

- Czekałam i czekałam. - opowiadała dalej Amanda. Samochód ojca pojawił się na podjeździe o ósmej. Jack zerwał koło garażu pomarańczowe geranium i wręczył kwiaty córce.

- To dla mojej księżniczki. Kochasz tatusia? - Na kilometr cuchnęło wódką.

- Kocham.

Kiedy położyła się do łóżka, długo leżała bez ruchu. Nie płakała. Nigdy nie płakała. Nigdy też nie wspomniała ojcu, jak bardzo ją zawiódł tamtego dnia. Potrafiła dobrze ukrywać swój żal.

A przecież powinna była powiedzieć ojcu o tym, co jej się nie podoba. Tak jak powinna była powiedzieć Davidowi... Nie chciała za niego wyjść, za bardzo przypominał jej ojca, ale przynajmniej powinna była powiadomić go o ciąży. Był ojcem Laurel i nie zasłużył na takie traktowanie..

- Laurel, Laurel. Pewnie z tej opowieści wynika jakiś morał, ale sama jeszcze dobrze nie wiem jaki.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - powiedziała Amanda.

To był David. Podszedł do fotela, żeby lepiej przyjrzeć się małej.

- Jest śliczna - stwierdził.

Amanda powinna powiedzieć mu teraz. Wyobrażała sobie, jakie go dręczą wątpliwości. Wszystko się zgadzało. Laurel urodziła się prawie dokładnie dziewięć miesięcy po ich wspólnej nocy.

- Mogę ją wziąć na ręce?

Zawahała się, ale z drugiej strony jakże tu odmówić?

- Nie bój się - uspokoił ją David. - Dzieci to moja specjalność. Po stażu zamierzam zająć się pediatrią.

Podniósł Laurel i przytulił. W odróżnieniu od większości mężczyzn w identycznej sytuacji, zachowywał się bardzo swobodnie, był czuły, ale nie przesadnie opiekuńczy.

Laurel wymacała lekarskie słuchawki w jego kieszeni i wyciągnęła je, żeby dokładnie obejrzeć ten dziwny, interesujący przedmiot.

- Potrafisz powiedzieć „stetoskop”? - zagadnął żartobliwie.

Laurel przycisnęła słuchawki do brzuszka i roześmiała się głośno.

On też się śmiał. Jego baryton i dziecięcy głosik zestroiły się harmonijnie w miłą dla ucha muzykę.

David powiedział Amandzie półtora roku temu, że się zmienił. Nie uwierzyła mu do końca. Uważała, że ludzie nie są zdolni do radykalnych przemian. Jej ojciec pozostał do końca życia czarującym utracjuszem.

David wciąż trzymał dziecko w ramionach.

- Przepraszam, Amando, za ten mój wybuch złości w samochodzie. Nie miałem racji. Nie chciałem cię urazić.

- Przepraszam, przyjęte.

Uśmiechnęła się do córeczki, poczuła, że serce jej mięknie. Powiedz mu. Powiedz mu teraz, szeptał natarczywie jej wewnętrzny głos.

- Powinnaś teraz pójść do drugiego pokoju.

- Po co?

- FBI ma do ciebie kilka pytań.

ROZDZIAŁ TRZECI

- FBI? Co ja mam im powiedzieć? - Amanda jakoś nie kwapiła się, by wstać z fotela.

- Nie wiem. - Davidowi udało się odzyskać stetoskop z rąk dziecka. Teraz łaskotał małą po brzuchu i gaworzył: - Baa - baa, gil - gili.

- Proszę, nie rób tego! - zainterweniowała Amanda. - Ja nigdy z nią nie rozmawiam w taki dziecinny sposób.

David puścił mimo uszu napomnienie, nadal łaskotał Laurel i zagadywał:

- Okruszku, okruszku, co masz dzisiaj w brzuszku?

Laurel tym razem nie zareagowała, bo udało się jej chwycić jedną rączką Davida za ucho, a drugą za nos. Co za radość!

Piszcząc z uciechy, wyciągała przed siebie pulchne rączki; wypisz wymaluj przyszła cheerliderka. Oczka rozbłyły jej radośnie. Niebieskie, skostatował David. Takie same jak Amandy. Nie piwne, jak jego. Szkoda, bo to byłby jakiś dowód. Genetyka nie kłamie. Trudno, widać nie można mieć wszystkiego.

Znowu gaworzy. Boże, jaka ona śliczna! Jeżeli upewni się, że to jego córka, już nigdy się z nią nie rozstanie.

- Świetnie porozumiewasz się z Laurel, mówicie tym samym językiem - zauważyła złośliwie Amanda.

- Chciałbym, żeby wszystkich było tak łatwo rozbawić.

- Masz na myśli mnie?

Nie miał zamiaru używać starych argumentów, że zabawa i śmiech są ważne, stanowią antidotum na stres. W dawnych czasach często dyskutowali na ten temat.

- Tak, chodzi mi o ciebie.

- Doprawdy? - zezłościła się. - Masz na myśli te dzikie imprezy kończące się utratą świadomości? To właśnie nazywasz zabawą?

- Czasami przesadzałem - przyznał uczciwie. - Ale zmieniłem się od tamtego czasu.

- Davidzie, ludzie się nie zmieniają. Nie można zaprogramować im nowego DNA ani zupełnie odciąć od wpływów środowiska.

Delikatnie umieścił dziewczynkę w łóżeczku. Mała przekręciła się na brzuch i popęzła w stronę dinozaura z różowego pluszu.

To niesamowite, pomyślał, jak świetnie sobie radzi. W pracy stykał się z tyloma chorymi maluchami, że teraz z przyjemnością

obserwował zdrowe, prawidłowo rozwijające się dziecko. Niestety, przyszła pora, żeby pożegnać się z Laurel.

- Muszę wracać do Denver General. Gdy tylko skończę wieczorny dyżur, przyjadę tu. Chcę mieć cię na oku.

- Nie ma takiej potrzeby - oznajmiła lodowatym tonem Amanda.

Wręcz przeciwnie, odpowiedział jej w duchu. Interesował go nie tylko stan zdrowia Amandy. Musiał za wszelką cenę dowiedzieć się, kto jest ojcem Laurel.

- Podjąłem ryzyko, wykradając cię ze szpitala przed zrobieniem wszystkich koniecznych badań. Muszę się upewnić, że wszystko jest w porządku. To moja praca.

- W porządku.

- Prawdę powiedziawszy, chyba nadeszła pora, żebyśmy porozmawiali ze sobą jak lekarz z pacjentką. Musisz być ze mną szczerą w sprawie twojej amnezji. Pamiętasz odleglejsze w czasie wydarzenia?

- Właśnie opowiadałam Laurel historię, która przydarzyła mi się, kiedy miałam dziewięć lat. - Usadowiła się wygodnie w bujanym fotelu i zamknęła oczy. - Kiedy obudziłam się po raz pierwszy w szpitalu, wszystko było jakby zamglone. Ale to już minęło, czuję się doskonale.

- To świetnie. Opowiedz mi zatem o dzisiejszym poranku. Zaczynaj od pobudki.

- Ubrałam się w to. - Spojrzała na nieco sfatygowaną jedwabną bluzkę. - Założyłam ulubione pantofle. Musiałam też mieć...

- Pamiętasz, jak się ubierałaś? Pokręciła przecząco głową.

- A wczoraj? Pamiętasz, co robiłaś wczoraj?

- Vonnie miała wolny wieczór. Byłyśmy same z Laurel. Uprażyłam popcorn. Słuchałyśmy płyty Arethy Franklin, trochę tańczyłyśmy w kuchni. Pamiętam wszystko doskonale.

Uśmiechnął się. Bardzo chciałby znaleźć się w tej kuchni, z Amandą, Laurel i Arethą.

- A co się zdarzyło wczoraj w banku?

- Pewnie byłam bardzo zajęta. Jak zwykle. Podpisywałam jakieś papiery dotyczące kredytów i...

- Poczekaj - przerwał jej. Szybko wywnioskował z jej słów, że nie pamiętała dokładnie, jak minął jej wczorajszy dzień pracy. - Jak byłaś ubrana?

Próbowała się skoncentrować, w końcu potrząsnęła bezradnie głową.

- Nie pamiętam. Wszystko, co wydarzyło się w banku... to czarna dziura. David, co ze mną jest? Powiedz, proszę!

David nie był ani neurochirurgiem, ani psychiatrą, ale interesował się tymi dziedzinami i wiedział co nieco na temat podobnych urazów. Dlatego też bez wahania mógł teraz postawić diagnozę: pamięć krótkotrwała została „wymazana” na skutek szoku.

Postanowił wytłumaczyć to Amandzie.

- Rankiem, podczas napadu, doznałaś traumatycznego przeżycia. Twój mózg wytworzył blokadę, mającą chronić cię przed wspomnieniami, które wywołują lęk.

- Nie bałam się, byłam wściekła.

- Zgadza się. Twój umysł usiłuje wyprzeć wściekłość. - David wiedział, że to podręcznikowy mechanizm psychologiczny. Pozbyć się strachu i bólu. - Możliwe, że twój zanik pamięci ograniczy się jedynie do faktów związanych z wydarzeniami w banku.

- I tak już zostanie?

- Pewnie nie. Ale może się też zdarzyć, że nigdy nie przypomnisz sobie, co wtedy zaszło.

- Ani samego napadu? Skinał głowę.

- To dobrze, Amando. Po co masz do tego wracać? Było, minęło. Lepiej o tym zapomnieć.

- Ależ ja chcę sobie przypomnieć!

Pragnęła odtworzyć w pamięci każdą sekundę napadu, każdy szczegół, wszystkie dźwięki. Zdawała sobie doskonale sprawę, jakie to dla niej ważne.

Nigdy wcześniej nie była niczego tak pewna. Jeżeli sobie nie przypomni, jej życie legnie w gruzach.

Laurel krzyknęła i Amanda natychmiast do niej podbiegła, lecz na szczęście nic się nie stało. Mała usiłowała jedynie, kopiąc nóżkami, poprawić pościel.

- Muszę spotkać się z agentami FBI - zdecydowała Amanda. - Nie wiem tylko, czy będę im miała coś sensownego do powiedzenia.

- Bez trudu ich spławię. Jako twój lekarz mogę w każdej chwili wydać opinię, że stan twojego zdrowia nie pozwala na rozmowę.

- Nie, wszystko w porządku. Powinam się trochę odświeżyć. Mógłbyś im powiedzieć, że będę gotowa za pięć minut?

- Jasne, nie ma sprawy.

Pogłaskała córkę po policzku i ruszyła pomału w kierunku drzwi. Z trudem utrzymywała równowagę, czuła się, jakby stąpała po lodzie.

- Znów kręci ci się w głowie? - zaniepokoił się David.

- Nie, wszystko w porządku. - Udało się jej dotrzeć do drzwi o własnych siłach. - Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś zechciał mi towarzyszyć podczas tego przesłuchania.

- Przesłuchania? Daj spokój, Amando. Chyba nie uważasz się za podejrzaną?

- David, proszę. - Głos jej zadrżał.

- Będę z tobą. Wiesz o tym.

Amanda, wychodząc, nie zamknęła za sobą drzwi i do środka wtargnął chłodny powiew. David pochylił się nad łóżeczkiem i szczelniej opatulił Laurel. Zamiast zostawać z Amandą, powinien już być w drodze do szpitala. Mógłby wrócić tu wieczorem, by w nocy czuwać przy jej łóżku. Teraz musiał zupełnie zmienić pierwotne plany.

A właściwie, czemu nie? Doktor Loretta Spangler na pewno zdążyła już donieść komu trzeba o jego skandalicznej niesubordynacji. Rajd z wózkiem inwalidzkim też z pewnością nie poprawi mu opinii wśród ludzi z zarządu szpitala.

Marzył, by wreszcie zrozumieli, że chociaż czasami zachowuje się niekonwencjonalnie, jest równocześnie dobrym lekarzem, który nie popełnia rażących błędów. Praca była dla niego najważniejsza. Jednak w obecnej sytuacji musiał podjąć energiczne kroki. Nie wolno mu zostawiać Amandy samej, nie teraz, kiedy jest jej potrzebny.

Przyglądał się Laurel. Mała gaworzyła i od czasu do czasu pocierała nosek. Ta dziewczynka złamie w przyszłości niejedno męskie serce, pomyślał.

- Zupełnie jak jej mama - dodał na głos.

Amanda stała przed lustrem w łazience, odtwarzając z niejakim trudem swój wizerunek osoby zimnej i kompetentnej. Czemu poprosiła Davida, żeby z nią został? Jeszcze nie tak dawno chciała się go pozbyć, wykreślić całkowicie ze swojego życia, zapomnieć o nim. A teraz? Czy to instynkt podpowiedział jej, że David nie odmówi jej pomocy?

Szybko obmyła twarz i ręce. Nie zdjęła opatrunku ze skroni, ale rozpuściła włosy. Było to trochę bolesne, jednak chciała się jak najlepiej zaprezentować agentom federalnym.

Nałożyła grubą warstwę podkładu pod oczy, pociągnęła usta szminką. Założyła turkusowe spodnie i pasującą do nich tunikę. Zerwała z nadgarstka plastikowy szpitalny identyfikator, zastępując go złotym zegarkiem Cartiera. Sprawdziła czas: zamiast obiecanych pięciu, te wszystkie czynności zajęły jej aż dziesięć minut.

Jeszcze tylko białe sandały i już mogła pokazać się ludziom na oczy.

Utrzymany w odcieniach szarości i błękitów salon nie był ani zbyt kobiecy, ani typowo męski. A jednak czterech czekających w nim facetów nie czuło się tu chyba dobrze - jakby zdawali sobie sprawę, że wyglądają w tym wnętrzu niczym słonie w składzie porcelany. David zerkał na Stefana.

Amanda spojrzała na Davida.

- Gdzie Laurel? - spytała.

- Vonnie się nią zajęła.

Schludny facet w letnim garniturze z szarej flaneli, białej koszuli i niegustownym krawacie postąpił krok do przodu.

- Pani Fielding, jestem John Metcalf, agent specjalny FBI. Witam.

Uścisnęła mu dłoń. Wyglądał raczej na księgowego niż na agenta, lecz specjalnie jej to nie zdziwiło. Kiedyś, przy innej okazji, miała już do czynienia z federalnymi. Opanowani, często nijacy, zachowywali się jak typowi urzędnicy.

- A to mój partner, agent Greg Hess - przedstawił mężczyzna kolegę.

Agent Greg Hess okazał się człowieczkiem chudym i niepozornym. I ubranym w równie konwencjonalny sposób. Nie było wątpliwości, że jest młodszy stopniem.

- Miło mi panów poznać - powiedziała Amanda. - Możemy zaczynać?

- Poczekaj, Amando - wtrącił Stefan - może nie powinnaś rozmawiać z FBI bez twojego adwokata?

- Jestem wdzięczna za twoją troskę, Stefanie, ale nie zapominaj, że sama też jestem prawnikiem. - Potem zwróciła się do agentów: -

Bardzo chciałabym wam pomóc, ale uprzedzam, że niewiele pamiętam.

Metcalf spojrział na Davida.

- Doktor powiedział nam, że pani nic nie pamięta.

- Zrobię, co w mojej mocy. - Wskazała na długi stół z wiśniowego drzewa stojący w części jadalnej. - Może usiadzimy?

Przez ogromne okno widać było zapierającą dech w piersiach panoramę Denver. Właśnie to był jeden z powodów, dla których polubiła to przestronne, wyposażone w trzy sypialnie mieszkanie. Często siadywała na niewielkiej przeszklonej werandzie koło kuchni i spoglądała na przetaczające się ponad wierzchołkami gór chmury, na dachy domów i korony potężnych drzew.

W nocy widać było za oknami miliony gwiazd. W ich blasku kochała się z Davidem. Czy to naprawdę było tylko półtora roku temu? Ta noc zaowocowała poczęciem dziecka, zmieniła całe jej życie.

Podchodząc do stołu, spojrzała na Davida, nie mogła się powstrzymać. Pewnie, spotkanie z agentami federalnymi to nie najlepsza pora na roztrząsanie problemów sercowych, ale była ciekawa, o czym on teraz myśli. Czy jeszcze kiedyś weźmie ją w ramiona, obsypie namiętymi pocałunkami? Czy jeszcze kiedykolwiek będą się kochali? Czy dowiedziawszy się prawdy o Laurel, zdoła jej kiedykolwiek wybaczyć?

Usiadła koło Davida, Stefan po przeciwnej stronie. Agenci FBI nadal stali.

- Wolałbym porozmawiać z panią na osobności, pani Fielding - odezwał się sztywno Metcalf.

- Jestem lekarzem Amandy - zaproponował David. - Nalegam, żeby ta rozmowa odbyła się w mojej obecności.

Zaprotestował również Stefan:

- Ona może mnie potrzebować, liczy na moje wsparcie emocjonalne.

- Panowie, tak nie można. Obowiązują nas pewne procedury.

- Amanda wiele dziś przeszła. - Stefan uściśnął jej dłoń. - Zostanę tu, żeby się upewnić, że nie będziecie wobec niej brutalni.

Nim zdążyła poinformować wszystkich obecnych, że sama doskonale da sobie radę, do rozmowy ponownie włączył się David.

- Muszę sprawować nadzór medyczny. Ta kobieta odniosła poważne obrażenia mogące zagrażać jej życiu.

Położył dłoń na jej drugiej ręce.

No tak, obaj dali się ponieść męskiej ambicji, pomyślała Amanda z rozbawieniem. Zaraz skoczą sobie do gardeł. W powietrzu nieomal czuć było zapach testosteronu.

- Panowie, proszę, ja...

Przerwało jej natarczywe dobijanie się do drzwi.

Z dzieciennego pokoju dobiegał płacz Laurel.

Nie, tego naprawdę już za wiele. Do tego zawroty głowy, ból spowodowany urazem...

Do pokoju wtargnął z siłą huraganu Frank Weathers z rozwichrzoną blond czupryną.

- Bogu dzięki, nic ci się nie stało! - wykrzyknął.

- Co ty tu robisz, Frank? - zdziwiła się Amanda. - Jak udało ci się przechytrzyć portiera? A może go przekupiłeś?

- Mam przyjaciela w tym budynku - zwrócił się teraz do agentów FBI. - Naprawdę powinniście bardziej zadbać o bezpieczeństwo. Jeżeli ja się tu dostałem, wścibski reporter tym bardziej sobie poradzi.

- Dość tego! - Amanda uwolniła dłonie z uścisku Stefana i Davida. Wstała, spojrzała wymownie na Franka. Nie była tak silna jak ci faceci, ale potrafiła zademonstrować swój autorytet. Musiała to umieć, inaczej nie dotarłaby do tak wysokiego stanowiska w banku.

- Stefan i Frank, wychodźcie. Nalegam. Natychmiast. To jest przesłuchanie prowadzone przez FBI, a nie herbatka u cioci na imieninach.

- Zrozumiałem aluzję. - Frank cmoknął Amandę w policzek. - Cieszę się, że z tobą wszystko w porządku. Rozmawiałem z Billem Chessmanem, przesyła ci życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Chessman był przewodniczącym rady nadzorczej Empire Bank. No tak, Frank nie tracił czasu. Pewnie natychmiast zaoferował szefowi swoje usługi, dopóki ona nie odzyska sił.

- Cześć, Frank! - pożegnała go zimno.

Frank przytrzymał Stefanowi drzwi. Ten jeszcze się ociągał. Wreszcie rzucił:

- Uważam, Amando, że powinienem zostać. Może będę ci potrzebny.

- Owszem, mam do ciebie pewną prośbę. Zadzwoń do Chicago do moich rodziców i powiedz im, że nic mi nie jest. Zrobisz to dla mnie?

- Pewnie - zgodził się z ponurą miną. - Mam im powiedzieć, że później się z nimi skontaktujesz?

- Tak, tak będzie najlepiej, bo Vonnie włączyła automatyczną sekretarkę.

Stefan poklepał Amandę po ramieniu.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

Kiedy wreszcie zamknęły się za nimi drzwi, Amanda poczuła, że odzyskuje kontrolę nad sytuacją. Usiadła za stołem, obok Davida.

- Agencie Metcalf, możemy zaczynać? Metcalf położył dyktafon na blacie.

- Nie będzie to pani przeszkadzało?

- Skądże.

- Po pierwsze, chcielibyśmy się dowiedzieć, jak funkcjonują bankowe systemy ochrony. Zaczniemy od monitoringu.

- Jest sześć kamer - potrafiła sobie doskonale przypomnieć system zabezpieczeń - cztery w holu, jedna w skarbcu. Kolejna rejestruje obraz z pomieszczenia, w którym trzymamy depozyty. Wszystkie pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę i przesyłają obraz do Summit Security Systems, lokalnej firmy zajmującej się ochroną. System jest całkowicie skomputeryzowany. Jeżeli transmisja zostanie przerwana, ludzie z Summit natychmiast się o tym dowiedzą.

- Czy musi pani wyłączyć kamery, żeby zmienić kasetę?

- Mamy tajny kod komputerowy, który pozwala powiadomić agencję ochrony, że urządzenia nie będą działać przez najbliższy kwadrans.

- Kto zna tę procedurę?

- Strażnik, Harry Hoffman, pracujący dla Summit. No i oczywiście ja. Kody trzymam w zamkniętej szufladzie mojego biurka.

Zawahała się, pamięć znów zaczęła jej płatać figle.

- Mieliśmy ostatnio jakieś problemy z kamerami. W zeszłym miesiącu wyłączały się chyba trzy razy.

A może częściej? Nie pamiętała. Technik z firmy Summit przyszedł i wszystko naprawił. Sprawdzono jego papiery, był całkowicie wiarygodny.

- Czemu mnie pan o to pyta? Czy to jakoś wiąże się z napadem?

- Ja tu jestem od zadawania pytań, pani Fielding. Więc jest sześć kamer?

Amanda była kiedyś adwokatem i takie techniki przesłuchań nie były jej obce. Powtarzając pytania i ignorując jej próby uzyskania wyjaśnień, Metcalf usiłował wyrzucić na nią subtelną presję. Traktował ją jak wrogo nastawionego świadka.

- Jesteśmy po tej samej stronie - zwróciła mu uwagę. - Jestem prezesem tego oddziału banku i byłabym zobowiązana, gdyby zechciał pan ze mną współpracować. Czy kamery były wyłączone?

- Pani Fielding, proszę mnie nie pouczać, jak mam wykonywać swoją pracę.

Zmierzyli się wzrokiem i Amandzie zupełnie nie spodobało się to, co wyczytała w oczach agenta. Metcalf był uprzejmy, ale jednocześnie atakował ją, usiłował osaczyć pytaniami. Dlaczego jej nie ufał?

Była wdzięczna Davidowi, że jest przy niej i dodaje jej otuchy.

- Proszę opowiedzieć mi o cichym alarmie - ciągnął dalej Metcalf.

- Przyciski do jego uruchamiania znajdują się w każdej kasie, w skarbcu i w pomieszczeniu z depozytami. A także we wszystkich biurach, również w moim. Naciśnięcie któregokolwiek jest równoznaczne z powiadomieniem policji i Summit Security Systems.

To nie było nic nadzwyczajnego. Tak wyglądało standardowe wyposażenie wszystkich instytucji finansowych.

- Czy w czasie próby napadu zdołała pani nacisnąć jeden z tych guzików?

Usiłowała się skupić. Gdzie wtedy była?

- Przykro mi, nie pamiętam, co się stało.

- Przynajmniej powinna pani spróbować. Pani obowiązkiem, jako prezesa, było zapobiegnięcie napadowi.

- To oczywiste.

- Przypuśćmy, że jeden z guzików zostałby naciśnięty przez pomyłkę. Co wtedy?

- Zostaje powiadomiona agencja Summit Security, a oni dają znać policji. Potem alarm zostaje wyłączony. Przyjeżdża ktoś z pracowników ochrony, by upewnić się, że wszystko w porządku.

- Czy coś takiego zdarzyło się dzisiaj rano?

- Nie pamiętam. - Amanda zastanawiała się, do czego on zmierza. Po co miałyby wyłączać alarm i to właśnie w trakcie napadu?

- Proszę się skupić, pani Fielding. - Agent nie dawał za wygraną.
- Ona nie pamięta - wtrącił David. - Dopóki nie odzyska krótkotrwałej pamięci, nie ma sensu jej naciskać.

Metcalf nie odrywał od niej podejrzliwego spojrzenia, jakby chciał dać do zrozumienia, że ta opowieść nie trafia mu do przekonania. Chyba podejrzewał o coś Amandę. Ale o co? Przecież nie mogła być zamieszana w napad na bank. Z drugiej strony ta Montero, reporterka, której udało się wtargnąć do szpitala, powiedziała, że bandytom musiał pomagać ktoś z personelu.

Oparła dłonie na blacie i za wszelką cenę usiłowała sobie cokolwiek przypomnieć. Bez skutku.

- Przykro mi, ale mam pustkę w głowie.

- Proszę mi coś opowiedzieć o Carrie Lamb. - Agent zmienił temat.

- Jest kasjerką w Empire Bank i dobrą przyjaciółką. Amanda i Carrie były ze sobą bardzo zżyte, dzieliły troski i radości, nie miały przed sobą tajemnic. Tylko Carrie wiedziała, że David jest ojcem Laurel.

- Kiedy ją pani zatrudniła?

Amanda nie dała po sobie poznać napięcia, jednak w jej głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. No tak, zatrudniła Carrie w sposób wysoce nieregulaminowy, ale nie zamierzała zdradzać FBI sekretów przyjaciółki.

- Wydaje mi się, że przyjąłem ją do pracy jakieś dwa lata temu.

- Znałyście się panie wcześniej?

Nie powinna kłamać, ale jednocześnie nie mogła zawieść zaufania Carrie.

- Mam wrażenie, że znamy się od zawsze.

- Czy tego też pani nie pamięta?

Znów dostrzegła w jego zimnych, badawczych oczach podejrzliwość. Pamiętała o włączonym magnetofonie, dlatego też nie mogła sobie pozwolić na jawne kłamstwo.

- Przeżyłam wstrząs. Moja pamięć nieco szwankuje.

- Doktor Haines zapewnił nas, że pani świetnie pamięta zdarzenia z przeszłości.

- Tego nigdy nie można być do końca pewnym - wtrącił się David. - Proszę przejść do następnych pytań.

- Pani Fielding, czy kiedykolwiek była pani w mieszkaniu Carrie Lamb?

- Tak.

- Czy zauważyła pani tam coś niezwykłego?

- Nie. - Amanda przypomniała sobie małe mieszkanko na Capitol Hill. Beżowy dywan, białe ściany, wiszące na nich kolorowe plakaty, mnóstwo książek, figurek, świeczek. I broń. Carrie miała trzy sztuki broni palnej.

- Nic niezwykłego? - Metcalf nie dawał za wygraną. Amanda nie chciała wspominać o broni.

- Po co te pytania na temat Carrie?

- Po tym, jak została wzięta jako zakładniczka dzisiejszego ranka, musimy...

- Zaraz, zaraz... - zimny dreszcz przeszedł jej po plecach - powiedział pan, że została wzięta jako zakładniczka?

Metcalf i jego partner popatrzyli na siebie.

- Tak, proszę pani.

- Została ranna? Co się właściwie stało?

- Jeden z bandytów - odezwał się agent Hess - użył jej jako tarczy, wychodząc z budynku. Odjechali motocyklem, ona siedziała z tyłu, snajper nie mógł precyzyjnie wycelować. To zdarzyło się po wkroczeniu brygady antyterrorystycznej do banku.

- Oni szturmowali budynek? - Była zaszokowana. - Jak mogło do tego dojść?

- Negocjacje zostały zerwane - odparł Hess. - Rozmowy z bandytami prowadziła lokalna policja. Należało odpowiednio wcześniej powiadomić FBI, zamiast niepotrzebnie narażać życie zakładników.

- Miejscowi zrobili, co mogli - zaproponował jego zwierzchnik z przekonaniem.

Znów mróz przeszedł jej po krzyżu. Zwróciła się do Davida:

- Pamiętam.

Jego ciepłe spojrzenie dodawało jej odwagi.

- Powiedz, Amando, co pamiętasz?

Zamknęła oczy. Musi zapanować nad nerwami. Była zawsze taka opanowana...

- Koło stanowisk kasowych. Trzech bandytów ubranych na czarno, w maskach. I my trzy. Ja, Carrie i Tracy.

Jakby z oddali ujrzała siebie i pozostałe dwie kobiety przytulające się do siebie, zupełnie bezradne. A ona nic nie mogła zrobić, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Spełniał się jej najgorszy koszmar.

- Och, David! Nie mogłam ich powstrzymać! To wszystko moja wina!

Obrazy nakładały się na siebie, tonęły w mgle zapomnienia. Chwyliła Davida za rękę. Czuła się tak, jakby jedynie ciepło jego dłoni trzymało ją przy życiu. Zadrżała i wreszcie otworzyła oczy.

- Już dobrze - uspokajał ją. - Nic nie mogłaś zrobić. Chciała mu uwierzyć, ale jego słowa były sprzeczne z jej filozofią życiową, która sprowadzała się do nakazu: nigdy nie wolno się poddawać. Zawsze można coś zrobić. Zawsze.

Teraz, widząc troskę we wzroku Davida, zrozumiała, że ten człowiek jest jej jedynym oparciem.

- Pani Fielding - dotarł do niej głos agenta Metcalfa - co jeszcze pani pamięta?

- Nic

- Powoli, panowie. - David gestem ręki uciszył funkcjonariuszy siedzących po drugiej stronie stołu. Jego głos ledwo docierał do Amandy. - Wszystko będzie dobrze, wyjdiesz z tego, dziewczyno. Słyszysz mnie?

- Tak.

Z całych sił pragnęła odzyskać nad sobą kontrolę, walczyć z tą niepojętą słabością, działać. Carrie została zakładniczką. Co z Tracy Meyer?

Zapytała o to na głos, bojąc się jednocześnie usłyszeć odpowiedź.

- Pani Meyer nic się nie stało - powiedział Metcalf. Tracy ma przecież siedmioletnią córeczkę, na której nazwisko zdeponowano pokaźny fundusz w banku.

- Wydaje mi się, że miałam spotkać się z Tracy Meyer pierwszego lipca.

- Dziś właśnie jest pierwszy lipca - przytaknął agent.

- Oczywiście - zgodziła się Amanda.

Ciągle nie mogła sobie przypomnieć, czy spotkanie doszło do skutku. Wszystkie wydarzenia dzisiejszego dnia spowijał nieprzenikniony mrok. Pragnęła jedynie iść spać, pozwolić sobie na luksus zapomnienia, pozwolić, by to inni szukali odpowiedzi na wszystkie dręczące ją pytania.

Zaraz, nie wolno pozwalać sobie na bierność. Poradzisz sobie, przekonywała samą siebie. Jeśli ktoś jest prezesem banku, powinien być odpowiedzialny i zachowywać się racjonalnie.

Oderwała wzrok od Davida i spojrzała wprost na tych z FBI.

- Czy z Carrie Lamb wszystko w porządku?

- Wciąż jest przetrzymywana jako zakładniczka. Mamy jednak podstawy przypuszczać, że zgodziła się na to dobrowolnie.

- To jakiś absurd! - zaprotestowała Amanda. - Carrie jest doskonałym pracownikiem!

- Miejscowa policja była o krok od zatrzymania bandyty, kiedy Carrie Lamb otworzyła do nich ogień.

- Niemożliwe! - Carrie zamieszana w próbę napadu? Carrie miałyby zdradzić bandytom procedury zabezpieczeń w banku? - Nie wierzę, że brała w tym udział!

- Ale nie pamięta pani dokładnie?

- Nie, nie pamiętam. - Amanda zacisnęła zęby. Metcalf wyłączył dyktafon.

- To tyle na razie, pani Fielding. Będziemy w kontakcie. - Podniósł się zza stołu.

Wciąż trzymając Davida za rękę, odprowadziła facetów z FBI do drzwi.

- Jeśli sobie coś przypomnę, jak mogę się z panem skomunikować, panie Metcalf?

Metcalf wyciągnął z portfela wizytówkę, wskazując jednocześnie na obraz wiszący w salonie.

- Niezła kopia Moneta.

- Skąd pan wie, że to kopia?

- Wiem, że dostała ją pani od matki jako prezent do nowego mieszkania. Wiem też, że musiała zaciągnąć pożyczkę, żeby kupić ten obraz.

Amanda cofnęła się o krok i wpatrywała w mężczyznę w osłupieniu.

Następną kwestię agent wyszczał niczym wąż:

- Znam pani stan majątkowy, stan posiadania pani rodziców. Wiem, że pani i pani brat spłacacie hipotekę za dom rodziców w Chicago. Mam wszystkie informacje o zaciągniętych przez panią kredytach, o pani rozmowach telefonicznych, o wszystkich biletach lotniczych, jakie kiedykolwiek pani wykupiła.

Nareszcie zrozumiała, dlaczego tak się dopytywał o jej relacje z Carrie, która jakoby miała być zamieszana w napad. Wzdrygnęła się.

- Przeprowadziliście solidne dochodzenie.

- Rutyna. Motywem napadu są zazwyczaj pieniądze, a na przygotowanie tego przedsięwzięcia wydano sporo forsy. To standardowa procedura, sprawdzamy wszystkich, którzy mogliby być zamieszani w sprawę.

Wręczył jej wizytówkę.

- Jeżeli Carrie Lamb skontaktuje się z panią, proszę natychmiast zadzwonić.

- Oczywiście. Ze swojej strony również zrobię wszystko, żeby ją odnaleźć.

Zaniknęła drzwi za agentami.

Kiedy David delikatnie ją przytulił, nie opierała się.

- W porządku, Amando?

- Oni myślą, że jestem zamieszana w ten napad.

- Taka już ich praca, muszą podejrzewać wszystkich. Należało przyznać, że jej sytuacja nie przedstawia się zbyt

różowo. Miała dostęp do kodów wyłączających system wideo i cichy alarm. Carrie, jej bliska przyjaciółka, otwierała listę podejrzanych. Kto przygotowałby napad na bank lepiej niż jego prezes i jej zaufana kasjerka?

Oczywiście musiał istnieć sposób na odparcie podobnych zarzutów. Problem tylko w tym, że niewiele sobie potrafiła przypomnieć.

- Davidzie, czy pomimo utraty pamięci krótkotrwałej mogę przypomnieć sobie coś ważnego, naprawdę istotnego?

- To niewykluczone.

Delikatnie głaskał ją po policzku, uśmiechał się, dodając otuchy, lecz ona nie chciała poddać się nastrojowi chwili. Gdzieś w głębi jej umysłu tkwił klucz do zrozumienia, co naprawdę wydarzyło się w banku. Wiedziała, że odpowiedź na te niepokojące pytania jest tuż, tuż...

- Davidzie, czy mogłabym zapomnieć, że brałam udział w przygotowaniach do napadu?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Wyczytała to w jego oczach: wszystko jest możliwe.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po powrocie do ambulatorium Denver Generał David był tak zajęty, że nie miał czasu myśleć o problemach Amandy. Tak czy inaczej pomyślał, iż była ona osobiście zamieszana w napad, wydawał mu się zupełnie idiotyczny. Owszem, ta kobieta była potwornie uparta i wiedziała, jak postawić na swoim i jak manipulować ludźmi, ale żeby napad? Nie, to wykluczone, zupełny nonsens.

Uporał się ze zwykłą robotą - mnóstwo przypadkowo odniesionych ran, jakieś nagłe zachorowania, krew i wymioty. Potem zaczął zastanawiać się, co naprawdę mogło wydarzyć się w banku. Postanowił zajrzeć do rannego klienta. Pan Nyland nadal przebywał na oddziale intensywnej opieki, jego stan określono jako krytyczny. Jeden z bandytów, Tempie, również tam leżał, przed drzwiami jego pokoju dyżurował policjant.

Na zakończenie tego nieformalnego obchodu złożył wizytę Harry'emu Hoffmanowi, którego już przeniesiono na zwykły oddział. Może mógłby powiedzieć coś, co odświeży pamięć Amandy.

Hoffman siedział na szpitalnym łóżku i gapił się w telewizor. Na policzkach miał kilkunastogodzinny zarost, na głowie bandaż. Był ranny, ale na pierwszy rzut oka miewał się nieźle. Na oko liczył sobie około pięćdziesiątki. Krótkie rękawy szpitalnej piżamy odsłaniały potężne mięśnie. Na lewym nadgarstku miał elastyczną opaskę, na prawym przedramieniu tatuaż przedstawiający głowę lwa.

- Panie Hoffman... - zaczął David.

Zagadnięty nie oderwał wzroku od ekranu telewizora.

- Co, jeszcze jeden lekarz? Nie widziałem tu pana wcześniej. Kim pan jest?

- Zajmowałem się Amandą Fielding. Jest już w domu i przesyła panu pozdrowienia.

- Przysłała pana, by mi oznajmić, że mogę sobie szukać nowej roboty? - Wzrok Harry'ego nie zdradzał żadnych emocji.

- Ależ skąd! - David pokręcił głową.

- Zawałem sprawę - wymamrotał. - Niech pan powtórzy pani Amandzie, że jest mi bardzo przykro z powodu tego, co się stało. Ona jest całkiem w porządku jako szefowa. Poparła mnie, kiedy wszyscy inni mówili, że jestem za stary do tej roboty.

- Jak pan dostał to stanowisko? Był pan wcześniej gliniarzem czy wojskowym?

- Przeszedłem niezłą szkołę w piechocie morskiej. Dwie tury w Wietnamie. Próbowałem wielu rzeczy, nim trafiłem do ochrony. Ale zawsze lubiłem mieć do czynienia z bronią.

David uznał to za żart.

- Czy zechciałby pan opowiedzieć mi o dzisiejszym napadzie? Mógłbym coś przekazać Amandzie.

- Nie ma potrzeby. Sam do niej zadzwonię. - Hoffman odłożył pilot i sięgnął po telefon komórkowy.

- Szkoda zachodu. Ma wyłączony telefon.

- Dziennikarze, co? Cholerne hieny. Aż mnie skręca, kiedy pomyślę, że węższą wokół Amandy.

- Ona bardzo przejęła się tym napadem. - David nie był pewien, jak wiele może powiedzieć Hoffmanowi. - Pańskie informacje mogą jej pomóc w odtworzeniu zdarzeń.

- Przykro mi, doktoru. Nic panu nie powiem. Będę rozmawiał tylko z Amandą. Niech pan jej poda mój numer.

David nagryzmolił numer telefonu.

- FBI przesłuchiwało Amandę, bardzo się interesowali cichymi alarmami i kamerami.

- Dobra. Niech pan przekaże Amandzie, że zachowam dla siebie jej mały sekret.

- Jej sekret?

- To sprawa wyłącznie między nami - oznajmił Harry. - Niech jej pan tylko powie, że bardzo się cieszę, iż jest cała i zdrowa.

- Czy ma pan jakieś kłopoty z pamięcią z powodu rany głowy? - spytał David.

- Ja? - Harry znów zagapił się w telewizor; właśnie nadawano prognozę pogody dla stanu Kolorado. - Jestem za twardy, by ktoś mógł wybić mi coś ze łba albo coś do niego siłą wtłoczyć.

Krótki prysznic i już po chwili David zakładał dzinsy i białą koszulkę polo. Cóż to za sekret ma Amanda, zastanawiał się. Najwidoczniej wplątała się w jakieś konszachty z Hoffmanem. Ale o co chodzi? Nie mógł uwierzyć, że była współniczką tak poważnego przestępstwa. Z drugiej strony... nie zająknęła się słowem, kto jest ojcem jej dziecka. Oszustwa, kłamstwa i półprawdy...

Wyszedł na parking, skierował się do swojego porsche. Nad miastem zapadał upalny zmierzch, zachodziło czerwone słońce. Pomyślał, że warto by wpaść na hamburgera, nim wróci do

mieszkania Amandy. Ona pewnie będzie wolała mniej kaloryczne danie, on zaś był głodny jak wilk.

Ruszył, nastawił klimatyzację na prawdziwie arktyczną temperaturę i po chwili zaparkował przed barem szybkiej obsługi. Naprzeciw był sklep z alkoholami.

Popatrzył na neon. Pamiętał wspaniały smak szkockiej. Nie pił już od ponad czterech lat, odkąd wrócił na medycynę. Dokładnie od czterech lat i trzech miesięcy. Ale wciąż jeszcze nie było dnia, żeby nie pomyślał o kieliszku.

Jakaś perwersyjna logika podpowiadała mu, że przecież mógłby wypić drinka, może nawet dwa, albo choćby tylko piwo. Przebywanie w pobliżu Amandy potęgowało jeszcze tę pokusę.

Wysiadł z samochodu, wszedł do sklepu. Wspaniale, chłodno, znajomo, cicho. Światła odbijające się w setkach butelek wina. Białe wytrawne, czerwone. A dalej bursztynowo połyskujące rumy i whisky w karafkach z rżniętego szkła.

Facet za ladą o nic nie pytał, czekał. David był niemal pewien, że bywał już w tym sklepie. Chodził pomiędzy półkami, pozdrawiał flaszki jak starych znajomych. Jakby całonocne imprezy, przepicie i rozedrgane dłonie były czymś miłym. Nie wiedział dokładnie, dlaczego zaczął coraz częściej sięgać po alkohol. Ani tego, jak dotarł na skraj przepaści. Mózg przeżarty alkoholem, nerwy w strzępach. Piekło. A jednak wciąż pragnął tego drinka.

Zamknął dłoń na szyjce butelki - jakby uścisnął dłoń diabłu. Czy naprawdę Laurel jest jego córką? Przypomniał sobie zaróżowione policzki maleństwa, roześmiane niebieskie oczy.

Odwrócił się na pięcie, wyszedł z monopolowego. W barze złożył zamówienie.

- Życzy pan sobie do tego frytki?

- Żadne frytki. Podwójne martini. Nie, zmieniłem zdanie, koktajl mleczny z czekoladą.

Szybko zjadł i wypił, wskoczył do samochodu. Zostawił wóz na piętrowym parkingu przed domem Amandy. Umówił się z Vonnie, że wpuści go dopiero wtedy, kiedy przedstawi się jej pełnym imieniem i nazwiskiem:

- To ja we własnej osobie, David Underwood Haines. Gdy rozległ się brzęczyk, wszedł szybko do budynku. Wjechał na czternaste piętro.

Vonnie czekała już przy drzwiach.

- Właśnie pokazywali was w wiadomościach - wyrzuciła z siebie jednym tchem, bardzo przejęta. - Elaine Montero nadaje relacje spod naszego domu.

- Szlag by to trafił! - Nie zauważył wozu transmisyjnego. - Jak Amanda?

- Naprawdę bardzo, bardzo spokojna - odparła dziewczyna. - Szczególnie jak na nią.

- Co przez to rozumiesz?

- Bo ona zawsze robi dziesięć rzeczy naraz. Pisze list, jednocześnie maluje paznokcie u nóg i bawi się z córeczką. Obudziłam ją o umówionej porze, sprawdziłam, jak pan kazał, żrenice. A ona tylko kazała przynieść sobie Laurel do sypialni. I od tego czasu nic się nie dzieje. Aż strach.

- Strach?

- Strach. Jakby coś kombinowała.

David pomyślał, że raczej usiłuje wypełnić luki w swej pamięci. Miał podstawy, by tak sądzić, bo przecież doskonale znał Amandę. Pewnie doszła do wniosku, że amnezja to jej вина, a nie wynik urazu.

- Rozmawiałam z moją mamą - pochwaliła się niania.

- I co?

- Powiedziała, że powinnam dać sobie spokój z tą pracą, wynosić się stąd, zanim spotka mnie coś złego.

- Opanuj się, Vonnie. - David poklepał ją po ramieniu. - Musisz tu zostać, Amanda cię potrzebuje.

Zanim wszedł do sypialni Amandy, zapukał.

- Proszę.

Ten przestronny pokój zawsze go fascynował. Reszta apartamentu pewnie została urządzona przez dekoratora, ale tu znać było osobowość właścicielki. Tapety w delikatny wzór winorośli. Mnóstwo drobiazgów zebranych z potrzeby serca, bez troszczenia się o odpowiedni wystrój. Zdjęcia rodziców, Jacka i Shirley Fieldingów. Mnóstwo fotografii Laurel. Wszystkie w starannie dobranych ramkach. Było nawet zdjęcie Stefana, który, jak na gust Davida, prezentował się aż nazbyt dobrze w czasie jakiejś górskiej wspinaczki.

Dominowała biel. Biała narzuta na łóżku, białe muślinowe firanki, obity białym welurem szezlong. Zbieranina tajemniczych

flaszeczek, pamiątek i szkatulek na biżuterię zapełniała sekretarzyk i toaletkę. W powietrzu unosił się delikatny, subtelny zapach.

Amanda, niknąca niemal w wielkim łóżku, wsparta na poduszkach, sprawiała wrażenie kruchej i drobnej. Obok, na białym kocyku, leżała Laurel i bawiła się wielkimi kolorowymi kluczami z plastiku.

David przyjrzał się Amandzie. Z obandażowanym czołem i lekką opuchlizną na lewym policzku wydała mu się niezwykle piękna.

Jak dobrze pamiętał dotyk jej jedwabistej skóry, wspaniałe chwile, kiedy się kochali.

Zmusił się, żeby patrzeć jedynie na twarz Amandy.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Kiedy się nie ruszam, jest dobrze. - Słaby uśmiech dowodził jednak, że to oświadczenie zostało złożone na wyrost i było wynikiem brawury, a nie szczerości. - Tylko potwornie boli mnie głowa.

- A jak z twoją pamięcią?

- Niewiele lepiej. Pamiętam jedynie jakieś pojedyncze obrazy, które nie układają się w sensowną całość.

Usiadł na łóżku, Laurel leżała teraz między nimi; powitała Davida radosnym spojrzeniem i gaworzeniem.

- Cześć, ślicznotko - zagadnął. - Co my tu mamy? Mała potrząsała kluczami, zapatrzona w nie z ogromnym zainteresowaniem. Nie pozwoliła sobie odebrać zabawki, przewróciła się na brzuch i zaczęła czołgać ku krawędzi łóżka.

David chwycił ją delikatnie.

- Mogę położyć ją na dywanie? - zapytał.

- Jasne. Całe mieszkanie jest bezpieczne dla dziecka, przynajmniej na razie, dopóki mała nie chodzi.

Raczkująca Laurel wyglądała jak dziecięcy samochodzik terenowy. Wydawała nawet dźwięki mogące uchodzić za odgłosy pracy silnika.

David spojrział na Amandę.

- Powiedz mi coś o tych przeblyskach pamięci - poprosił.

- Pamiętam trzy nazwiska: Dallas, Tempie i Sarge. Przypuszczam, że tak nazywali się bandyci i sądzę, iż musiałam usłyszeć, jak ktoś je wymawia w trakcie napadu.

Zauważył, że Amanda celowo nie patrzy mu w oczy. Najwyraźniej coś przed nim ukrywała.

- Ze mną możesz być absolutnie szczerą.

- O co ci chodzi? - obruszyła się.

- Obrazy w twojej pamięci mogą być zniekształcone. Opisz mi wszystko, a ja pomogę ci to poskładać w sensowną całość. Obiecuję, że nikomu nie zdradzę, co od ciebie usłyszałem.

- Nie mogę zaufać żadnym obietnicom - powiedziała z goryczą. - Byłam kiedyś prawnikiem, pamiętasz? Obracałam się wśród ludzi, którzy ciągle łamali dane słowo.

- Ale mnie, do cholery, możesz zaufać!

- Akurat tobie? - Znów spojrzała nań zimnym, niemal wrogim wzrokiem. - Kiedy byliśmy zaręczeni, zawodziłeś mnie na wszystkie możliwe sposoby.

Podniósł się z łóżka, podszedł do okna wychodzącego na wschód. Miał ochotę je otworzyć, wpuścić tu trochę prawdziwego powietrza, przewietrzyć to sterylne, klimatyzowane pomieszczenie. Kiedy Amanda wreszcie mu przebaczy i przestanie wypominać przeszłość?

Kiedy zerwała z nim, rozumiał jej pobudki. W jego życiu panował kompletny chaos. Był alkoholikiem, podejmował idiotyczne decyzje, pewnie nie dociągnąłby do trzydziestych piątych urodzin.

Teraz jednak był zupełnie innym człowiekiem. Pozbierał się, początkowo powodowany złością. Chciał pokazać Amandzie, że potrafi być poważny i odpowiedzialny. Schował dumę do kieszeni, wrócił na medycynę. Dopiero znacznie później zdał sobie sprawę, że kierowała nim nie tyle urażona ambicja, co raczej odwieczne marzenie o tym, by zostać lekarzem. I udało się.

- Nie zamierzam wracać do przeszłości - oznajmiła Amanda.

Niestety, ich wspólna przeszłość była jak nie dające się wyplenić zielsko.

- To była Carrie - powiedziała.

- Nie rozumiem. - Odwrócił się od okna.

- Przypomniałam sobie, że to Carrie powiedziała „Dallas”. Jakby знаła to nazwisko... I zobaczyłam pistolet w jej dłoni.

- Pistolet?

- Tak, z chromowaną lufą i wykładaną drewnem rękojeścią. Carrie wyjęła pięć kul, pamiętam ten dźwięk.

- To brzmi trochę jak opowieść senna.

- Może. Te pociski wydawały taki dziwaczny odgłos, jakby wpadały do wody. A przecież przez Empire Bank nie przepływa żaden potok, więc pewnie mi się tylko wydawało.

- Opowiedz mi o Carrie.

- Znam ją od bardzo dawna, razem dorastałyśmy w Chicago. Przyjaźniłyśmy się, ale nie byłyśmy ze sobą bardzo blisko. Poszłyśmy do różnych szkół średnich. Dwa lata temu pojawiła się tu, w Denver, odszukała mnie, poprosiła o pracę kasjerki w banku. Wiedziałam, że coś jest nie tak.

- Skąd to wrażenie?

- Carrie pochodzi z bardzo zamożnej rodziny. Naprawdę bogatej, w przeciwieństwie do mojej. Wydało mi się dziwne, że prosi o pracę kasjerki.

- Ale zdecydowałaś się jej pomóc.

- David, bardzo proszę, żebyś nikomu nie powtarzał tej rozmowy. Zwłaszcza policji ani FBI.

- Nie ma sprawy. Słyszałaś o tajemnicy lekarskiej?

- Sądziłam - przewróciła oczami - że to dotyczy jedynie kondycji fizycznej pacjenta.

- Ja przyjmuję szerszą interpretację. Nic nikomu nie powiem, przysięgam.

Laurel dopęłzła do dużego lustra, usiadła i zaczęła gaworzyć z własnym odbiciem.

Amanda kontynuowała swoją opowieść.

- Carrie powiedziała mi, że ma za sobą bardzo nieudane małżeństwo. Przed ślubem nie poznała tego faceta zbyt dobrze, po kilku miesiącach odkryła, z jakim łajdakiem się związała. Wzięła rozwód, ale on ją wciąż prześladował.

- Nie mogła poprosić o pomoc swojego bogatego tatusia?

- Nie, bo się pokłócili. Załatwiła sobie papiery na inne nazwisko, przyjechała tutaj. Żeby pracować w banku, musiała mieć ubezpieczenie. To też sobie kupiła. A ja ją zatrudniłam, wiedząc doskonale, że ma lewe dokumenty.

Pomaganie przyjaciołom w kłopotach nie było niczym niezwykłym dla Davida, ale zdawał sobie sprawę, ile musiało Amandę kosztować obejście, a właściwie złamanie przepisów.

- Przeżywasz to tak, jakbyś skłamała po raz pierwszy w życiu.

Potrząsnęła głową, włosy opadły jej na twarz.

- To nie jest moje najgorsze kłamstwo.

Czyżby mówiła o sekrecie dzielonym z Hoffmanem? Może chodzi o coś bardziej osobistego? Usiadł na łóżku blisko niej i westchnął.

- Powiedz mi - poprosił.

Pod maską kobiety chłodnej i wyniosłej ukrywała się trochę zgorzkniała i bardzo samotna istota.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Czego się boisz?

- Wszystkiego. Niczego. Nie pamiętam. - Westchnęła. - Boję się, że Carrie była w to zamieszana, a ja jej pomogłam.

- Czemu tak sądzisz?

- Pieniądze. Empire Bank pierwszego każdego miesiąca odbiera przesyłkę od Wells Fargo. W tym sejfie musiał być z milion dolarów.

- Nie łapię. - Ponownie rozejrzał się po wnętrzu; raczej nie przypominało slumsów w dzielnicach nędzarzy. - Nie jesteś chyba spłukana.

- Nie. Ale milion dolarów to wielka pokusa. Czasami, kiedy jestem w banku, staję i gapię się na te pieniądze. Milion w gotówce. Wiesz, co to znaczy trzymać w dłoniach pliki studolarówek? - Oparła się o poduszki. - To jest jak seks.

Ty też jesteś jak seks, pomyślał natychmiast.

- Opowiedz mi coś więcej. Pokręciła głową.

- Nie wiem, co się dzieje, Davidzie. Czuję się winna i nie mogę uwolnić się od przekonania, że być może naprawdę jestem...

- Myśl logicznie. Nie ma na to żadnych dowodów.

- Znam wszystkie systemy operacyjne banku. Alarmy. Rozmieszczenie kamer. Terminy transportu pieniędzy.

- Muszą być jeszcze inni, którzy posiadają te same informacje. To, że wiesz, jak pracuje bank, nie oznacza wcale, iż zamierzałaś go obrobić.

- A co z Carrie? Wygląda na to, że uciekła z jednym z bandytów. Carrie, jedna z moich najlepszych przyjaciółek.

- Przyjaźń to też nie dowód.

- Jest coś jeszcze. Oglądałam z Vonnie wiadomości i słyszałam o ucieczce więźnia federalnego.

David także o tym słyszał.

- Jaxa Schaffera.

- Rozpoznałam go - powiedziała Amanda.

- Nic dziwnego. Jego zdjęcia były we wszystkich gazetach. Ten facet to jakaś gruba ryba w światku przestępczym.

- Mówię ci, David. Ja go znam, jeszcze z Chicago. Był chyba członkiem jednego z klubów, do których należał mój ojciec, może nawet bywał u nas w domu.

- No i co z tego?

- Uciekł akurat wtedy, kiedy napadnięto na Empire Bank. Czy to nie zastanawiający zbieg okoliczności? Te dwa przestępstwa muszą być ze sobą powiązane.

To miało sens. Oddziały specjalne skierowano do banku i zabrakło ludzi, którzy mogliby zapobiec ucieczce Schaffera.

- A ja go znam - powtórzyła. - Podczas jego ucieczki zginęło dwóch federalnych i dwóch policjantów.

- I co, myślisz, że to twoja wina?

- Nie wiem. To jest najgorsze. Oskarżam samą siebie, a nie wiem, jak było naprawdę.

Laurel zagruchała radośnie i zaczęła ciskać plastikowymi kluczami w dziewczynkę w lustrze. Potem poczołgała się, z pupą wypiętą do góry, w stronę łóżka.

David patrzył na małą jak zahipnotyzowany i powoli docierał do niego sens wypowiedzi Amandy. Jasno dała do zrozumienia, że ma nieczyste sumienie. A jeżeli to prawda?

Jeśli była zamieszana w napad na bank? Może miała jakieś kontakty z Jaxem Schafferem?

Laurel dotarła do łóżka i chwyciła mocno za skraj kołdry. David pomógł małej wgramolić się na górę. Przytuliła się do matki. Tworzyły piękną parę. Ciemnozłote włosy Amandy przemieszały się z platynowymi włosami dziecka. Obydwie odwróciły się w pewnej chwili do niego: miały takie same niebieskie oczy, tak niebieskie, że aż coś chwyciło go za gardło.

Do diabła, Amanda nie wyglądała na niebezpieczną kryminalistkę, ale bez wątplenia coś ukrywała. Był niemal pewien, co to takiego.

- W szpitalu - zaczął - odwiedziłem Harry'ego Hoffmana.

- Co z nim?

- Z wyjątkiem zwichniętego nadgarstka wygląda jakby niepotrzebnie zajmował szpitalne łóżko.

- Mów poważnie, David.

- Jego stan jest dobry i stabilny. Wyjdzie jutro do domu. - Nie chciał jej przekazywać mniej krzepiących informacji o ciężko rannym w strzelaninie kliencie banku. - Harry nie ma amnezji, może wiedzieć coś ważnego. Nie przekazał mi żadnej wiadomości dla ciebie, prosił, byś sama do niego zadzwoniła. Dał mi numer.

- To stary twardziel. Jestem zaskoczona, że bandytom udało się wejść do banku.

- Może wcale się nie udało - podchwycił - może był ich wtyczką.

- Nie ma mowy.

- Chciał, żebym ci powiedział, że nie zdradził twojego sekretu ani glinom, ani FBI.

- Mojego sekretu? - Zmarszczyła brwi i westchnęła. - Nie mam pojęcia, o co chodzi. Harry zawsze był nieco melodramatyczny.

Czy kłamała? Trudno mu było skupić się na napadzie, obserwując Amandę i Laurel.

- Ślicznie razem wyglądacie.

- Ona jest cudowna. - Amanda potarła nosk dziewczynki. - Prawda, skarbie? Ty i ja przeciw całemu światu, maluszk.

- A jej ojciec?

Amanda zeszywniała. Takie bezpośrednie postawienie kwestii było najgorszym posunięciem, jakie mógł wybrać.

- Nie chcę o tym mówić, Davidzie. Przynajmniej nie teraz. Chyba rozumiesz?

Znać było, że ta sprawa jest dla Amandy kłopotliwa.

Powinien zapytać wprost. Nie mogłaby chyba skłamać, patrząc mu prosto w oczy. A jednak nie był tego pewien do końca, nie chciał ryzykować.

Kiedyś ją kochał. Mieli się pobrać. Nawet gdy staczał się coraz niżej, myśl o Amandzie trzymała go przy życiu. Ich wzajemne uczucie było jedynym, co usypiało drzemiące w nim demony, dawało chwilę wytchnienia i spokoju.

Potem go zostawiła. Wypalonego do szczytu.

Ponowne spotkanie rozbudziło dawne uczucia. Dziś po południu omal nie kupił butelki. Nie był jeszcze gotowy na poznanie prawdy. Jeszcze nie.

Podniósł się z łóżka.

- Spróbuj odpocząć. Zapomnij o napadzie, zapomnij o winie i o prawdzie. Twoje jedyne zadanie to jak najszybciej wrócić do zdrowia.

- Mówisz to jako mój lekarz?

- Jako lekarz... i twój przyjaciel.

Wyciągnęła się na łóżku, a Laurel cicho zaprotestowała.

- Masz coś, co pomogłoby mi zasnąć?

- Środki przeciwbólowe. Przy wstrząśnieniu mózgu podaje się tylko takie, inaczej mogłabyś zapaść w śpiączkę.

- Może jakiś drink? W barku jest wódka i rum.

- Żadnego alkoholu. - David zacisnął zęby. Czy to miał być test? Dlaczego zgodził się spędzić tu noc? Jego instynkt samozachowawczy kazał mu uciekać, gdzie pieprz rośnie. - Zaniosę Laurel do Vonnie, a ty spróbuj zasnąć.

Niestety, nie dało się wziąć dziecka, nie dotykając przy tym jego matki. Musnął dłonią pierś Amandy.

- Dziękuję za wszystko - powiedziała zimno.

Ten ton przywołał go do porządku, choć nadal czuł się rozbity. Mimo to zdołał zapanować nad głosem.

- Będę sprawdzał w nocy, jak się czujesz. Nie przestrasz się, jeśli wejdem do twojego pokoju.

- Świetnie - powiedziała, sznurując usta.

Resztę wieczoru spędził z Vonnie przed telewizorem. Kiedy dziewczyna zrobiła Amandzie kolację i zaniosiła do pokoju, nie przyłączył się do pań.

Najgorzej było po ósmej, kiedy Laurel została już ułożona do snu.

W wiadomościach o dziesiątej zobaczył Elaine Montero, która mówiła, że nie ma żadnych postępów w śledztwie w sprawie napadu i ucieczki Jaxa Schaffera. Pokazywano szpital oraz wejście do domu Amandy. Na ekranie pojawiło się też paszportowe zdjęcie Carrie Lamb. David pomyślał, że ta kobieta nie wygląda na rabusia banków, ale nie wyglądała też na osobę ukrywającą się pod fałszywym nazwiskiem przed natarczywością byłego męża.

Vonnie poszła do siebie, on wyciągnął się na sofie. Nastawił budzik, gdyż chciał za trzy godziny zajrzeć do Amandy. Był bardzo zmęczony, lecz nie mógł zasnąć.

Marzył, by wreszcie trochę się rozluźnić. Pomogłoby kilka drinków; byłoby świetnie pograć się w nieświadomości, przestać rozmyślać, nie zastanawiać się, kim dla niego jest Amanda. Półtora

roku temu, kiedy się kochali, miał nadzieję, że znowu będą razem. Jakże się mylił!

O pierwszej w nocy, nadal pogrążony w ponurych rozmyślaniach, usłyszał, jak ktoś przekręca klucz w zamku i powoli otwiera drzwi wejściowe.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Amanda przewracała się niespokojnie z boku na bok. Właśnie minęła pierwsza, ale cóż dobrego mógł przynieść nowy dzień?

Masowała sobie szyję, usiłując rozładować napięcie. Czuła się przytłoczona pytaniami bez odpowiedzi, wątpliwościami, podejrzeniami. Nawet tutaj, w sypialni, w swoim sanktuarium, miała wrażenie, że delikatne pędy winorośli na tapetach chcą ją zadusić. Boże, ileż tu mebli! Za ciasno. Łóżko, biurko, toaletka. Potrzebowała więcej przestrzeni, żeby złapać oddech.

Spojrzała na żaluzje - w świetle księżycy wyglądały zupełnie jak więzienne kraty.

Usiłowała odpędzić od siebie myśl, że jest kryminalistką, że uczestniczyła w próbie napadu na bank. Nigdy nie podejrzewałaby się o coś podobnego, ale z drugiej strony, biorąc pod uwagę nie zrealizowane marzenia i aspiracje...

Więcej przestrzeni. Dusila się w tym wnętrzu.

Wstała z łóżka, otworzyła okno. Spoglądała z góry na miasto, wdychała parne powietrze letniej nocy.

Relacje z ludźmi nie były jej najmocniejszą stroną. Miała wielu znajomych, ale niewielu przyjaciół. Jeszcze mniej kochanków. David był jedynym mężczyzną, którego brała pod uwagę jako stałego partnera. To, że obecnie przebywał blisko niej, przywoływało wspomnienia, zarówno te dobre, jak i złe. Co za ironia losu! Miała amnezję, a doskonale pamiętała chwile spędzone z Davidem. Słoneczne dni i gwiazdziste noce. Księżyc oświetlający splecione ciała. Spontaniczny śmiech. Gdyby tamte czasy wróciły, nie czułaby się tak bezradna.

Nie można było jednak żyć wspomnieniami, należało stawić czoło rzeczywistości. Wcześniej czy później musi powiedzieć Davidowi prawdę o Laurel. A on ją znienawidzi za to oszustwo, i nie wolno go za to winić. Czy kiedykolwiek jej wybaczy?

Dziś wieczór powinna była mu powiedzieć. Ale bała się. Nie chciała, żeby ją zostawił.

Wciąż wychylona przez okno, usłyszała lekkie kroki. Na pewno szedł sprawdzić, jak czuje się jego pacjentka. Powinnam powiedzieć mu teraz, pomyślała. Taka nocna rozmowa będzie łatwiejsza. W ciemnościach nie sposób dostrzec nienawiści w wyrazie twarzy i oczu...

Drzwi otwały się szeroko.

W świetle księżycy dostrzegła jednak jakąś inną sylwetkę, nie przypominającą Davida. Ten ktoś wyciągnął rękę do kontaktu i wiedziała już, że dzieje się coś strasznego.

Zapaliło się górne światło. Nieznajomy był w kominiarce, cały ubrany na czarno, w dłoni trzymał pistolet.

Stała przy oknie i pragnęła zapaść się pod ziemię, stać się niewidzialną. Na próżno. Napastnik wycelował w jej pierś.

Wtedy do pokoju wpadł David.

Pistolet wypalił. Przytłumiona eksplozja odbiła się echem w jej głowie.

Przerażona patrzyła, jak David zмага się z napastnikiem. Udało mu się złapać rękę, w której tamten trzymał broń.

Mężczyźni szamotali się na podłodze, w nogach jej łóżka. Pistolet upadł na dywan.

Amanda instynktownie sięgnęła po niego. Był zimny, czarny i śmiercionośny. Trzęsa się, musiała uchwycić broń oburącz.

- Będę strzelać! - krzyknęła.

Mężczyźni kotłowali się przez chwilę w zawziętej, zażartej walce, słychać było tylko ich głośnie sapanie. Wreszcie w pewnym momencie David znalazł się na górze, uniósł rękę do ciosu, trafił napastnika w szczękę, a kiedy poczuł przewagę, nic już nie mogło go powstrzymać. Uderzał, dopóki przeciwnik nie znieruchomiał niczym szmaciana kukła.

Niedoszły zabójca leżał rozciągnięty na dywanie. David zerwał z jego twarzy kominiarkę.

- Znasz go? - wydyszał.

To był młody człowiek, niewiele po dwudziestce.

- Nigdy go nie widziałam.

- Znajdź coś, żeby go skrepować. Stała jak sparaliżowana.

- Amando, pospiesz się!

- Nie mam żadnej linki. Chyba tylko sznurek do pakowania paczek.

- Jakaś taśma izolacyjna?

- Niby skąd? Przecież mieszkam w bloku i nie ja zajmuję się naprawami w mieszkaniu.

W drzwiach pojawiła się Vonnie. Na widok leżącego na podłodze mężczyzny i broni w dłoni Amandy zaczęła rozpaczliwie krzyczeć.

- Zamknij się! - rozkazała Amanda.

- Zabiłaś go!

- Cicho, Vonnie. Obudzisz Laurel. David podszedł do dziewczyny.

- Wszystko w porządku, panujemy nad sytuacją. Idź do telefonu, wezwij policję. Możesz to zrobić?

Nie powiedziała ani słowa, tylko skinęła głową.

- Idź już - ponaglił ją. - Ale najpierw daj mi ten pasek od szlafroka.

Spełniła prośbę i uciekła z pokoju. Napastnik wciąż był nieprzytomny. David obmacał swoją prawą rękę i skrzywił się z bólu.

- Wszystko w porządku Davidzie? Nic ci się nie stało?

- Poczulbym się lepiej, gdybyś odłożyła tę spluwę. Wciąż trzymała broń oburącz, lecz opuściła lufę.

- Co się właściwie stało? Kim jest ten człowiek?

- Nie mam pojęcia. - David zbadał puls napastnika, obrócił go na brzuch i mocno związał mu ręce za plecami. - Słyszałem, jak wchodził. Miał klucze.

- Moja torebka. Nie odzyskałam jej. Ktoś musiał ukraść klucze.

David skończył krępować więźnia.

- A ty? Nic ci się nie stało? - zapytał i chwycił Amandę w ramiona, spojrzał głęboko w oczy, z prawdziwą troską i lękiem. - Zmarzłaś.

- Ogrzej mnie.

Objęły ją mocne ramiona. Ten mężczyzna, ten wspaniały mężczyzna uratował jej życie, a ona kiedyś go odtrąciła.

Z dziecinnego pokoju dobiegł płacz Laurel. Tak, tylko kilka metrów dalej spało jej dziecko. A gdyby napastnik pomylił drzwi? Przerazona Amanda wyswobodziła się z objęć Davida i wpatrywała się w trzymany w ręce pistolet. Co by się stało, gdyby napastnik wszedł do innego pokoju?

David delikatnie odebrał jej broń.

- Nie możesz tu zostać.

Rozejrzała się, szacując zniszczenia. Porozbijane flakony. Przewrócony fotel.

- To jest moje mieszkanie. Nie chcę się stąd nigdzie ruszać, rozumiesz?

- Amando, twój dom pokazywali w wiadomościach. Może ktoś dorobił sobie klucze? - Rzucił pistolet na łóżko. - Gdy tylko odjedzie policja, zabieram was wszystkie do siebie do domu.

Jeszcze nigdy, ona, kobieta sukcesu, nie czuła się taka zagubiona. Ten zamach zupełnie wytrącił ją z równowagi. Marzyła jedynie, aby przytulić się do piersi Davida i całkowicie zdać na niego, wiedząc, że ochroni ją i jej córkę. Ich córkę.

- Daj spokój, Amando. Weź się w garść.

Skinęła głową na znak, że się postara i spróbuje być znowu silna. Lecz strach zupełnie ją sparaliżował. Nie potrafiła myśleć logicznie.

David kazał jej wyjść z sypialni.

- Zajmij się Laurel, zaraz powinna dotrzeć tu policja. Ja popilnuję tego gościa.

Odwróciła się jeszcze, by ponownie na niego spojrzeć. Opalony, od pasa w górę nagi, owłosiona klatka piersiowa, biodra ciasno opięte dżinsami... Tak, on potrafiłby obronić ją i Laurel.

Może, gdy David pozna prawdę, odwróci się na pięcie i odejdzie, a to była ostatnia rzecz, której by sobie życzyła.

Rozpaczliwie go potrzebowała, teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie zasłużył na to, by go okłamywała.

Przeprowadzka w środku nocy przebiegła znacznie sprawniej, niż można by przypuszczać. Wszystkim zajęli się David i Vonnie, mając na uwadze opłakany stan Amandy. Popędzali policję, która przyjechała aresztować napastnika, rozmawiali z agentami Metcalfem i Hessem, spakowali walizki i przyprowadzili samochód Amandy z parkingu.

O czwartej nad ranem wyruszyli przez University Boulevard w stronę południowych przedmieść. David prowadził porsche, za nim jechała Vonnie vanem Amandy.

Amanda nie spuszczała wzroku z Laurel, która spała smacznie na tylnym siedzeniu.

- Vonnie, przykro mi z powodu tego, co się stało.

- Nie ma sprawy. Kiedy wrócę do college'u, będę miała co opowiadać. Cały ten atak i w ogóle... To dopiero historia. Nikt mi nie uwierzy.

Amanda pozazdrościła jej młodzieńczego entuzjazmu.

- Naprawdę tak uważasz?

- Nigdy nawet nie dostałam mandatu za złe parkowanie, a teraz proszę: zainteresował się mną agent FBI.

- Metcalf?

- Nie, jego kolega, Hess. Greg Hess. To ten szczupły z takimi niesamowicie niebieskimi oczami. Powiedział mi, że lubi rude, takie jak Dee.

- Kto to jest Dee?

- Aktorka, która gra w popularnej telenoweli - odparła Vonnie.

Amanda powątpiewała, żeby agent Greg Hess oglądał tego typu seriale, ale nie chciała psuć humoru Vonnie. Wjechali do ekskluzywnej dzielnicy Bow Mar.

- Ładne miejsce. - Widocznie tej nocy Vonnie wszystko przyjmowała za dobrą monetę. - David tu mieszka?

- Tak.

- Amando, to świetny facet. Powinnaś z nim być.

- Kiedyś byliśmy zaręczeni. Nic z tego nie wyszło.

- Jestem pewna, że wciąż coś do ciebie czuje. Niestety, pomyślała Amanda. To nie tak jak w ulubionych serialach Vonnie, gdzie wszyscy chodzą na randki i dobierają się w pary, nie bacząc na przeżycia z przeszłości. Dziewczyna twardo obstawała przy swoim.

- Wiem, że lubisz Stefana, to fajny gość. Ale David jest po prostu... niesamowity.

Amanda lekko zdziwiła się, że Vonnie znów chce ją swatać. Nie po raz pierwszy.

- Jeszcze w zeszłym tygodniu twierdziłaś, że to Stefan jest najfajniejszy.

- Bo jest, z wielu powodów.

- Jakich znów powodów?

- Jego rodzina. Wiesz, rozmawiałam z twoją mamą przez telefon o Stefanie.

- I pewnie go wychwalała?

- Jakbyś zgadła. Myślę, że twoja matka już planuje ślub, wesele i w ogóle.

- Ale ty uważasz, że powinnam być z Davidem.

- Bo to jest tak, jak w „Przeminęło z wiatrem”. Scarlett kochała się w tym blondynie, ale wystarczyło, że zobaczyła Retta Butlera, od razu zapominała o reszcie facetów.

- Więc David to taki mój Rett Butler?

- Właśnie! - Vonnie wjechała na podjazd, na którym przed sekundą zaparkował David. - Jej, jaki wielki dom!

Amanda pamiętała ten dom w stylu elżbietańskim z czasów, kiedy byli narzeczonymi. David miał dwadzieścia siedem lat, gdy odziedziczył go po ukochanej ciotce. Wszyscy uważali, że sprzeda posiadłość, ale on nie tylko ją zatrzymał, lecz w dodatku wykazał się nadzwyczajnymi talentami ogrodniczymi.

- Vonnie, podoba ci się ogród?

- Jest śliczny.

- To zasługa Davida.

- Macho i ogrodnik w jednej osobie! Zdecydowanie powinnaś zostawić Stefana i zająć się Davidem.

Pan domu i Vonnie wypakowali rzeczy z samochodu, Amanda wzięła na ręce małą. Laurel trochę protestowała, lecz po chwili znów zapadła w drzemkę.

Niestety, Amanda mogła tylko pozazdrościć córce spokoju i poczucia bezpieczeństwa. Ponowne odwiedziny u Davida były dla niej przykre. Wspomnienia. Gdy byli zaręczeni, zamierzała zamieszkać kiedyś w tym przytulnym domu o stromym, łamanym dachu. Były tu, co prawda, tylko trzy sypialnie, ale to w sam raz dla dwojga. Myślała o dobudowaniu nad garażem kolejnego pokoju, o przebudowie kuchni. To miał być także jej dom.

Idąc za Davidem i Vonnie, zobaczyła, jak jej były narzeczony wystukuje jakieś cyfry na panelu przy frontowych drzwiach.

- To system alarmowy - wyjaśnił. - Jeżeli się go nie wyłączy w ciągu trzech minut po otwarciu drzwi, zaczną wyć syreny i zostanie powiadomiona ochrona. Podobnie, jeśli wybite zostanie którekolwiek z okien.

- To nowość - skomentowała Amanda.

- Konieczność. Siedzę wiecznie w szpitalu, całymi dniami nie ma mnie w domu, musiałem zabezpieczyć się jakoś przed włamaniem.

Poza zainstalowaniem alarmu niewiele się tu zmieniło. W pokoju frontowym nadal stała ta sama ogromna skórzana sofa. Dalej była jadalnia, następnie po prawej gabinet Davida, po lewej duża kuchnia.

Amanda właśnie tam się skierowała, wciąż trzymając na ręku Laurel. Te same dębowe szafki. Na blacie stos pustych opakowań po pizzie. Może i David był wspaniałym ogrodnikiem, ale kucharzem dość żalonym.

- Amando! - zawołał. - Przynies dziecko na górę. Weszła na górę, do sypialni Davida. Tam właśnie ulokował rzeczy Laurel, także kojec, który miał zastąpić łóżeczko.

- Pomyślałem sobie, że tu wam będzie najwygodniej.

Od czasu rozstania nie była w tym pokoju i nie przypuszczała, że kiedykolwiek jeszcze przekroczy jego próg; teraz czuła się zakłopotana. Szybko ułożyła małą w kojcu i wyszła.

Na dole zaproponowała, że pomoże przenieść resztę bagaży.

- Zapomniałaś o swojej głowie? - fuknął David. - Jeżeli chcesz pomóc, to zaparz kawę.

- Po co? Wszyscy zaraz pójdziemy spać.

- Ja nie. Muszę być bardzo wcześnie w szpitalu. Lepiej będzie, jeśli w ogóle zrezygnuję ze snu.

- Nie możesz sobie wziąć wolnego dnia?

- Mogę, ale to by skomplikowało cały grafik moich dyżurów. Chciałbym mieć wolny piątek i sobotę, żeby uniknąć piekła, które rozpęta się w ambulatorium czwartego lipca, w Dzień Niepodległości.

- Wskazał ekspres stojący na blacie koło zlewozmywaka. - Pamiętasz jeszcze, gdzie trzymam kawę ziarnistą?

Znalazła bez trudu szczelnie zamknięty pojemnik z aromatyczną zawartością.

- Mieszanka Sumatra i destylowana woda, tak? Zawsze miałeś hopla na punkcie kawy.

- I nadal mam. Pewne rzeczy się nie zmieniają - rzucił przez ramię, wychodząc na podjazd.

Ludzie, niestety, również, pomyślała, przystępując do misterium parzenia kawy. Nieważne, jak wspaniale się zachował, był to wciąż ten sam facet, z którym zerwała pięć lat temu.

Czarny, aromatyczny płyn sączył się miarowo do dzbanka, mogła więc spokojnie pójść na górę. Wchodziła powoli po schodach wyłożonych chodnikiem. Ileż to razy ponaglała Davida, by przyszedł wreszcie na górę? Zrywali z siebie ubrania, chcieli jak najszybciej znaleźć się w łóżku, pragnęli siebie nawzajem, chcieli się kochać.

Dzisiaj, gdy spotkali się przed drzwiami sypialni, nawet nie spojrzeli sobie w oczy, dbali, by przypadkiem się nie dotknąć.

- Przyniosłem walizki z rzeczami twoimi i Laurel.

- Świetnie. To już wszystko. Dziękuję. - Powiało chłodem, odnosili się do siebie z ostentacyjną grzecznością.

- Doprawdy drobiazg. Już taki jestem. Dla wszystkich pacjentów bez wyjątku.

- To niezwykle ważne, by lekarz potrafił okazać swoim pacjentom troskę.

- Staram się, jak mogę.

Spojrzała na rodzinne fotografie rozwieszane nad cedrową boazerią. Zainteresowało ją jedno ze zdjęć.

- Co u twojego dużego brata i jego rodziny?

- Wszystko OK. Ciągłe jest większy ode mnie. Zawsze mu powtarzam, że to dlatego, iż Nancy karmi go tak dobrze.

- Wciąż mieszkają w Evergreen?

- Tak. Josh nadal pracuje w firmie rodzinnej. - David wpatrywał się w zdjęcie, jakby go nigdy wcześniej nie widział. - Ich chłopcy rosną jak na drożdżach.

- Pamiętam, że Nancy chciała mieć córkę.

- Tak, zawsze lubiła kobiece robótki. Szycie, szydełkowanie. Teraz, kiedy chłopcy są już w szkole, zaczęła sprzedawać projektowane przez siebie ciuchy, myśli o otwarciu butik w Evergreen.

- Jestem pewna, że jej się uda. Czegokolwiek nie tknie się twoja rodzina, zamienia się w złoto.

- Mamy szczęście - zgodził się.

Z tego, co Amanda wiedziała, David był jedynym członkiem rodziny nie posiadającym udziałów w Haines Homes ani w New Construction and Renovation, dwóch rodzinnych firmach zajmujących się budownictwem.

- Co u twoich rodziców? - zapytała.

- Wszystko w porządku. Czasem o ciebie pytają.

- Tak? - Zawsze bardzo lubiła jego rodziców.

- Mama mówi, że tylko idiota mógł pozwolić odejść tak wspaniałej dziewczynie jak ty. Jednak wszyscy rozumieli pobudki, jakimi się kierowałaś.

Nie miała najmniejszej ochoty roztrząsać teraz tej sprawy.

- Davidzie, ja...

- Daj spokój. Ulokowałem Vonnie w pokoju gościnnym, przykazałem jej zajrzeć do ciebie o dziewiątej rano. Masz się jutro oszczędzać.

- Ależ ja się świetnie czuję! - zaprotestowała. - Jestem zmęczona, trochę boli mnie głowa, ale naprawdę wszystko w porządku.

- W porządku? Zrób coś dla mnie, Amando. Przestań mi powtarzać, że wszystko w porządku, bo tak nie jest. To nieprawda. Doznałaś wstrząśnienia mózgu, tak? Poważnego urazu. Obiecuj mi, że nie wyjdiesz z domu przynajmniej przez następny dzień.

- Dobrze - zgodziła się bez entuzjazmu.

Mruknęli zgodnie „dobranoc”. Miała nadzieję, że chociaż pogładzi ją po twarzy albo pocałuje w czubek nosa. Nic z tego.

Nie wiedzieć czemu, poczuła się strasznie samotna, kiedy tylko zamknęły się drzwi za Davidem. Gdyby sprawy pomiędzy nimi potoczyły się inaczej, byłaby to jej sypialnia. Ich sypialnia.

Zajrzała do Laurel: mała spała na plecach i pochrapywała. Amanda pogłaskała ją po policzku. Kochane, słodkie dziecko. Ich dziecko.

Zanim David wyszedł spod prysznic, zrobiło się wpół do piątej nad ranem. Nie było sensu kłaść się do łóżka, skoro za półtorej godziny miał jechać do pracy.

Załóżył sportowe spodnie koloru khaki oraz taką samą koszulę i ruszył do kuchni, by dostarczyć organizmowi porannej porcji kofeiny.

Vonnie energicznie buszowała w lodówce.

- Tu nie ma nic do jedzenia - poskarżyła się.

- Marny ze mnie kucharz. - David nalał sobie filiżankę kawy.

- Muszę rano zrobić jakieś zakupy.

Wyjął portfel i odliczył cztery dwudziestki, położył na blacie.

- To powinno na razie wystarczyć. Pamiętaj tylko, żeby kupić wszystko, co potrzebne dla Laurel.

- Nie musisz mi przypominać.

Schowała pieniądze do kieszeni szlafroka, zamknęła lodówkę i uśmiechnęła się do niego.

- Ile ty właściwie masz lat? - zainteresował się.

- Prawie dwadzieścia.

Widział, w jaki sposób zajmowała się małą; była naprawdę kompetentna.

- Czemu zdecydowałaś się zostać nianią?

- Mam szóstkę młodszego rodzeństwa, coś wiem na ten temat. A tę pracę wykonuję dorywczo, tylko podczas wakacji, tak w ogóle to

chodzę do college'u. - Ujęła się pod boki. - Musimy porozmawiać o Amandzie.

Upił łyk kawy.

- Nie jesteś zmęczona, Vonnie? Powinnaś pójść do łóżka, przespać się.

- Po tych wszystkich niezwykłych wydarzeniach? Ten napad... i przystojny agent FBI. Wygląda zupełnie jak Mel Gibson.

Cóż za młodzieńczy entuzjazm! Żeby tak znów być w wieku Vonnie! David już nie bardzo pamiętał, jak to smakowało: chłonać każdy dzień z szeroko otwartymi oczami, traktować go jak nową przygodę i wyzwanie.

- Wracając do Amandy - ciągnęła Vonnie - mówiła mi, że dawno temu byliście zaręczeni. Ona wciąż cię bardzo lubi. Powinieneś zaprosić ją na kolację albo do kina.

Jaka szkoda, że życie nie jest takie proste. Jedna randka i znów wszystko miałoby być w porządku?

- Dzięki za radę, Vonnie, ale...

- To, że ma dziecko z innym facetem, o niczym jeszcze nie przesądza, prawda?

Z innym facetem? Ocknął się natychmiast. Czy Vonnie wie, kto jest ojcem Laurel?

Nie bardzo chciało mu się wierzyć, że Amanda zwierzałaby się tej rudej nastolatce. Z drugiej strony obydwie musiały z konieczności wiele rozmawiać o dziecku. Więc może i o jego ojcu?

- Laurel jest bardzo kochana - powiedział.

- Lubisz dzieci. - Uśmiechnęła się. - To widać. Musicie znów zejść się z Amandą.

- A co ze Stefanem?

- Jest miły, przystojny. Rozmawiałam o nim z mamą Amandy, nawet sporo. Ona chce, żeby Amanda za niego wyszła. Ale ja myślę inaczej. Bo wiesz, on... No sam chyba rozumiesz.

- Nie bardzo. Powiedz mi coś więcej o układach pomiędzy Amandą i Stefanem.

- Chciał się z nią ożenić, gdy tylko dowiedział się, że ona jest w ciąży. Ten facet zawsze postępuje, jak należy.

Kubek wypadł z ręki Davida, roztrzaskał się, czarny płyn rozlał się po kaflach podłogi. David już wiedział: ojcem dziecka jest Stefan. Nie on, lecz Stefan.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Świt barwił na różowo bezchmurne niebo za oknem kuchennym. David nalał sobie następny kubek kawy. Siedział tu już od godziny, usiłując oswoić się z myślą, że Laurel nie jest jego dzieckiem.

Aż do wczoraj, kiedy to dowiedział się od Amandy o istnieniu dziewięćmiesięcznego brzdąca, nawet nie próbował sobie wyobrazić, czym jest ojcostwo. Potem, w ciągu kilku godzin oswoił się z tym faktem, a nawet wpadł w euforię. Teraz nieśmiałe jeszcze marzenia przysły jak bańka mydlana.

Może to i lepiej. W końcu poznał prawdę.

Usłyszał kroki na schodach i poczuł mimowolny niepokój: od tak dawna nikt nie chodził po jego domu, nikt nie zakłócał wszechobecnej ciszy.

W progu stanęła Amanda w obcisłych dżinsach, w pastelowo błękitnym podkoszulku, ze świeżo umytą głową.

- Nie mogę spać - oznajmiła.

David wbił wzrok w kubek, nie chciał patrzeć w jej oczy.

- Weź sobie kawy - zaproponował.

Słyszał, jak krząta się po kuchni, szuka cukru i śmietanki. Podniósł głowę i zobaczył, że wybrała ten sam kubek, którego używała, kiedy była z nim - biały w żółte stokrotki. To już historia. Bez przyszłości.

Usiadła naprzeciw niego przy niewielkim kuchennym stole.

- Musi być jakiś powód, dla którego ten człowiek chciał mnie zabić.

- Świetny temat do rozmowy o poranku - parsknął.

- A o czym innym mielibyśmy rozmawiać? O pogodzie? - Wypiła łyk kawy. - Co o tym sądzisz? Czemu nastawał na moje życie?

- Seks albo pieniądze. To najczęstsze motywy zbrodni. W ambulatorium mamy głównie ofiary wypadków, ale jeśli już trafi się ktoś skrzywdzony z rozmysłem, przeważnie chodzi o seks albo o pieniądze.

- Ależ w moim przypadku to nie ma sensu! Ten człowiek nie wyglądał na złodzieja, nigdy go wcześniej nie widziałam, więc nie może też chodzić o seks.

Czyżby? Amanda i seks to jedno. Nawet o tak wczesnej porze wyglądała niezwykle pociągająco. Świeżo umyte blond włosy opadały miękko na ramiona, z czoła zniknął opatrunek.

Nikt nie domyśliłby się, że ta kobieta jeszcze niecałe dwadzieścia cztery godziny temu leżała w ciężkim stanie w szpitalu. Od tamtej pory mnóstwo się wydarzyło, lecz naprawdę ważny był tylko jeden fakt: Stefan Phillips jest ojcem Laurel.

Powoli mijało rozczarowanie, nie był już zły na Amandę. Nie powiedziała mu o narodzinach małej, bo cóż go to mogło obchodzić?

Vonnie miała rację: nie powinien odtrącać Amandy tylko dlatego, że urodziła dziecko innego mężczyzny. Ono pozostanie najważniejsze. A sama Amanda? Ta kobieta była i na zawsze miała pozostać najlepszą częścią jego życia.

- Jak się czujesz? - zapytał z troską.

- W porządku. Wzięłam kilka tabletek aspiryny.

- Pokaż, obejrzę twoją ranę na głowie.

- David, przestań bawić się w doktora. Ja chcę porozmawiać o tym człowieku, który mnie zaatakował.

- Już mówiłem, motywem muszą być pieniądze. To oczywiste, ktoś go wynajął.

- Ale kto?

Znów uświadomił sobie, że rozwiązanie problemu jest na wyciągnięcie ręki.

- Chcą cię usunąć z drogi. Musisz wiedzieć o czymś, co zagraża tym kryminalistom.

- Ależ ja nic takiego nie wiem!

- Czy pamięć już ci wróciła?

- Częściowo. Pamiętam poranek: wstałam, ubrałam się przed wyjściem do pracy, nakarmiłam Laurel płatkami i bananami. Potem jakieś przebłyski z samego napadu, wiem, że byłam wtedy z Carrie i Tracy, słyszałam imię napastnika. A potem obudziłam się w szpitalu i zobaczyłam ciebie.

Spojrzała mu prosto w twarz i poczuł jakieś niebezpieczne napięcie, rosnące pożądanie. Nie, jego reakcji w obecności tej kobiety nie dawało się wyjaśnić w kategoriach medycznych. Wiedział jedynie, że chce się z nią kochać.

Całe jego ciało, zmysły były w pełnym pogotowiu. Potrafiłby chyba wyczuć zapach jej perfum z odległości kilku metrów. Mocno zacisnął powieki. Amanda miała bardzo wyrazistą mimikę, zazwyczaj jednak udawała niewzruszoną i zimną. On wiedział lepiej, widział już kiedyś inną twarz Amandy: rozpaloną, słodką, namiętą.

Poczuł, że dłużej tego nie zniesie. Wstał od stołu.

- Muszę się zbierać, a ty wracaj do łóżka.

- Nie mogę spać. Muszę to wszystko przemyśleć.

- Jako twój lekarz...

- Nie jesteś moim lekarzem. Mój doktor ma siwe włosy, nie błaznuje i jest kobietą - szybko zmieniła temat. - Co wiesz o Jaksie Schafferze?

- Podejrzewasz, że zorganizowano napad na bank, by odwrócić uwagę sił specjalnych i ułatwić ucieczkę temu zbirowi?

- Przecież to niewykluczone.

- Ale zbyt skomplikowane. - Jako lekarz zajmujący się ofiarami przemocy wiedział, że zazwyczaj powody, dla których ludzie popełniają przestępstwa, są bardzo proste, wręcz banalne. - Z drugiej strony ten Schaffer to zdaje się gruba ryba. Gdyby chciał cię zabić, wynająłby mordercę.

- Myślisz, że facet, który mnie zaatakował, był płatnym zabójcą?

- Możliwe. - Na szczęście nie przyszło mu to do głowy, kiedy obezwładniał napastnika. Ta świadomość oczywiście nie powstrzymałaby go. Obezwładniłby i tuzin płatnych zabójców, gdyby od tego zależało bezpieczeństwo Amandy.

- Muszę dojść prawdy, Davidzie.

Była teraz stanowcza, a on wiedział, co to oznacza: Amanda postrzegала świat jako dżunglę, pełną niekompetentnych lekkoduchów. Była pewna, że nikt nie potrafi jej dorównać i dlatego nikomu nie wolno ufać. Postanowiła osobiście zmierzyć się z problemem.

- Chcesz zostać superdetektywem? Columbo w spódnicy?

- W markowej spódnicy - sprostowała z godnością. - Zbyt gorąco na prochowiec.

- Nie będę z tobą dyskutował, i tak cię nie przegadam. Jednak pewnych faktów nawet ty nie potrafisz zmienić. Wciąż jeszcze nie jesteś w formie, masz bóle i zawroty głowy. Na razie musisz odpoczywać. Zostaniesz dzisiaj w domu.

- Ale ja...

- Nie - zaprotestował stanowczo. - Możesz sobie swoje śledztwo prowadzić przez telefon, tylko nikomu nie mów, gdzie jesteś. Obiecay mi, że się stąd nie ruszysz.

- Postaram się.

Obietnica zabrzmiała dość mgliście, ale wiedział, że więcej nie osiągnie.

- Muszę iść, ale najpierw obejrzę twoją głowę. Używałaś jakiegoś antyseptyku po kąpieli?

- Nie, tylko odżywkę do włosów.

- Poczekaj tu.

Poszedł do sypialni na piętrze, znalazł środek antyseptyczny i bandaż, szybko wrócił do kuchni.

Amanda siedziała nadal na brzegu krzesła i wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w ścianę.

Trochę się zdenerwował, bo znów musiał ją dotknąć. Wczoraj, w szpitalu, było to bardziej bezosobowe. Ale w jego własnej kuchni, gdzie tyle razy jedli razem śniadanie...

Delikatnie odsłonił skroń Amandy: mimo opuchlizny i siniaka rana nie wyglądała źle.

- Powinno zagoić się prawie bez śladu - doszedł do wniosku po chwili.

- Nawet o tym nie pomyślałam. Nie będę musiała korzystać z usług chirurga plastycznego?

- To już zależy od ciebie. Może jakaś skaza doda ci wdzięku?

- Uważasz, że jestem ładna?

- Wiesz, co sędzę na ten temat.

Kiedy David po raz pierwszy ją zobaczył, pomyślał, że jest wspaniała. Wyniosła i tajemnicza.

Odwrócił jej głowę, by dokładniej obejrzeć szwy w świetle lampy zawieszanej nad kuchennym stołem. Łypnął za dekollet. Niepotrzebnie, i tak pamiętał, że Amanda miała wspaniałe piersi.

Skończył oględziny jako lekarz, teraz patrzył na nią jak mężczyzna.

- No i co ze mną? Wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak. - Trudno, żeby było lepiej, pomyślał.

- Na pewno nie muszę już nosić tego kretyńskiego bandaża?

- Nie. - Przeczesał jej włosy palcami. Pachniały kwiatami.

Powiedział jej to.

- To tylko szampon. Vonnie spakowała moje wszystkie przybory toaletowe. Dobrze zrobiła, bo wolałabym nie używać twojego mydła. Jest dla mnie zbyt ostre.

Przyznał jej rację. Jedwabista skóra Amandy wymagała delikatnych kosmetyków.

Nie miał pod ręką wacików, więc użył papierowej serwetki, by nałożyć maść na skórę.

- Piecze. - Wzdrygnęła się.

Ten drobny gest poruszył go, przywołał wspomnienia. Jej ciało było takie wrażliwe: kiedy się kochali, cała drżała.

- Prawie skończyłem - oznajmił, zakręcając tubkę. - Jeszcze tylko przylepię plaster.

Amanda wierciła się na krześle.

- Czy to konieczne?

- Obowiązkowe. Zalecane na kursach pierwszej pomocy. Był zbyt blisko niej. Nie mógł się powstrzymać, zaczął pieścić kciukiem jej ucho. Westchnęła i zeszywniała.

- Zawsze tak traktujesz swoje pacjentki? Musnął językiem krawędź jej małżowiny.

- David, przestań!

Odsunęła się, lecz w jej wzroku dostrzegł pożądanie.

- Wcale nie chcesz, żebym przestał.

- Nie. - Wstała. - To znaczy tak.

- Pragniesz mnie, Amando. - Coś pomiędzy nimi zaiskrzyło. - Chcesz mnie tak samo, jak ja ciebie.

Objął ją mocno, przytrzymał. Przyłgnęła doń. Jej język znalazł się w jego ustach.

Pożądanie prawie go oślepiło. Pragnął zrzucić kubki po kawie na podłogę i posiąść ją teraz, tu, na tym stole. Nie, nie może się zapominać.

Zaczerpnął powietrza, odsunął się od Amandy.

- Nie mogę dopuścić, żeby znów do czegoś między nami doszło.

- Dlaczego? - wykrztusiła, siadając z powrotem na krześle i wzdychając.

- Bo wszystko się zmieniło. Ty masz dziecko, ja swoje obowiązki.

Zrozumiał, że musi wyjść. Natychmiast.

- Będę w pracy. Obok telefonu zostawiłem numer mojego pagera. Zostań tu i odpoczywaj, zobaczymy się wieczorem. Bądź grzeczna.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Amanda otworzyła drzwiczki swojego klimatyzowanego samochodu i popołudniowy upał dosłownie ją obezwładnił. Wróciły zawroty głowy. Zachwiała się, stawiając stopę na miękkim asfalcie parkingu przed szpitalem Denver General. Brązowa tunika bez rękawów wydawała się nieznośnie ciężka, choć uszyto ją z lekkiego materiału. Do tego spódniczka trochę ponad kolana. Szkoda, że nie miała dodającej szyku jedwabnej apaszki. Nieważne, upał nie sprzyja elegancji.

Przyjazd tutaj mógł okazać się poważnym błędem. David kazał jej odpoczywać. Agent Metcalf też nie będzie zachwycony, widząc ją w Denver General. Ale ona już się wyspała - w końcu ile można spać - i nie mogła znieść beczynności, nie mogła dłużej siedzieć w domu i oglądać z Vonnie telewizji. Zresztą nie czuła się dobrze w mieszkaniu Davida, gdzie każdy kąt przypominał jej czasy, które wolała zapomnieć.

Tego ranka David dobitnie i jasno powiedział, dlaczego już nigdy nie będą razem. Wszystko się zmieniło, ona ma dziecko. Jest matką.

Nie byłoby dobrze zejść się po raz kolejny, a potem znów rozstawać. W ich związku nie było miejsca na kompromisy - albo wszystko, albo nic. Musi mu powiedzieć prawdę, Laurel powinna mieć ojca.

Weszła do szpitala, wpisała się u strażnika na listę odwiedzających, kupiła bukiet kwiatów w szpitalnej kwiaciarni. Dowiedziała się wcześniej, że Harry Hoffman leży w osobnym pokoju na piątym piętrze. Nie chciała jednak o niczym ważnym rozmawiać przez telefon, wolała pogadać ze strażnikiem w cztery oczy, a zwłaszcza na temat ich sekretu.

Wjechała windą na piąte piętro.

- Szukam Harry'ego Hoffmana - zwróciła się do pielęgniarce.
- To popularny gość. Czwarte drzwi na lewo, te, których pilnuje policjant.

- Dziękuję.

- Proszę przekazać Harry'emu, że pani jest ostatnia. Mogą go odwiedzać tylko cztery osoby równocześnie.

Nici z rozmowy sam na sam. Trudno, pomyślała z rezygnacją. Wylegitymowała się policjantowi w korytarzu i weszła do pokoju chorego. Było tam mnóstwo kwiatów. Muriel, żona poszkodowanego, siedziała tuż przy łóżku. Frank Weathers chodził tam i z powrotem,

mamrocząc coś pod nosem. Główna kasjerka, Jane Borelli, słuchała go z uwagą.

Frank przerwał w pół zdania, kiedy zobaczył Amandę.

- Amanda! No, no! Rozumiem, że już czujesz się lepiej.

- Na pewno lepiej niż wczoraj - rzuciła chłodnym tonem.

- Rada nadzorcza z całą pewnością ucieszy się z twojego powrotu do zdrowia. Zbierają się jutro. Oczywiście zostałeś poinformowana.

Wcale nie. Odsłuchiwała w domu automatyczną sekretarkę i na taśmie nie było ani słowa o posiedzeniu rady nadzorczej Empire Bank. Fakt, że jej nie zawiadomiono, mógł oznaczać, iż chcą ją zwolnić. A zatem jej kariera dobiegła kresu, ale na zajęcie się tą sprawą przyjdzie czas później.

Nie zwracając więcej uwagi na Franka, podeszła do łóżka Harry'ego. Chory miał ponury wyraz twarzy, lecz wyglądał nieomal groteskowo: brokatowa kamizela narzucona na szpitalną piżamę, głowa owinięta bandażami niczym turbanem.

- Co u ciebie Harry? Jak się czujesz? - zapytała.

- Wszystko w porządku. - Wyprostował się na łóżku. - Jestem gotów opuścić to towarzystwo.

Muriel poklepała go po ręce.

- Spokojnie, kochanie. Na pewno nie wyjdiesz stąd dzisiaj. Może jutro.

Amanda odwróciła się do małej korpulentnej kobietki.

- Tak mi przykro, Muriel. To musi być dla ciebie bardzo trudne.

- Zdawałam sobie sprawę z ryzyka, gdy Harry zdecydował się na pracę ochroniarza. Kiedy mąż codziennie wychodzi do pracy ze spluwą na biodrze, należy spodziewać się najgorszego.

- Wzięła od Amandy kwiaty i umieściła je pomiędzy innymi.

- Dziękuję za bukiet. Prawda, że śliczny, Harry?

Znać było, że obecność malutkiej żony sprawia mu przyjemność, choć nie okazywał tego wprost.

- Nie powinno być ci przykro. Nie twoja wina, że jacyś dranie napadli na bank - stwierdził Harry.

- Ty też nie ponosisz winy - zapewniła go Amanda. - Nigdy nie mieliśmy lepszego ochroniarza.

- To dlaczego do tego doszło? - wtrąciła się Jane, szefowa kasjerek. Jane zawsze przywodziła Amandzie na myśl brązowego strzyżyka: ubierała się zazwyczaj w brązy i beże, dobrze komponujące

się z jej jasnoblonde włosami. - Nie chcę nikogo oskarżać, a już na pewno nie ciebie, Amando, ani ciebie, Harry. Ale dlaczego ten koszmar przydarzył się właśnie nam?

- Sama chciałabym wiedzieć - powiedziała Amanda. Nie miała zamiaru przyznawać się swoim podwładnym do utraty pamięci. - Jane, mogłabyś opisać napad z własnej perspektywy?

- Zarzucasz przynętę? - wtrącił Frank Weathers.

- Słucham?

- Nie masz pojęcia, co się stało. Wczoraj nic nie pamiętałaś. I po sekrecie.

- Wkrótce pamięć mi wróci.

- A ja chciałabym zapomnieć - powiedziała Jane, usiłując się uśmiechnąć. - Pani psycholog, która zajmuje się ofiarami przemocy, powiedziała, że trzeba rozmawiać o tym, co się stało. Nie można tłumić emocji.

- Musisz o tym opowiedzieć - poparła ją Muriel, podeszła do Jane i ujęła ją za rękę. - Ja sama chodziłam na terapię przez siedem lat i wiem, jakie to ważne.

Świetnie, pomyślała Amanda. Tylko tego jeszcze trzeba: psychologa - amatora z dobrymi intencjami.

- Powiedz nam, Jane - ciągnęła dalej Muriel - jak się wtedy czułaś?

- Bezradna. Przerazona.

- To oczywiste. Przecież ci faceci byli uzbrojeni.

Jane chlipnęła, przytaknęła, w jej oczach zaczęły zbierać się łzy.

Amandę zdenerwowało to przedstawienie. Nigdy nie była sentymentalna. Okazywanie emocji wprawiało ją w zażenowanie. Tak samo jak przytulanie, uściski. Szczególnie w pracy. To było niewłaściwe, nie na miejscu. Trzeba zachowywać dystans.

Z drugiej strony rozumiała, przez co przeszła Jane i jaki uraz to u niej spowodowało. Sama nie pamiętała napadu, ale przypominała sobie panikę, gniew i strach, bardzo intensywne emocje, które spowodowały, że przestała czuć się prezesem banku.

- Byłam tak przerażona, że bałam się oddychać. Mogli nas wszystkich pozabijać. Byliśmy jak w pułapce, nie mieliśmy gdzie się schronić.

- Po prostu groza - powiedziała Muriel. - Co jeszcze?

- Nie wiem... to było takie okropne przeżycie. Nie potrafię tego opisać. Byłam...

- Nie musisz niczego wyjaśniać. - Amanda rozumiała jej zmieszanie i strach. - Wiem, przez co przeszedłaś.

- Naprawdę?

- Wszystko będzie dobrze, Jane. - Choć Amanda nie była mistrzem w wyrażaniu współczucia, tym razem jej słowa płynęły prosto z serca. - Wszyscy musimy poradzić sobie z tym problemem.

- Amando, byłaś taka dzielna.

- Ja, dzielna? Bałam się, jak nie wiem co.

Patrzyła na Jane i czuła, że coś je łączy. Kiedy zostały zakładniczkami, wytworzyła się pomiędzy nimi więź. Emocje wzięły górę i Amanda przestała zachowywać się jak szef banku.

Jane podeszła do niej. Można było odnieść wrażenie, że w pokoju nie ma nikogo więcej, tylko Jane i Amanda. Uścisnęły się mocno, dzieląc wspólny ból.

Amanda nigdy wcześniej nie okazywała tak otwarcie uczuć. Teraz popłakała się. Diabli wezmą jej makijaż, diabli wezmą wizerunek chłodnej, twardej kobiety. Frank Weathers postara się, żeby Bill Chessman i cała reszta rady nadzorczej dowiedziała się o chwili jej słabości.

Nie przejęła się tym. Nie dzisiaj.

Jane odsunęła się.

- Przepraszam, nie powinnam była tak się do ciebie przytulać. Głupio mi.

- Cieszę się, że to zrobiłaś. - Amandzie też było głupio. Głupio, że przez lata pracowała z tą kobietą, nawet jej nie dostrzegając. Teraz wszystko się zmieniło. - Przeszliśmy przez piekło, Jane. Ale trzymajmy się razem i miejmy nadzieję, że najgorsze już za nami.

- Oby.

- Możesz mi opowiedzieć, co stało się w banku?

- Drogie panie - wtrącił się Frank - pamiętacie, że przyszliśmy pocieszać Harry'ego?

- Zamknij się, Frank - fuknęła Amanda.

- Przepraszam?

- Nie, ja nie będę przepraszać za to, że się rozkleiłam. - Amanda uścisnęła dłoń Jane. - Każdy, kto był zakładnikiem zasługuje, aby go wysłuchano, zasługuje na pomoc i współczucie.

- Na szczęście mamy dobry system ubezpieczeń. Powinien pokryć koszty kilku twoich wizyt u psychiatry, Harry - zauważył Frank cierpko.

- Wyjdź stąd! - rozeźlił się Harry.

- Ależ ja dbam o twoje interesy - zaprotestował Frank.

- Nie musisz wysłuchiwać lamentów tych histeryczek.

- Masz pięć sekund - powtórzył Harry. - Potem wstanę z tego łóżka, skopię ci tyłek i wywalę za drzwi.

- Jasne, już wychodzę. Płaczcie sobie dalej.

Frank zamknął za sobą drzwi, a Harry poklepał kołdrę.

- Amanda i Jane, chodźcie no tu.

Amanda przysiadła w nogach jego łóżka, patrzyła na Harry'ego jak mała dziewczynka, czekająca na bajkę na dobranoc. Dwa dni temu nie przyszłoby jej do głowy, że będą rozmawiać jak równy z równym. Teraz wydawało się to oczywiste: wszyscy byli ofiarami, wszystkim udało się ująć cało z opresji.

- Zaczynaj, Harry.

- No więc tak. Siedziałem w pokoju, gapiłem się w monitory, aż tu nagle wszedł facet w czarnej czapce. Pomyślałem, że to trochę dziwne nakrycie głowy jak na taki upał. Wtedy naciągnął na twarz maskę i wymierzył we mnie broń.

- Żeby się do ciebie dostać, ten gość musiał przejść przez cały bank. Muszą być jakieś jego zdjęcia z kamer wideo.

- To nie ma znaczenia - zauważył Harry. - Policja aresztowała jednego, drugi, ranny, jest w tym szpitalu. Trzeci uciekł, nadal się ukrywa, ale akurat jego zdjęć mają pod dostatkiem.

- Uciekł z Carrie. Ona wciąż jest zakładniczką - powiedziała Amanda. Wymieniły spojrzenia z Jane i obie wzdrygnęły się na myśl o tym, przez co musi przechodzić Carrie.

- Tak czy inaczej - ciągnął dalej Harry - ten facet w masce kazał mi się odwrócić, potem wystukał na klawiaturze komputera kod wyłączający system monitorowania banku. Kiedy polecił mi iść do drzwi, sięgnąłem po broń i dostałem w łeb.

- Zaraz, zaraz - wtrąciła się Amanda. - Powiadasz, że dokładnie wiedział, co robić? Jak to możliwe?

- Zastanawiałem się nad tym. Z tego, co wiem, tylko ty i ludzie z Summit Security znali kody.

Nie musiał jej tego przypominać.

- Może to jakiś haker komputerowy? Czy to możliwe, Harry?
- Mnie chyba nie podejrzewasz? - zaniepokoił się Harry.
- Oczywiście, że nie - obruszyła się Amanda. – Jesteś najlepszym pracownikiem ochrony, jakiego kiedykolwiek mieliśmy.

- Widzisz? - powiedziała jego żona. - Powtarzałam ci to samo. Nie stracisz pracy.

- Oczywiście, że nie, o ile ja będę miała coś jeszcze do powiedzenia.

Amanda zwróciła się do Jane:

- Kiedy zrozumiałaś, że to napad?

- Trudno określić - przyznała kasjerka.. - Było ich trzech, wszyscy w czarnych maskach. Wszyscy mieli broń maszynową. Kazali nam położyć się na podłodze, twarzą do ziemi.

Zająknęła się i Amanda zrozumiała, że Jane znów przeżywa tamten koszmar.

- Już dobrze. Opowiadaj dalej.

- Byłam zbyt daleko, żeby włączyć cichy alarm. Leżałam na podłodze i modliłam się, żeby nikomu nic się nie stało.

Amanda po raz kolejny przytuliła Jane.

- Przykro mi, że musiałaś przez to przejść.

- Przecież to nie twoja wina.

To była jednak jej wina. Przecież bandyci wybrali właśnie ten oddział Empire Bank nie przez przypadek. Wyglądali na zawodowców, wiedzieli, co robią. Przyszli do jej oddziału.

- Co było dalej? - spytała po chwili milczenia.

- Byłam jak sparaliżowana. Nie mogłam się ruszyć. Jeden z napastników chciał klucz do sejfu, ale nie mogłam mu go dać, bo wzięła go Carrie.

- Carrie zabrała klucz? - To brzmiało podejrzanie.

- Musiała. Jeden z tych bandziorów chciał mnie uderzyć, nie miała wyjścia. Wiem, co mówią o Carrie, że była zamieszana w ten napad i takie tam głupoty. Ale ja ani przez chwilę w to nie wierzyłam. Ona po prostu chciała mi pomóc.

- Zgadza się z tobą, Carrie nie jest kryminalistką. Jane ciągnęła swoją opowieść:

- Ładowali właśnie pieniądze, kiedy pojawiła się policja i brygada specjalna. Wtedy dostał kulkę jeden z klientów. Nie widziałam tego, ale ogłuszył mnie huk wystrzału. Potem bandyci

zwolnili wszystkich zakładników, z wyjątkiem ciebie i tej kobiety, która do ciebie przyszła.

- Tracy Meyer - przypomniała sobie Amanda. Biedna Tracy! Powinna była do niej zadzwonić!

- To straszne! Okazałam się takim tchórzem! - rozpaczła Jane.

- Nieprawda. To ja powinienem był cię bronić - protestował Harry.

Mogli się przekrzykiwać do upadłego, ale to i tak nie rozwiązywało zagadki napadu. Amanda musiała oczyścić się z zarzutów, a Harry Hoffman mógł znać odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Poprosiła, żeby Jane i Muriel poczekały na korytarzu, zostawiły ją samą z Hoffmanem.

- Harry, opowiedz mi o naszym wspólnym sekrecie.

- Nikomu nic nie powiedziałem o ukrytej kamerze. Ani glinom, ani nikomu innemu.

Coś jej zaświtało w głowie, lecz nie potrafiła przypomnieć sobie, o co dokładnie chodzi.

- Kamera? Po co?

- Rzeczywiście masz amnezję - zdenerwował się Harry.

- To już powoli mija. - Przypomniała sobie prywatną rozmowę z Harrym kilka dni wcześniej. - Podejrzywałam, że ktoś z personelu dobiera się do mojego biurka. Wtedy poprosiłam cię o zainstalowanie kamery w gabinecie.

- A ja kupiłem ją w Summit Security. Miała się uruchamiać jedynie po otwarciu jednej z szuflad twojego biurka.

Takie nagranie mogło stanowić bardzo ważny dowód. Przecież ktoś mógł wykraść tajne kody i przekazać je bandytom. Ale kto?

- Dzięki, Harry, muszę jechać do banku.

- Nie ma za co.

Odwróciła się. W drzwiach pokoju stał David. Był tak wściekły, że aż się wzdrygnęła.

- Miałaś siedzieć w domu i odpoczywać. Co tu robisz?

- Jest od cholery rzeczy do zrobienia. A ty nie powinienes być w ambulatorium?

- Powinienem, ale mam na głowie ważniejsze sprawy. - Uchylił szerzej drzwi i do środka weszły Muriel i Jane w towarzystwie dwóch policjantów.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się Harry.
- Morderstwo - wyjaśnił David. - Ten bandyta, Tempie, został zastrzelony w szpitalu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W szpitalnym pokoju Harry'ego Hoffmana powiało chłodem. Amanda zadrżała, poczuła na ciele dotyk lodowatych palców. Nie była bezpieczna. Śmierć czaiła się wszędzie. Jeden z bandytów został zamordowany.

Będzie się broniła. Musi się bronić. Wstała, wyprostowała się, gotowa do działania.

- Mogę wiedzieć, jak to się stało? Czy nikt go nie pilnował? - zwróciła się do dwóch policjantów stojących w milczeniu za Davidem.

Policjanci wymienili niepewne spojrzenia.

- My... nie wolno nam o tym rozmawiać... - zaczął bąkać starszy.

- Możecie jej spokojnie powiedzieć - wtrącił David. - Jak ją znam, nie odpuści, dopóki nie dojdzie prawdy. Poza tym w wiadomościach o piątej będzie na pewno obszerna relacja na ten temat.

Policjant przestąpił z nogi na nogę, poprawił kaburę przytroczoną do paska.

- Policjant pilnujący Tempie' a odszedł gdzieś na moment - zaczął rzeczowym, bezbarwnym tonem. - Wtedy zabójca wszedł do pokoju, oddał jeden strzał, prosto w twarz ofiary. Kiedy policjant wrócił, nie zajrzał do wnętrza, nie sprawdził, co z więźniem. Dopiero jego zmiennik, który przyszedł dziesięć minut temu, odkrył zbrodnię.

Amanda osłupiała w obliczu takiej niekompetencji, takiego lekceważenia obowiązków służbowych.

- Nie wiecie nawet, kiedy dokonano morderstwa? - zapytała z niedowierzaniem.

- To nie mój wydział, proszę pani.

Kolejny pozbawiony twarzy zabójca. Kolejny przeprowadzony z zimną krwią atak, jak ten, którego sama miała stać się ofiarą, kiedy ktoś wdarł się ciemną nocą do jej sypialni. Zaskakująca była brutalność obydwu napaści. Zabójca po prostu wchodził i wykonywał powierzone mu zadanie.

- Nikt nie słyszał wystrzału? - dociekała. Harry uniósł głowę.

- Musiał użyć tłumika. Te maleństwa potrafią być bardzo skuteczne. Rozlega się tylko cichy łoskot, jakby ktoś upuścił książkę na podłogę.

Amandzie w głowie nie mogło się pomieścić, że ktoś jest w stanie dokonać zbrodni, po czym oddalić się najspokojniej w świecie. W szpitalu, niemal na oczach policji? Jak wobec podobnej brutalności mogła czuć się bezpieczna? Przed oczami ujrzała człowieka w czarnej kominiarce i pistolet wycelowany prosto we własne serce. Mogła zginąć. Gdyby David jej nie obronił.

- Znaleźliście broń? - zapytał Harry.

- O ile wiem, to nie - odparł jeden z policjantów.

- Są jacyś świadkowie? - nie dawał za wygraną Harry.

- Prowadzimy dochodzenie, przesłuchujemy cały personel szpitala.

Innym razem Amanda być może poczułaby ulgę na wiadomość, że policja prowadzi dochodzenie. Ale teraz? Poczucie bezpieczeństwa, które towarzyszyło jej przez całe życie, rozpadło się definitywnie w obliczu ostatnich wypadków.

Odruchowo przysunęła się do Jane. Przed napadem traktowała ją jak miłą kobietę, znakomitego pracownika, ale nic więcej. Lubiły się, to wszystko. Teraz były sobie bliskie jak siostry. Biedna Jane trzęsła się z przerażenia, a wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć.

Chwyciła dłoń Amandy i ścisnęła mocno.

- Poradziłyśmy sobie przedtem, poradzimy sobie i teraz - szepnęła Amanda, widząc, że Jane jest bliska desperacji.

- To zupełnie bezsensowne. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać.

- Życie jest kruche. - Ona jednak nie będzie krucha, bezradna i bezbronna. Nie zamierza żyć w strachu. - Ale jest też bardzo cenne. Musimy cieszyć się każdą jego chwilą - powiedziała stanowczo.

- Przepraszam, muszę prosić wszystkich o opuszczenie pokoju - odezwał się starszy z policjantów.

- Mam w nosie waszą ochronę, nie zamierzam tu dłużej leżeć. - Harry opuścił nogi na podłogę.

- Powoli, powoli, bo będę musiał zawołać doktor Spangler - ostrzegł go David.

- Niech pan sobie woła, doktorze. Nie zamierzam zostać tu ani chwili dłużej.

David był najwyraźniej wyczerpany: ciemne kręgi pod oczami, szara cera i poplamiony krwią fartuch wystarczająco dobitnie

świadczyły o ciężkich godzinach, które miał za sobą. Zachowanie Harry'ego dopełniło miary.

- Kładź się, Harry. Nie wyjdiesz stąd, dopóki twój lekarz prowadzący nie wyrazi na to zgody.

- A właśnie, że wyjdę. - Tu zwrócił się do swojej żony: - Gdzie moje spodnie?

- Ja je mam - warknął David. - Przestań się wygłupiać, Hoffman. W szpitalu dokonano morderstwa, nie będę tolerować żadnych wygłupów.

- Nie zatrzymacie mnie tutaj wbrew mojej woli.

- Kładź się albo zaraz zostaniesz aresztowany przez tych dwóch. Chcesz tego?

- Pod jakim zarzutem?

- Jako podejrzany o morderstwo - oznajmił David. - Opuśczałeś pokój w czasie ostatniej godziny?

- Wychodziłem na spacer. Chciałem sprawdzić, czy uda mi się utrzymać równowagę. - Harry cofnął brodę niby żółw zamierzający schować się w skorupie. - Oskarża mnie pan o zabicie tego faceta?

- Mogłeś to zrobić - przytaknął David.

- Co mówisz! Harry nigdy nie byłby... - obruszyła się Amanda.

- Zwracam tylko uwagę na pewne fakty. Sytuacja jest poważna. To sprawa życia i śmierci. Wszyscy tutaj zebrani powinni zachowywać się odpowiedzialnie, nie robić afer i nie zadawać pytań. Rozumiesz, Harry?

Harry niechętnie opadł na poduszkę.

- A jakże, doktorze. Jasno i wyraźnie.

- I bardzo dobrze. - David zimnym wzrokiem spojrzał na Amandę. - A ty, moja droga, idziesz ze mną.

Niezbyt jej było w smak słuchać czyichkolwiek rozkazów, ale zdawała sobie sprawę, że w obecnej sytuacji nie ma sensu protestować. David nie był w odpowiednim nastroju do dyskusji.

Posłała jeszcze Jane pełne otuchy spojrzenie i wyszła z Davidem na korytarz.

- Czy naprawdę musiałeś być taki podły dla Harry'ego? - napadła na niego, ledwie znaleźli się sami.

- Nie wyprowadzaj mnie z równowagi, Amando. Zatrzymał się koło pokoju pielęgniarek i poprosił, by wezwały do Harry'ego Hoffmana doktor Loretę Spangler.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Amanda, kiedy wsiedli do windy.

- Nic nie mów, o nic nie pytaj. Nie denerwuj mnie.

Szła za Davidem do wyjścia i wzbierała w niej coraz większa złość. W drzwiach musieli przejść koło nowo zainstalowanego detektora metali. Na parkingu minęli cztery wozy policyjne i skierowali się do samochodu Amandy.

- Jedź do domu - polecił krótko David. Amanda ani myślała posłuchać.

- Czy nie widzisz, że zabójstwo Temple'a przypomina atak na mnie? Jego oczywiście zabił ktoś inny, tamten siedzi w areszcie, ale muszę dojść, czy to przypadek, czy też istnieje między tymi sprawami jakiś związek. Być może agent Metcalf mógłby...

- Powinnaś jechać do domu. Jedź do mnie, zamknij się i nigdzie nie wychodź.

- Nigdzie nie pojedę. I nie będziesz mną dyrygował. Nie podoba mi się to.

Davidowi nabrzmiały żyły na skroniach, w oczach pojawiły się niebezpieczne błyski, krew uderzyła mu do głowy.

- Grozi ci niebezpieczeństwo.

- Pozwól mi samej decydować o moim losie, dobrze? - Nie może poddać się strachowi, schować w ciemnym kącie i skamleć ze strachu.

- Mam zamiar dowiedzieć się, kto za tym wszystkim stoi.

- Myśl rozsądnie. Wczoraj rano byłaś zakładniczką. W nocy ktoś cię omal nie zabił. Myślisz, że amnezja uratuje ci życie?

- Ja się nie prosiłam o utratę pamięci. Jesteś niesprawiedliwy. - Amanda była teraz równie wściekła, jak David.

- Do cholery, Amando, jeśli nie potrafisz zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo, pomyśl przynajmniej o Laurel.

Jak on śmie wciągać w to Laurel! Natarła na niego niczym furia.

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że jestem złą matką?

- Chcę tylko powiedzieć, że jeśli zginiesz, odgrywając farsową rolę detektywa, unieszczęśliwisz Laurel. Ona ma tylko ciebie.

- Ma jeszcze ojca.

- A gdzie on jest? - David zatoczył wokół ręką, szerokim gestem omiatając parking, szpital, cały stan Kolorado. - Gdzie ten tajemniczy tatuś? Czyżby był niewidzialny?

- Niestety, nie.

Przygryzła wargę, żeby, broń Boże, nie powiedzieć słowa więcej. Nie chciała, by David poznał prawdę podczas jakiejś idiotycznej sprzeczki na parkingu szpitalnym. To powinno odbyć się w innej scenerii.

Odwróciła się i obserwowała w milczeniu policjantów, którzy właśnie ustawiali blokadę przy wyjeździe z terenu szpitala. Czekala przy niej już długa kolejka samochodów.

- Popatrz. - Wskazała w tamtą stronę.

- Kontrolują wszystkich.

- Nie będę mogła wyjechać - stwierdziła Amanda zgryźliwie. - Policja jak zwykle wykazała się sprytem oraz inteligencją. Zamykają drzwi obory, kiedy krowy dawno polazły w szkodę.

Odszedł dwa kroki i wznosił ręce do góry, jakby błagał o coś niebios. Po chwili opuścił je, przez chwilę stał bez ruchu, nagle jego ramionami zaczął wstrząsać spazm. Odwrócił twarz ku Amandzie i wtedy zobaczyła, że zanosi się niepohamowanym śmiechem.

- Dawidzie? - Może to jakiś atak? - Dobrze się czujesz? Wciągnął głęboko powietrze.

- To się nazywa pokuta za grzechy.

- Co masz na myśli?

- Sama wiesz, jaki był ze mnie nieodpowiedzialny drań. Wszyscy bezustannie martwili się o mnie, wyciągali z różnych spelun, ratowali z najgorszych opresji. Teraz, kiedy próbuję zrobić coś sensownego, cała reszta zachowuje się jak banda niedowarzonych matolów.

- Mnie do tej reszty nie zaliczaj.

- Jak każesz, księżniczko. Chodź, wracajmy do szpitala, poczekamy, aż się tu uspokoi. - Ruszył w stronę wejścia. Trzymaj się mnie.

- To chyba wbrew przepisom?

- Ciagle je łamię. Komisja dyscyplinarna będzie miała jeszcze jeden powód do udzielenia mi kolejnej nagany.

- Komisja dyscyplinarna?

- Według niektórych jestem zbyt arogancki, żeby być dobrym, miłym stażystą. Doktor Loretta Spangler złożyła na mnie wczoraj skargę. Według niej nie powinienem był wypisać do domu pewnego pacjenta, który odmówił poddania się badaniom.

- Tak mi przykro, Davidzie. - Naraził się z jej powodu. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby przez nią miała ucierpieć kariera Davida.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie.

- Może jednak?

- Nie, Amando. - David wsunął ręce do kieszeni. - To, że jesteś prezesem banku, nie znaczy, że masz coś do powiedzenia w szpitalu. Na prowadzeniu śledztwa też się znasz jak kura na pieprzu. Nie mieszaj się do rzeczy, o których nie masz pojęcia.

- Jaką proponujesz mi alternatywę?

- Zostaw lekarzom leczenie, gliniarzom łapanie przestępców. Nalegam.

- Nie mogę siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż ktoś znowu zrobi mi krzywdę. Następnym razem, kiedy w mojej sypialni pojawi się morderca, mogę mieć mniej szczęścia niż ostatnio.

. - Nigdy nie należałaś do osób biernie czekających na rozwój wypadków. - W kąciку ust Davida pojawił się uśmiech. - Lubię to u ciebie. Szczególnie w łóżku. Łóżko w tej chwili najmniej ją interesowało.

- Muszę dojść prawdy, Davidzie. Z twoją pomocą czy bez niej. Rozważmy sprawę zabójstwa Temple'a. Jaki mógł być motyw?

- Seks albo pieniądze - odparł David bez zastanowienia. - Co myślisz o seksie, Amando?

Oczywiście zignorowała to pytanie.

- Zginął, bo za dużo wiedział.

- Brzmi prawdopodobnie.

- Co wiedział Tempie? Komu mógł zaszkodzić?

- Dwóm pozostałym bandytom? - podsunął David.

- Sarge siedzi już w areszcie, Dallasa szuka cała policja. Jak mógłby im zaszkodzić?

- Zdradzając kryjówkę tego faceta, który uprowadził Carrie. Sypiąc kumpli.

- Być może - przytaknęła.

Ale były też inne kwestie, które musiała brać pod uwagę: kody komputerowe wyłączające kamery w banku, ucieczka Jaxa Schaffera, ewentualny współudział Carrie.

- Jakim cudem Tempie mógł zostać zabity w szpitalu?

- odezwała się po chwili milczenia. Przy tak doskonałej ochronie, jaką miało Denver General? Trudno było uwierzyć, że morderca zdołał się tu dostać i wykonać swoje zadanie.

- Myślisz, że ten policjant mógł być przekupiony?

- To wyjaśniałoby kilka rzeczy - przyznał David. - Niemrawe negocjacje w banku. Tego Dallasa też szukają tak, jakby wcale nie chcieli znaleźć.

- Czuję, że chodzi o wielką aferę, Davidzie. Ta sprawa zatacza coraz szersze kręgi.

Kiedy David przyprowadził Amandę na oddział ambulatoryjny, Stella wcale się nie dziwiła. Spojrzała tylko zza swoich cylindrycznych okularów i orzekła:

- Wygląda pani dzisiaj dużo lepiej.

- Dziękuję. Moje rzeczy się nie znalazły?

- Pantofelki i torebka? Niestety. - Pokręciła głową. - Niech pani jeszcze zapyta policję. Byle nie teraz, bo wydaje się, że popadli w kompletną paranoję.

Rzeczywiście. W promieniu kilku metrów David doliczył się trzech mundurowych. I po cóż się tu tak uwijali? Jak słusznie powiedziała Amanda: nie czas zamykać oborę, kiedy już pusta.

- Ach, Haines - odezwała się Stella - byłabym zapomniała. W poczekalni jest jakiś człowiek, który koniecznie chce z tobą rozmawiać. Niejaki Stefan Phillips.

David był już wystarczająco znępany. Hipotezy Amandy na temat zasięgu sprawy nie poprawiły mu nastroju. A teraz miał jeszcze zmierzyć się ze Stefanem Phillipsem, ojcem Laurel i facetem z zasadami.

- Chodź ze mną, Amando, on na pewno szuka ciebie, dlatego tu przyjechał.

Rzeczywiście. Na widok Amandy ubrany jak z najnowszego katalogu mody Stefan zerwał się z krzesła.

- Gdzie ty się podziewasz? - zaczął, zamykając ją w uścisku. - Byłem dzisiaj rano u ciebie w domu. Portier powiedział mi, że nie nocowałaś u siebie.

- Vonnie do ciebie nie zadzwoniła? Miała to zrobić.

- Zostawiła wiadomość, że u ciebie wszystko w porządku i wkrótce się odezwiesz.

Amanda uwolniła się z objęć Stefana.

- No właśnie. Wszystko w porządku, Vonnie mówiła prawdę. - Amanda chłodno traktowała swojego adoratora.

- Daj spokój, Amando. Chyba zasługuję na coś więcej niż wiadomość przekazaną przez nianię.

David przyznał mu rację. W końcu Stefan był ojcem Laurel. Nawet jeśli Amanda nie chciała wyjść za niego za męża, biedak powinien wiedzieć, gdzie podziwia się jego córka.

Zbity z tropu Stefan dopiero teraz spojrzał na Davida.

- Chciałbym zostać na chwilę sam z Amandą.

- W takim razie nie będę wam przeszkadzał - oznajmił David sztywno i już zamierzał odejść.

Amanda chwyciła go za rękaw.

- Poczekaj, Davidzie. To potrwa moment. Nie mamy sobie ze Stefanem wiele do powiedzenia.

- Wręcz przeciwnie, moja droga. Do diabła, Amando, częściej rozmawiam z twoją matką niż z tobą. O co tu chodzi? Mogłabyś przynajmniej powiedzieć mi, dokąd się przeprowadziłaś.

- Do zaprzyjaźnionego domu - odparła. - Dzisiaj w nocy ktoś wtargnął do mojego mieszkania. Nie byłabym tam bezpieczna.

- Ktoś wtargnął do twojego mieszkania? Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś?

- Nie było takiej potrzeby. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Niepotrzebnie się martwisz, naprawdę sama potrafię o siebie zadbać. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Nie musisz opiekować się mną i Laurel.

- Ale ja chcę się wami opiekować - powiedział Stefan, choć po takiej odprawie powinien odwrócić się i odejść. - Możecie zamieszkać u mnie albo, jeszcze lepiej, możemy wyjechać na kilka dni z miasta. Zapomnisz o problemach, odpoczniesz.

- Mam zapomnieć? - Amanda uniosła brew. - Cóż za pomysł. Właśnie na wszystkie sposoby usiłuję sobie cokolwiek przypomnieć.

David słuchał tej wymiany zdań ze wzrastającą irytacją. Czuł się głupio i niezręcznie. Tych dwoje naprawdę powinno porozmawiać sam na sam. W końcu w pewnym sensie stanowili rodzinę, mieli wspólne dziecko, tymczasem zachowywali się jak para zwykłych znajomych.

- Zadzwoń do ciebie później, Stefanie - zakończyła rozmowę Amanda i chciała odejść.

Stefan chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie.

- Nie zbywaj mnie w ten sposób. Powiedz, dokąd się przeniosłaś.

- Puść mnie, proszę.

- Chcę tylko twojego dobra, Amando.

Kiedy szarpnęła się, puścił ją. Stał na środku poczekalni zrezygnowany, nie bardzo rozumiejąc, czym zasłużył na tak obcesowe potraktowanie.

- Do widzenia. - Amanda ruszyła zdecydowanym krokiem do wyjścia.

David wyszedł za nią. On też nie rozumiał. Nie wiedział, co łączy Amandę ze Stefanem, ale nie miała prawa zbyć go w tak grubiański sposób, jak jakiegoś obcego natręta.

- Nigdy więcej nie rób mi tego, Amando - wybuchnął, kiedy zostali sami.

- Czego mam nie robić?

- Nie zmuszaj mnie, żebym wysłuchiwał twoich prywatnych rozmów.

- Przepraszam. Byłam niegrzeczna, ale nie spodziewałam się, że Stefan okaże mi tyle... troski.

David pogubił się już zupełnie. Stefan był przecież ojcem jej dziecka. To oczywiste, że musiał się denerwować, nie wiedząc, co dzieje się z Amandą i Laurel.

- O co chodzi? - zapytała Amanda.

- Kiedy chcesz kogoś splawić, potrafisz być naprawdę bezwzględna. - Sam zdołał się o tym przekonać, gdy zerwała ich zaręczyny. Kiedy półtora roku temu przespała się z nim, po czym rano pokazała mu drzwi. - Chyba trudno tak nieustannie trzymać emocje na utożsamieniu. Musisz być bardzo samotna. Skrzywiła się nieznacznie.

- Nie wiem.

- To zmień się, okazuj ludziom więcej ciepła. Zobaczysz, jak miło może być pośród innych ciepłokrwistych istot.

O dziwo, zamiast oburzenia, zobaczył w jej oczach wesołe iskielki.

- Wiesz co, Davidzie? Właśnie mam zamiar to zrobić. Odtając.

Podeszli do biurka Stelli. David odebrał od niej karty nowych pacjentów, którymi powinien się zająć i poprosił, by Amanda mogła tymczasem zostać w recepcji.

Stella zgodziła się skwapliwie. Ledwie odszedł, zagadnęła Amandę bez żadnego skrępowania:

- Czy coś cię łączy z Hainesem? Spotykaliście się kiedyś, prawda?

- Byliśmy zaręczeni. Stella klasnęła w dłonie.

- I wróćcie teraz do siebie!

Zupełnie jak Vonnie. Amanda nie miała ochoty dyskutować ze Stellą. Uśmiechnęła się ciepło i powiedziała:

- Wszystko może się zdarzyć.

- I bardzo dobrze. Haines to kompletny wariat, ale bardzo rodzinny człowiek. Gdybyś zobaczyła, jaki on ma stosunek do dzieci. Jest niesamowity.

Owszem, Amanda zauważyła, jak łatwo nawiązał kontakt z Laurel. Ale to jeszcze nie znaczyło, że będzie dobrym ojcem. I mężem.

- Zaczniecie się znowu spotykać? - Ciekawość Stelli była nienasycona.

Amanda czuła się niezręcznie. Nie potrafiła i nie lubiła zwierzać się ze swoich najbardziej prywatnych spraw.

- Przepraszam, gdzie tu jest toaleta? - zapytała, unikając odpowiedzi.

- Do końca tym korytarzem - wyjaśniła Stella - potem na lewo i jeszcze raz na lewo.

- Zaraz wrócę.

Znowu zaczynała boleć ją głowa. Była potwornie zmęczona. Dzisiaj w nocy nie pozwoli budzić się co cztery godziny. Marzyła o tym, żeby wreszcie porządnie się wyspać.

W toalecie spojrzała w lustro. Twarz z pozoru ta sama co jeszcze dwa dni temu, a jednak odmieniona.

Ludzie się nie zmieniają, uważała jeszcze do wczoraj. Pomimo to czuła, że dokonuje się w niej jakaś przemiana. Rzeczywiście tajała. Coraz trudniej przychodziło jej skrywać swe emocje. Kiedy David pocałował ją tego ranka, ożyła, ożyły jej wszystkie zmysły. Po południu objęła serdecznie główną kasjerkę i obydwie się popłakały. Może w końcu zaczyna być ciepłokrwistą istotą ludzką...

Usłyszała, że drzwi od łazienki otwierają się, odkręciła kran i zaczęła starannie myć ręce, niczym chirurg przed operacją. Miała tyle

rzeczy do przemyślenia, nie tylko napad na bank, ale i przemiany zachodzące w jej życiu.

- Amando - dobiegł ją znajomy głos.

Podniosła głowę. W lustrze dojrzała brunetkę w białym kitlu laborantki.

- Carrie?

Popołudniowe słońce prażyło niemiłosiernie, ale Iceman nie zwracał uwagi na upał. Jego nigdy nic nie poruszało. Stał na ulicy obojętny na wszystko.

Dzisiejszy test przeszedł pomyślnie. Pozostał zimny, jak przystało na faceta noszącego przezwisko człowieka z lodu.

Godzinę temu w stroju chirurga kroczył spokojnie szpitalnymi korytarzami. Wszystko precyzyjnie zaplanował.

Z chwilą gdy policja zatrzymała Temple'a, los tego idioty został przesądzony. Wiadomo było, że musi zginąć. Był zbyt nieobliczalny, a takim ludziom nie można ufać, nigdy nie wiadomo, co zrobią. Temple - biedny świr, opowiadający bez przerwy o reinkarnacji.

Właściwie to nie Iceman powinien go zabić. Nie był profesjonalnym zabójcą, w przeciwieństwie do człowieka, którego wynajęto, by sprzątnął Amandę.

Kiedy profesjonalista zawałił robotę, Iceman doszedł do wniosku, że nie może polegać na tak zwanych zawodowcach i sam musi zabić Temple'a.

Wszystko poszło zgodnie z planem.

Broń znalazł tam, gdzie powinna była być.

We właściwym momencie opłacony policjant zszedł ze stanowiska, umożliwiając wtargnięcie do izolatki Temple'a.

Iceman mógł wykonać swoją część planu.

Przy łóżku nafaszerowanego środkami usypiającymi Temple'a założył tłumik na lufę pistoletu. Sumienie jeszcze szeptało mu, że nie powinien zabijać, ale nie usłuchał tego głosu. Dotąd był nikim, teraz zaczął traktować go poważnie. Morderca to jednak nie to samo co drobny złodziejasek. Wreszcie go dostrzegą i docenią.

Położył poduszkę na twarzy Temple'a i strzelił.

Wyszedł z pokoju. Teraz miał czas, żeby spokojnie pozbyć się broni.

Wszystko zgodnie z planem. Tak jak miało być. Załatwił sprawę. Był mordercą. Był wreszcie kimś.

Teraz musi pozbyć się Amandy. To powinno być łatwe.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Amanda dotknęła dłonią lustra: nie dowierzała własnym zmysłom, miała wrażenie, że ponosi ją fantazja. Przecież Carrie nie może być tutaj, to jakieś omamy. Szukała jej policja, jej zdjęcia były we wszystkich gazetach, telewizja nadawała co kilka godzin komunikaty.

Carrie uśmiechnęła się słodko.

- Widzę, że z tobą wszystko w porządku. Cieszę się.

- Naprawdę tu jesteś?

- Aha.

Amanda odwróciła się gwałtownie. Ciągle jeszcze oczekiwała, że zjawa się rozwieje. Ale nie, Carrie stała przed nią najspokojniej w świecie, w białym kitlu, ze szpitalnym identyfikatorem na piersi.

Amanda chwyciła ją w ramiona, Carrie oddała uścisk.

- Amando?

- Tak?

- Co się z tobą dzieje? - szepnęła Carrie. - Chyba nigdy jeszcze mnie nie uścisnęłaś.

- Może nie, ale zawsze o tobie myślałam, byłam z tobą. Czy to ważne? Liczy się tylko to, że jesteś cała i zdrowa.

- Nie, to bardzo ważne. Zmieniłaś się - stwierdziła Carrie.

- Ludzie się nie zmieniają. - Przyjrzała się uważnie przyjaciółce. Dopiero teraz zauważyła, że zwykle czarne włosy Carrie mają brązowy odcień.

- To peruka - wyjaśniła Carrie, uprzedzając pytanie. Peruka. A więc Carrie unika rozpoznania. Ukrywa się.

- Nie byłaś zakładniczką?

- Nie w dokładnym znaczeniu tego słowa - przyznała Carrie. - Proszę tylko, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Pamiętasz, jak pojawiłam się u ciebie przed dwoma laty i dałaś mi pracę?

- Uciekałaś wtedy przed mężem. Zaufałam ci.

- Zaufaj mi i teraz.

- Miałaś coś wspólnego z napadem?

- Skądże.

Czy można jej wierzyć? Carrie ukrywa się przed policją. Pojawia się w szpitalu, w którym godzinę wcześniej zginął Tempie. W swoim mieszkaniu trzymała broń. Wie, jak się nią posługiwać.

Amanda całym sercem chciała wierzyć przyjaciółce, ale okoliczności zdawały się świadczyć przeciwko Carrie.

- Mam niewiele czasu, Amando. Chciałam ci tylko powiedzieć, że ktoś z banku współpracował z bandytami, przekazał im informację na temat systemu bezpieczeństwa.

- Kto?

- Nie wiem, ale ci ludzie nie cofną się przed niczym. Musisz być bardzo ostrożna.

Nieskładne fragmenty wspomnień nie dawały spokoju Amandzie. Zniesie wszystko, ale nie może dłużej żyć w niepewności.

- Czy ja brałam w tym udział? Powiedz.

- Nie pamiętasz?

- Miałam wstrząśnienie mózgu, częściowo utraciłam pamięć. - Nagle ogarnęło ją lodowate przerażenie. - Brałam udział, tak? Razem to zaplanowałyśmy.

- Razem zaplanowałyśmy? - Carrie spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. - Jak możesz tak myśleć? Znam cię od dziecka. Nigdy nie przywłaszczyłaś sobie nawet gumy do żucia. Jesteś najuczciwszą osobą, jaką spotkałam.

- Ale miałam dostęp do kodów komputerowych sterujących kamerami. Nic nie pamiętam. Kompletnie nic.

- Zastanów się przez moment, Amando. Osiągnęłaś tak wiele. Pracę, którą kochasz. Pozycję. Cudowną córkę. Po co miałybyś napadać na własny bank? - Carrie spojrzała na zegarek. - Muszę już iść.

- Nie odchodź. Jeśli zgłosisz się na policję, dadzą ci ochronę.

Carrie uśmiechnęła się tylko, podeszła do drzwi, wyjęła z kieszeni fartucha okulary przeciwsłoneczne, założyła je. Teraz z łatwością mogła się wmieszać w szpitalny tłum.

- Carrie.

- Tak?

- Muszę dojść prawdy. Dojdę. A ty uważaj na siebie. Nie chcę, żeby coś złego przytrafiło się mojej najlepszej przyjaciółce.

- Nigdy cię jeszcze taką nie widziałam. Zmieniłaś się na lepsze. - Pomachała dłonią na pożegnanie i znikła.

Kiedy po dyżurze David pojawił się przy stanowisku Stelle, żeby zabrać Amandę, wcale się nie zdziwił, widząc, że zostały najlepszymi w świecie kumpelkami. Choć pochodziły z zupełnie różnych

środków, żyły w odmiennych światach i na różnym poziomie materialnym, obydwie niepodzielnie władały podległymi im obszarami.

Wspólnymi siłami udało im się zmusić do przyścia agentów Metcalfa i Hessa.

David skinął nieznacznie na tego ostatniego. Kiedy rozmawiali o nocnej wizycie w mieszkaniu Amandy, nawiązała się między nimi nie porozumienia. Przystępność Hessa mogła wynikać z jakże często stosowanego przez policję chwytu „zły glina i dobry glina”, ale David postanowił skorzystać z okazji. Być może uda mu się dowiedzieć czegoś więcej na temat zabójstwa Tempie' a.

Hess mrugnął do Davida, po czym dalej słuchał Amandy, która rozmawiała z Metcalfem.

- Pozostaje jeszcze sprawa mojej torebki i butów. W szpitalu ich nie ma. To już zostało sprawdzone. Wczoraj Stella rozwiesiła ogłoszenia, jednak nikt się nie zgłosił. Z tego wniosek, że trzeba szukać w banku.

- Do banku nie może pani wejść, pracują tam jeszcze ekipy dochodzeniowe - odparł Metcalf sucho.

- Pan może dać mi pozwolenie.

- Mamy do czynienia z poważną sprawą. Są zabici i ranni, poszukujemy zakładniczki, uciekł bardzo ważny więzień federalny. - Metcalf był coraz bardziej zirytowany. Oddychał szybko, jakby za chwilę miał się udusić. - A pani chce szukać jakichś głupich butów?

- Przypominam panu, że jestem prezesem tego banku. - Amanda nie dawała za wygraną. - Nie zawaham się użyć własnych wpływów, jeśli będzie trzeba. Ten, kto wszedł do mojego mieszkania, użył kluczy. Nie mam zwyczaju zostawiać kluczy, gdzie popadnie, musiał zatem wziąć je z mojej torebki.

- Ona ma rację - wtrącił Hess. Metcalf spiorunował wzrokiem partnera.

- Nie mamy czasu...

- Na torebce mogą być odciski palców - przerwała Amanda. - Jeśli natomiast torebka i buty zostały zabezpieczone przez policję, oznaczałoby to, że ktoś z policji współpracuje z bandytami. Czy teraz rozumie pan, dlaczego należy odnaleźć buty i torebkę?

Metcalf, choć wyraźnie wściekły, w końcu ustąpił.

- Spotkamy się w banku jutro o drugiej po południu, panno Fielding.

- Jeszcze jedna rzecz. - Amanda uśmiechnęła się podejrzanie słodko. - Jeśli agent Hess nie jest jeszcze żonaty, to powinien wiedzieć, że moja niania, Vonnie, uznała go za niezwykle przystojnego mężczyznę.

- Ta mała ruda? - Hess rozpromienił się. - Mnie ona też się spodobała.

- Nie jesteśmy w biurze matrymonialnym - warknął Metcalf.

- Rozchmurz się - uspokoił go Hess. - Mamy wszystko pod kontrolą. Gdy tylko uda nam się zatrzymać poszukiwanych, będziemy...

- Do widzenia paniom. - Metcalf przerwał partnerowi w pół słowa i wstał, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną.

Do stanowiska Stelli podszedł David.

- Wstyd, moje panie, tak zabawiać się kosztem pocziwego agenta FBI.

- Nie widzę w tym nic zabawnego. Co Hess miał na myśli, mówiąc o poszukiwanych?

Z odpowiedzią pospieszyła Stella:

- Chodziło mu o trzeciego bandytę i Carrie Lamb. To główni podejrzani.

- Nie wierzę - zaproponowała Amanda.

David spojrział na nią nieufnie. Co jej chodzi po głowie?

- Nie spiesz się z ocenami, Amando. W końcu ten facet brał udział w napadzie, prawda?

- Owszem, brał, ale to nie znaczy, że przygotował plan napadu.

- To pionek - zgodziła się Stella, zapominając, co mówiła przed chwilą. Poklepała serdecznie Amandę po ramieniu. - Podoba mi się ta dziewczyna, Haines.

- O, na pewno. Amanda wie, jak rządzić. Musi ci się podobać, a także wiele mogłaby cię nauczyć.

- Ja też potrafię pokazać pazurki - naburmuszyła się Stella. - Gdybym nie siedziała za tym biurkiem, Denver mogłoby się wykrwawić na śmierć, bo wy, lekarze, jesteście tacy roztrzepani i chaotyczni. A właśnie, dyrektor chce z tobą rozmawiać, Haines.

Nie wróżyło to nic dobrego.

- Nie da rady, już wychodzę. Będę dopiero w poniedziałek..

- Bawcie się dobrze w Dniu Niepodległości.

David prowadził Amandę do wyjścia, szczęśliwy, że udało mu się odłożyć rozmowę z dyrektorem do poniedziałku. Wiedział, co usłyszy: postąpił nieprofesjonalnie, zbyt wcześnie wypisując pacjentkę ze szpitala. Doktor Loretta Spangler i jej skargi muszą poczekać.

Nie oznaczało to wcale, że spodziewał się spokojnego weekendu. Nie z Amandą pod jednym dachem.

- Jesteś dziwnie cicha - zauważył, kiedy szli przez parking do samochodu.

- Myślę. Próbowałam dodzwonić się do Tracy Meyer, ale odpowiedziała automatyczna sekretarka. Moglibyśmy do niej podjechać?

- Oczywiście.

David nie uważał się za najbardziej spostrzegawczego człowieka na świecie, ale nastroje Amandy potrafił odczytać z taką samą łatwością, z jaką rozpoznawał anginę. Coś w jej minie mówiło mu, że Amanda nie jest do końca szczerą.

- Czy jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć? - zapytał, zatrzymując się raptownie.

- Ktoś z banku maczał palce w napadzie - poinformowała go, otwierając drzwiczki samochodu.

- Skąd ta pewność?

- O niektórych rzeczach lepiej nie mówić.

Chwycił ją za nadgarstek i jednym błyskawicznym gestem odebrał kluczyki.

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, tylko powiedz. Przez moment patrzyła na niego w osłupieniu, a w jej błękitnych oczach pobawił się groźny błysk.

- Nie wierzę, że zabrałaś moje kluczyki.

- Mam już dość zgadywania.

- Rozumiem. Dlatego postanowiłaś się zrewanżować i zabrać mi kluczyki.

Usiłowała wyrwać mu je, ale David uniósł rękę wysoko ponad głowę.

- Mów.

- Nie.

- Do cholery, kobieto, ilu morderców trzeba na ciebie nasłać, żebyś poczuła się zagrożona? - David otworzył drzwiczki samochodu.

- W porządku, wynajmę ochroniarza - odrzekła chłodno Amanda. David miał wrażenie, że wszystko się w nim gotuje.

- Nikt nie obroni cię lepiej niż ja.

- Czyżby? A masz chociaż rewolwer?

- Nie potrzebuję go.

- Znasz karate?

- Nie, ale znam ciebie - odparł David.

Amanda zacisnęła dłonie i spojrzała na niego krzywo.

- Jak mam to rozumieć?

- Wiem, czego można się po tobie spodziewać. Wiem, kiedy jesteś zmęczona, wściekła, zadowolona. Pamiętam pewne przyjęcie, na którym zachowywałaś się jak udzielna księżna i zadzierałaś nosa, a tak naprawdę było ci przykro, bo cię zraniłem.

- Czyżby? Wydawało mi się, że w tamtych czasach podczas przyjęć niczego nie zauważałaś poza alkoholem.

- Ciebie zauważałem zawsze. Wiedziałem, kiedy próbujesz działać, choć wszystko wymyka się spod kontroli, albo kiedy mówisz „nie”, choć myślisz „tak”. I odwrotnie.

David położył dłoń na jej karku.

- Na przykład teraz, gdybym powiedział, że chcę cię pocałować, usłyszałbym stanowcze „nie”. - Poglądził ją po policzku. - Chociaż tego chcesz, bo nadal pamiętasz dotyk moich ust.

Oczy Amandy błyszczały, oddychała trochę szybciej niż zwykle. Nic nie mówiła, ale David wyczuwał jej ledwie zauważalne podniecenie. Jak bardzo pragnął wziąć ją teraz w ramiona, przygarnąć do siebie.

- Zaopiekuję się tobą, bo cię znam, Amando. Wiem, jak ustrzec cię przed samą sobą.

Odsunął się o krok.

- Możesz się nie wiem jak upierać, ale już się ode mnie nie uwolnisz. Nie pozbędziesz się mnie. Będę się tobą opiekował. Tobą i Laurel.

- Nie chcę uwalniać się od ciebie.

- A czego chcesz, Amando?

- Żebyś był moim przyjacielem. - Wsunęła lekko brodę. - I żebyś pomógł mi ustalić, co naprawdę stało się w banku.

Nie pozostawiła mu wielkiego wyboru. Jeśli chciał mieć pewność, że jest bezpieczna, cały czas musiał być przy niej. A ona postanowiła przeprowadzić prywatne dochodzenie.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem. Uniosła brwi.

- Mianowicie?

Pomachał kluczykami nad głową, jakby dla przypomnienia początku ich rozmowy.

- Żadnych sekretów. Będziesz mi mówiła o wszystkim.

- O wszystkim? - W oczach Amandy pojawiło się powątpiewanie; jeszcze nie do końca mu ufała. Wciąż musiała pamiętać, jak wiele razy złamał dane słowo, kiedy jeszcze byli razem.

Musiał bardzo ją zranić i nie był pewien, czy ta rana kiedykolwiek się zblizni. Jeśli nie, wtedy znowu będą musieli się rozstać, chociaż David doskonale wiedział, że nigdy nie zapomni o Amandzie. W minionych latach bezskutecznie próbował wyrzucić ją z pamięci. Spotykał się z innymi, licząc, że wreszcie znajdzie kogoś, kto zdoła zająć w jego sercu miejsce tej kobiety. Na próżno.

- Powiedz mi, skąd ta pewność, że w napad zamieszany był ktoś z banku?

- Dowiedziałam się od kogoś, że tak właśnie było.

- Od Metcalfa?

- Nie. Ten facet, ilekroć ze mną rozmawia, patrzy na mnie tak, jakby chciał mnie zakuć w kajdanki.

- A więc od kogo?

- Od Carrie. Widziałam się z nią dzisiaj w szpitalu. Była w peruce i fartuchu laborantki, miała nawet identyfikator. Wyglądała zupełnie jak ktoś z personelu Denver General.

- Carrie Lamb pojawiła się w szpitalu? - Trzeba było na to sporej odwagi, pomyślał. - Dzisiaj, kiedy siedzi tu cała policja z Denver?

- Po pierwsze, wasza ochrona jest do kitu. Po drugie, Carrie jak nikt potrafi zmieniać wygląd.

- Jestem pod wrażeniem.

- Ale nie to jest najważniejsze. Carrie powiedziała mi, że w napadzie maczał palce ktoś z banku, ponieważ bandyci mieli dokładne informacje na temat naszego systemu bezpieczeństwa. Prosiła, żebym jej zaufała, i tak też zrobiłam.

Nie podobało mu się to, co usłyszał. Jeśli Carrie była w przebraniu, nie mogła być zakładniczką, co oznaczało, że uciekła

razem z Dallasem, bandytą, który brał udział w napadzie. Dlaczego najlepszą przyjaciółką Amandy musi być akurat kobieta, która ukrywa się przed policją?

- Pomyślałaś o tym, że to sama Carrie mogła być wtyczką bandytów w banku?

- Dlaczego w takim razie ostrzegałaby mnie? Poza tym Carrie nie znała kodów, była tylko kasjerką. - Amanda odgarnęła włosy z czoła.

- Strasznie gorąco. Możemy już jechać?

David skinął głową.

- Wsiadaj. Ja poprowadzę.

- A co z twoim porsche?

- Żaden problem. - Kiedy podjechali do budki parkingowego, David wychylił się przez okno. - Tom, mogę cię prosić o przysługę?

Młody chłopak zbliżył się skwapliwie do samochodu.

- Chodzi o porsche? Będę mógł je poprowadzić? David podał mu kluczyki.

- Wiesz, gdzie mieszkam. Przyprowadź wóz wieczorem.

- Jasna sprawa!

Amanda pokiwała głową z dezaprobatą.

- Nie powinienes tego robić. Przecież on będzie jeździł po całym mieście, żeby nacieszyć się twoim autem.

David wzruszył ramionami i zasunął szybę.

- Może porsche też będzie miało z tego jakąś przyjemność, bo ze mną specjalnie sobie nie użyje.

Kiedy wjechali w Ósmą Aleję, David z opóźnieniem zrozumiał, co zrobił, godząc się pomagać Amandzie w jej prywatnym śledztwie: po prostu stracił rozum.

Gdy półtora roku temu po raz drugi pokazała mu drzwi, ślubował sobie, że nigdy już nie zbliży się do tej kobiety, tymczasem jak głupek zaryzykował, że Amanda znowu wystawi go do wiatru, gdy nie będzie jej już potrzebny. Chyba rzeczywiście zwariował.

A jednak dobrze mu było z nią.

- Pamiętaj, że jedziemy do Tracy Meyer. - Podała mu adres w okolicy Washington Park.

- Po co?

- Nie martw się, ta wizyta nie ma nic wspólnego z naszym dochodzeniem.

- No więc po co?

- Przypomniałam sobie coś, co zdarzyło się przed samym napadem. Miałam spotkanie z Tracy i powinnam była inaczej wtedy rozegrać pewne sprawy.

Dzięki klimatyzacji temperatura w samochodzie stała się wreszcie w miarę znośna.

- Mianowicie?

- Tracy chciała uzyskać dostęp do funduszu swojej pasierbicy, a ja jej to odradziłam. Tymczasem powinnam była zaproponować jej jakieś inne rozwiązanie, na przykład kredyt lub pożyczkę.

David spojrział w lusterko wsteczne. Zbyt późno ruszył spod świateł, ale perłowszary cadillac sedan był jeszcze bardziej opieszwały. Może zbyt opieszwały.

- Mogłabyś udzielić jej kredytu bez żadnych gwarancji?

- Tak. Jako prezes banku mogę podjąć taką decyzję. - Amanda westchnęła. - Chociaż w tej chwili nie czuję się za bardzo prezesem.

- A jak się czujesz?

- Nie jestem pewna. W szpitalu objęłam Jane Borelli. naszą główną kasjerkę. Prawie się popłakałyśmy, a sam wiesz, jak ja nie lubię czułości i sentymentów.

- Wiem.

David niespodziewanie zawrócił i znów jechali w kierunku szpitala. Cadillac wykonał ten sam manewr. Za przydymionymi szybami nie sposób było nikogo dojrzeć.

- Lecz dobrze, że tak się stało. Miałaś rację, gdy mówiłaś, że jestem zimna.

- Jak lód.

- Mogę o sobie myśleć jako o osobie chłodnej, chroniącej się pod mroźną powłoką, czemu nie. Śnieg, lód, zima, biel. Człowiek czuje się czysty.

David słuchał Amandy, równocześnie obserwując cadillaca.

- Może jednak zaczynam tajać.

- To dobrze, Amando.

- Nic wielkiego, po prostu ujawniam nie znane dotąd cechy, żadna radykalna przemiana. Ciągle jestem tą samą osobą.

- Nie ma nic złego w radykalnych przemianach.

- Nie wierzę w nie. Wszystkie decyzje podejmuję w oparciu o przekonanie, że ludzie się nie zmieniają.

- A jeśli się mylisz?

- To by oznaczało, że popełniłam wiele bardzo poważnych błędów. - Z których najpoważniejszym było zerwanie z Davidem. - Bardzo wiele błędów.

Zatopiona we własnych myślach, wtuliła się w fotel. Tak, chciała pomalować swój świat na biało i czarno, bez żadnych odcieni, tymczasem w ten świat zaczęła wdzierać się rzeczywistość ze swoim biegiem rzeczy, naznaczając strefy szarości rodząc zamęt myśli. I lęk, głębszy niż strach przed czyhającym gdzieś mordercą, niż obawa o własne życie. Czy człowiek może się zmienić? Czy David się zmienił?

Jego głos wyrwał ją z rozmyślań.

- Obejrzyj się do tyłu i powiedz, czy poznajesz ten samochód który jedzie za nami.

Odwróciła się natychmiast.

- Srebrny sedan z przydymionymi szybami? Nie, nie przypominam go sobie.

- Cały czas jedzie za nami, wręcz ostentacyjnie siedzi nam na ogonie.

Kolejny zabójca? Amanda mocniej zacisnęła pas, prawie ucieszona, że w obliczu namacalnego niebezpieczeństwa mogła oderwać się od dręczących ją wątpliwości.

- Jesteś pewien, że jedzie za nami?

- Tak.

- Spróbuj go zgubić.

- Ba, gdybyśmy jechali moim porsche, natychmiast bym tak zrobił, ale to tylko minivan. Ten wóz nie jest zaprojektowany do widowiskowych ucieczek.

Amanda obejrzała się ponownie. Czy rzeczywiście ktoś nastaje na jej życie? Tutaj, w podmiejskiej spokojnej okolicy, w atmosferze zbliżającego się świątecznego weekendu, na ocienionym potężnymi wiazami University Boulevard, pośród ludzi spieszących do domów, odbierających dzieci ze szkół lub jadących po zakupy do supermarketów, wydawało się to prawie niewyobrażalne.

- Szkoda, że nie mamy broni - westchnęła.

- Tylko nie broń. W szpitalu zbyt często mam do czynienia z przypadkowymi ranami postrzałowymi.

Nie chciała teraz z nim dyskutować o tym, czy obywatele powinni mieć prawo do posiadania broni, czy też nie.

- To zupełnie coś innego.

- Możliwe. - David ruszył spod świateł. - Podjedziemy na najbliższy posterunek policji. Zatrzymam się na wprost drzwi. Wskoczysz z samochodu i pędem do środka.

- A ty?

- Ja zrobię to samo. - Zerknął w lusterko wsteczne. - Zobacz, czy możesz odczytać jego numery rejestracyjne.

Amanda wychyliła się do tyłu między siedzeniami, usiłując coś dojrzeć.

- Nie widzę. Jakiś wóz jest między nami.

- Trudno. Zaraz dojeżdżamy do posterunku. Przyspieszę, żeby dać nam więcej czasu. Odepnij pas i przygotuj się.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Minivan z piskiem opon zahamował przed posterunkiem.

- Biegnij! - zawołał David.

Amanda, w sandałach i wąskiej spódnicy, wyskoczyła na chodnik i rzuciła się do wejścia, oczekując, że w każdej chwili usłyszy świst kuli.

- Pani Fielding, proszę poczekać!

Zatrzymała się w drzwiach posterunku. Pani Fielding? - pomyślała zaskoczona. Nie przypominało to świstu kuli. Głos należał do kobiety.

Obejrzała się. Cadillac zaparkował tuż przy minivanie. Przy drzwiczkach pasażera stała Elaine Montero z mikrofonem w dłoni.

- Pani Fielding! - zawołała ponownie. - Mogę zadać pani kilka pytań? Nie zrobię pani nic złego.

Amandę najpierw ogarnęła ulga, a potem autentyczne oburzenie. Jakim prawem to babsko śmie ich prześladować! Najwyraźniej Elaine Montero tyle miała skrupułów co karaluch, który nie próbuje się nawet chować, kiedy człowiek zapala światło.

Reportarka uśmiechnęła się i pomachała.

- Mogę mówić do pani Amanda? Tylko kilka pytań, bardzo proszę.

- To jest najzwyklejsze napastowanie ludzi, pani Montero. - David podszedł do dziennikarki.

- Taka jest moja praca, doktorze. Chcę jako pierwsza uzyskać wywiad od pani Fielding, a ona z uporem unika mediów.

Montero posłała Amandzie zawodowy uśmiech.

- Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać, Amando. Najwyraźniej Elaine uznała, że lepiej puścić w niepamięć poprzednie spotkanie z owiniętą szalem moherowym panią Higgenbottom.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Jesteś absolutnie nieuchwytna. Nikt nie wie, gdzie się ukryłaś.

Amanda oparła dłoń o drzwiczki minivana.

- I niech tak zostanie.

- Ostatniej nocy zostałam zaatakowana we własnym mieszkaniu przez uzbrojonego mężczyznę - ciągnęła Elaine.

- A pani skąd o tym wie?

- Zawiadomiłaś policję, a to wystarczyło, żeby się dowiedziała. Śledzę tę sprawę od początku, szczególnie interesuje mnie twoja osoba.

- Bez komentarzy.

- Zastanów się, Amando. - W głosie Elaine zabrzmiał twardy ton.

- I tak będziesz musiała wydać oświadczenia, a ja dam ci szansę obrony.

- Przed czym?

- Pojawiają się różne domysły i zarzuty.

Z cadillaca wysiadł towarzysz Elaine, otworzył bagażnik i wyjął lekką kamerę. Jeśli ją uruchomi, myślała Amanda, w następnych wiadomościach pojawi się albo moja twarz, albo moment ucieczki ze złośliwym komentarzem, że unikam mediów.

Zdecydowanym krokiem podeszła do dziennikarki i jej kamerzysty.

- Będzie pani miała moje oświadczenie, Montero.

- Nie musisz tego robić - wtrącił spokojnym tonem David. Jednak był zdenerwowany.

- Jeśli ludzie mnie oskarżają, powinnam stawić im czoło - odpowiedziała na tyle cicho, by mikrofon kamery tego nie wychwytał.

- W innym przypadku będą uważali, że coś ukrywam. Dlatego...

- Uważaj, ta Montero jest sprytna. Amanda uśmiechnęła się.

- Ja też.

Kiedy kamera została włączona, Elaine zrobiła krótkie wprowadzenie:

- Rozmawiamy z Amandą Fielding, prezesem Empire Bank, która została zatrzymana jako zakładniczka w czasie napadu na jej bank.

Amanda nie próbowała uśmiechać się do kamery, tylko mówiła spokojnym, poważnym tonem:

- Korzystając z okazji, chciałabym wyrazić współczucie tym, którzy zostali ranni w czasie napadu, szczególnie panom Harry'emu Hoffmanowi i panu Horstowi Nylandowi. Życzę im szybkiego powrotu do zdrowia. Dziękuję wszystkim pracownikom Empire Bank za odwagę i zdrowy rozsądek.

Tu włączyła się Elaine Montero:

- Mówi się o tym, że bandyci zdołali wyłączyć bankowy system bezpieczeństwa.

Skąd ona o tym wie?

- Ze względu na dobro śledztwa nie wolno mi wypowiadać się na ten temat.

- Jest pani jednak prezesem banku i chyba wie pani, jak działa ten system.

Amanda wdała się w szczegółowe opisy techniczne. Mówiła o typie taśm, rodzaju kamer, możliwościach aparatury nagrywającej i odtwarzającej. Długo porównywała różne systemy monitoringu, ich wady i zalety, po czym równie drobiazgowo opowiedziała o cichych alarmach. Wreszcie, widząc, że Elaine Montero patrzy na nią martwym wzrokiem, zapytała:

- Mam mówić dalej?

- Na Boga, nie - powstrzymała ją Elaine. - Co pani wiadomo o bandycie, który nadal pozostaje na wolności?

- Jestem pewna, że policja i agenci federalni dokładają wszelkich starań, by zatrzy...

- Co ma pani do powiedzenia na temat Carrie Lamb, kasjerki z pani banku, która jest z poszukiwanym przestępcą?

Amanda przeniosła wzrok z kamery na dziennikarkę.

- Pani Lamb to wzorowy pracownik. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

- Kiedy ją pani zatrudniała, wiedziała pani, że ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem?

Amanda miała wielką ochotę powiedzieć coś do słuchu agresywnej reporterce, pohamowała się jednak.

- Już drugi dzień Carrie Lamb przetrzymywana jest jako zakładniczka przez groźnego, uzbrojonego przestępcę. Trudno sobie wyobrazić, co musi przeżywać.

- Carrie Lamb jest podejrzana o... Amanda ponownie zwróciła się do kamery:

- Dopóki sama nie stałam się zakładniczką, czułam się bezpieczna jak każdy inny obywatel. Wydawało mi się, że mogę spokojnie chodzić po ulicach, a to nieprawda. Teraz zdaję sobie sprawę, w jakim zagrożeniu cały czas żyjemy i jak bardzo jesteśmy bezbronni. To wszystko, co mam do powiedzenia, pani Montero.

Amanda odwróciła się, wsiadła do minivana, zatrzasnęła drzwiczki i spojrzała na Davida.

- Jedźmy stąd jak najprędzej.

David cofnął samochód i wyjechał z parkingu.

- Całkiem nieźle sobie poradziłaś.

- W końcu jestem prawnikiem.

- Może nie powinnaś była odchodzić z zawodu.

- Kocham swoją pracę. - Amandzie cały czas nie dawały spokoju pytania Montero. - Jak myślisz, czy ludzie rzeczywiście podejrzewają, że ja i Carrie jesteśmy zamieszane w napad na bank?

- Nigdy nie przywiązywałem wielkiej wagi do plotek. Mało powiedziane. David nie tylko nie zwracał uwagi na plotki, ale w ogóle nie liczył się z opinią innych.

- Jeśli dobrze pamiętam, sam puszczałeś między ludzi pogłoski na własny temat, a potem obserwowałeś, jak szybko się będą rozprzestrzeniać.

- To mój zwyczaj, do tej pory go nie zarzuciłem. Amanda ciężko westchnęła.

- Powinniśmy chyba jechać do domu.

- Chciałaś się zobaczyć z Tracy.

- Nie dzisiaj.

Była emocjonalnie wyczerpana, nie stać jej było na kolejną konfrontację.

Stało się jednak inaczej.

Ledwie przekroczyła próg domu Davida, przywitało ją wołanie Vonnie:

- Amanda! Dzięki Bogu, że już wróciłaś. Twoja mama właśnie dzwoni.

Amanda zerknęła na zegarek, obliczając różnicę czasu. W Denver jest szósta, czyli siódma w Chicago, dawno zaczęła się pora koktajli. Lata temu nauczyła się, by wieczorem nie dzwonić do domu, bo ojciec o tej porze bywał już mocno niekontaktowy. Nic na to nie można było poradzić. A dzisiaj? No cóż, to przecież dzwoniła matka, która musiała oglądać wieczorne wiadomości i na pewno bardzo się zaniepokoiła.

Amanda wzięła od Vonnie słuchawkę telefonu bezprzewodowego i usiadła przy stole kuchennym.

- Cześć, mamo.

- Wreszcie cię złapałam. Okropnie się denerwujemy.

- Vonnie dzwoniła do was wczoraj? - Amanda dała niani całą listę osób, z którymi miała się skontaktować.

- Owszem, dzwoniła - przyznała matka. Kiedy była roztrzęsiona, zaczynała mówić ze sztucznym brytyjskim akcentem, mimo że urodziła się i wychowała w Stanach, na Środkowym Zachodzie. - Dzisiaj też telefonowała i podała mi wasz nowy numer telefonu, ale ja chciałam rozmawiać z tobą. Kochanie.

- Więc rozmawiasz.

- W wiadomościach mówili, że byłaś w szpitalu.

- Miałam lekkie wstrząśnienie mózgu. Nic poważnego.

- Mam przyjechać i pomóc ci w domu? - zaoferowała się matka.

- Nie - odparła Amanda pospiesznie. Obecność rodziców stanowiłaby tylko dodatkowy kłopot. - U mnie wszystko w porządku. Nie zwracajcie uwagi na to, co mówią w telewizji. Wiesz, że zawsze przesadzają.

- Co mam powiedzieć ludziom?

- Jakim ludziom?

- Kilkanaście osób dzwoniło i dopytywało się o ciebie. Naprawdę nie miałam pojęcia, że jesteś tak znana, Amando.

Shirley Fielding, osoba wychowana dość tradycyjnie, zawsze miała obsesję na temat powodzenia w towarzystwie i uważała, że jest ono dla kobiety ważniejsze niż wykształcenie, samodzielność i praca zawodowa. Niechętnie godziła się z wyborami swojej córki, chociaż to właśnie dzięki karierze zawodowej Amandy Shirley i Jack nadal mogli żyć na poziomie, do jakiego przywykli.

W pojęciu Shirley Amanda powinna dobrze wyjść za mąż. Na tyle dobrze i na tyle bogato, by jej mąż mógł utrzymać całą rodzinę Fieldingów.

- Powiedz ludziom, co tylko chcesz - zbyła matkę Amanda.

- Nie musisz być tak zgryźliwa, młoda damo. To chyba naturalne, że jestem zatroskana.

- Oczywiście.

Shirley do tej pory nie zapytała o Laurel. Kiedy Amanda zdecydowała się na samotne macierzyństwo, definitywnie zdradziła hołubiony przez matkę ideał kobiety. Shirley uznała, że jej córka straciła wszelką pozycję społeczną, i po prostu załamała się, czym zresztą Amanda szczególnie się nie przejęła. Nie zdecydowała się na dziecko po to, by sprawić przyjemność rodzicom.

- Droga Amando - Shirley mówiła tonem Królowej Matki - ten numer telefonu jest mi znajomy. Przeniosłaś się do Davida Hainesa, prawda? Czyżbyście ponownie się zaręczyli?

- David jest moim przyjacielem.

- Rozumiem, że z tym przystojnym Stefanem Phillipsem już skończyłaś.

- Z przystojnym Stefanem nigdy nic się nie zaczęło - wycedziła Amanda.

- Nie kręć, kochanie. Wiem, że byliście ze sobą znacznie bliżej, niż chciałabyś przyznać;

Amanda, zamiast na próżno dyskutować z matką, spróbowała skierować rozmowę na inne, bardziej konkretne tory.

- Mamo, pamiętasz może niejakiego Jaxa Schaffera?

- Owszem, pamiętam. Bardzo niezwykle imię. Przeszedł operację raka gardła i odtąd mówił niemal szeptem. Dość przystojny.

Matka Amandy była prawdopodobnie jedyną osobą w kraju, która nie słyszała o aresztowaniu Jaxa Schaffera i jego procesie w sądzie w Denver, gdzie sądzono również zamachowca z Oklahoma City.

- Czy był kiedyś u nas w domu?

- Nie sądzę. To raczej znajomy ojca, niż nasz wspólny. To by się zgadzało.

- Tata jest w domu?

- Jest, ale trochę niedysponowany.

- Chciałabym z nim porozmawiać, mamo.

- Zaczekaj.

Amanda przeszła z telefonem do pokoju frontowego. Von - nie gdzieś znikła, David bawił się z Laurel. Leżał rozciągnięty na dywanie, posadził sobie małą na brzuchu, zasłaniał ramieniem twarz i udawał, że go nie ma, po czym gwałtownie się pojawiał i robił miny, a Laurel zanosila się głośnym śmiechem. Było im dobrze ze sobą.

Miękkie światło letniego zmierzchu jeszcze dodawało uroku tej rodzinnej scenie. Całkowicie pochłonięty zabawą David wydawał się zadowolony, może nawet szczęśliwy.

Coraz bardziej nabierała pewności, że byłby oddanym ojcem, takim, na jakiego Laurel zasłużyła. Problem w tym, że David, gdyby wreszcie dowiedział się prawdy, być może nie potrafiłby wybaczyć Amandzie, że tak długo był oszukiwany. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby teraz to on ją zostawił, tak jak kiedyś ona jego.

Mogła tego wszystkiego uniknąć, gdyby była mądrzejsza i zaufała mu półtora roku temu, kiedy przekonywał ją, że się zmienił.

- Witaj, księżniczko.

Słyszając głos ojca w słuchawce, Amanda wróciła do kuchni.

- Cześć, tato. Chciałam ci powiedzieć, żebyś się o mnie nie martwił.

- Wiedziałem, że moja mała dziewczynka poradzi sobie z kilkoma bandytami. Spokojna głowa.

Jak na ironię, całkowicie nieodpowiedzialny ojciec Amandy zawsze w nią niezłomnie wierzył i marzył o wspaniałej przyszłości dla swojej córki.

- Masz rację, tato. Dam sobie radę.

- To tylko zabawa w złodziei i policjantów. Bang, bang. i już leżą martwi. - Zachichotał. - Chcesz, żebym tam przyjechał i pomógł ci, maleńka? Powiedz słowo, a tata złapie bandziorów. - Zawsze uwielbiał składać próżne obietnice - Przylecę do Kolorado i wychytam tych łotrów na łąso. Ajuuu! Tak to robicie na Dzikim Zachodzie, prawda?

- Jasne, tatusiu.

- Jak się ma mała Laurel? W samochodzie wożę jej zdjęcie, które mi przysłałaś.

Zapewne przykleił zdjęcie wnuczki tuż nad zainstalowaną przez brata Amandy specjalną blokadę, która uniemożliwiała uruchomienie silnika, jeśli kierowca był pod wpływem alkoholu.

- Jest śliczna, tato.

- Ty też byłaś śliczna, jak byłaś maleńka. To był najszczęśliwszy czas w moim życiu. - Przez chwilę jego głos brzmiał zupełnie trzeźwo. - Zawsze jest coś specjalnego między córką i ojcem.

- Wiem.

Amanda poczuła bolesne ukłucie. Nie wolno jej pozbawiać Laurel kontaktu z Davidem. To zbyt ważny związek, córka i ojciec.

- Matka mówi, że chciałaś rozmawiać o Jaksie.

- Co możesz mi o nim powiedzieć?

- To drań, Amando, ale tyle chyba sama wiesz. Widziałem w wiadomościach na kablówce, że podczas transportu udało mu się zbiec.

- Tak - przytaknęła Amanda.

- Mam nadzieję, że nie zadajesz się z takimi jak on.

- Nie, tato. Rozpoznałam go na zdjęciu w wiadomościach i muszę wiedzieć, czy był kiedyś blisko z naszą rodziną.

- Nie - powiedział ojciec. - Nigdy nie spotkałem człowieka z takimi pieniędzmi, jakie on miał. Uważał się za lepszego ode mnie, bo miał niesamowity jacht. To jeden z tych facetów, którzy wciąż muszą wszystkim udowodniać, że są od nich lepsi. Sukinkot.

Amanda знаła dalszy ciąg: utyskiwania na niesprawiedliwy los, na niepowodzenia, na świat, który sprzysiągł się przeciwko Jackowi Fieldingowi. Nie było sensu przeciągać tej rozmowy.

- Muszę już kończyć, tatku. Kocham cię.

- Cała moja księżniczka. I ja cię kocham.

Amanda przeszła do frontowego pokoju, gdzie Laurel, podtrzymywana przez Davida, usiłowała zrobić samodzielnie kilka kroków.

- Wystarczy pobyć chwilę z dzieckiem, a człowiek nabiera przekonania, że wszystko jest naprawdę w porządku na tym najlepszym ze światów - stwierdził sentencjonalnie, kiedy Amanda opadła z westchnieniem na fotel.

Laurel krzyknęła, zła, że David na moment oderwał od niej uwagę.

- W porządku, w porządku, i tak ciebie lubię najbardziej.

- Nie wiedziałam, że kochasz dzieci.

- Ja też nie, ale jakoś pod koniec studiów postanowiłem, że będę się specjalizował w pediatrii.

Doprowadził zataczającą się Laurel do matki. Amanda posadziła sobie małą na kolanach i mocno przytuliła.

- Głodna? - zapytał David.

- Umieram z głodu.

Jak na zawołanie w drzwiach pojawiła się Vonnie.

- Pora na kolację - oznajmiła. - Zrobiłam zakupy. Może być spaghetti albo sałatka.

- Daj spokój - uspokoił ją David. - Dzisiaj zjemy moje ulubione danie.

- Mianowicie?

- Pizzę.

Poszedł do kuchni zamówić pizzę, a Vonnie z poważną miną usiadła w fotelu i otworzyła swój notes.

- Wykonałam wszystkie telefony, jak prosiłaś, i mam dla ciebie mnóstwo wiadomości od różnych osób.

- Udało ci się skontaktować z Billem Chessmanem, przewodniczącym naszej rady nadzorczej?

- Bardzo miły facet. Powiedział, że masz dbać o siebie i odpoczywać. Jutro jest nadzwyczajne zebranie rady nadzorczej, ale nie musisz na nim być.

A jednak, w obliczu krążących po mieście plotek i podejrzeń, powinna się tam pojawić.

- Co jeszcze?

- Zostawiłam wiadomość na sekretarce Tracy Meyer. Powiedziałam, że martwisz się o nią, oraz że czujesz się już lepiej. - Vonnie zerknęła do notatek. - Właściwie to wszystkim zostawiłam podobną wiadomość. Dzwoniło też kilka osób i pytało, czy będziesz na przyjęciu w Country Club z okazji Czwartego Lipca. Frank Weathers dzwonił chyba z dziesięć razy. Wszystko mam zapisane, możesz sama przejrzeć. Będzie szybciej.

- Dziękuję, Vonnie. Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie. Kiedy Amanda poklepała nianię po rękę, dziewczyna uniosła zdumione spojrzenie.

- Nawet mi się to podobało. Zastanawiam się, czy po powrocie do college'u jako główny przedmiot nie wezmę biznesu.

- Świetny wybór. Na pewno byłabyś w tym dobra, potrzeba nam więcej kobiet na ważnych stanowiskach.

- Dzięki, Amando. - Vonnie się rozpromieniła. - Trzy razy rozmawiałam z agentem Hessem. Chyba mnie polubił.

- Miał dla mnie jakieś informacje?

- Prosił, żeby David do niego zadzwonił zaraz po powrocie do domu.

Ciekawe, pomyślała Amanda, Davidowi udało się nawiązać kontakt z FBI. To może się okazać przydatne podczas ich prywatnego dochodzenia.

- Przypomnij mu, żeby to zrobił.

David skontaktował się z Hessem znacznie później.

Amandzie zamykały się oczy ze zmęczenia, ale chciała obejrzeć wieczorne wiadomości. Na ekranie pojawiła się Elaine Montero na tle zdjęcia Empire Bank.

- Popatrz! - zawołała Vonnie - mówi o twoim napadzie.

- To nie jest mój napad.

Po chwili na ekranie pojawiło się zdjęcie Amandy. Elaine mówiła:

- Udało mi się przeprowadzić rozmowę z panią prezes Amandą Fielding. Oto co odpowiedziała na pytanie, czy w napad mogli być zamieszani pracownicy banku:

- Nie boję się. Nikt mnie nie ruszy.

Amanda zamruła oczami na widok nagrania z parkingu przed posterunkiem policji.

- Co? - Zerwała się na równe nogi. No tak, mogła się tego spodziewać. Elaine zrobiła sprytny montaż i teraz wyglądało na to, że Amanda zaaranżowała napad i bezczelnie chełpi się bezkarnością.

- Naprawdę tak powiedziałaś? - zainteresowała się Vonnie.

- A skądże. To są słowa wyjęte z kontekstu. Mówiłam o zakładnikach, o ich strachu.

W pokoju pojawił się David.

- Co się dzieje?

- Ta Montero zrobiła ze mnie kryminalistkę - denerwowała się Amanda. - Miałeś rację, Davidzie, nie powinnam była z nią rozmawiać.

Dopiero po chwili dostrzegła ponurą minę Davida. Co jeszcze, na Boga?

- Rozmawiałeś z agentem Hessem?

- Tak, właśnie skończyłem.

- Mówił coś o mnie? - koniecznie chciała wiedzieć Vonnie.

- Nie. - David zwrócił się do Amandy: - Sarge, bandyta, którego zatrzymali, zgodził się zeznawać.

- To dobrze, może wreszcie FBI rozwikła tę sprawę.

- Nie jestem pewien - powiedział David. - Ten człowiek wrabia ciebie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Amanda obudziła się następnego ranka o siódmej. Czuliła się wypoczęta i z radością stwierdziła, że nie boli ją głowa. Migrena wreszcie ustąpiła. W sypialni panował miły chłód, promienie słoneczne sączące się przez przymknięte okiennice zapowiadały ładny dzień. Pogodny nastrój natychmiast jednak prysł, gdy przypomniała sobie wieczorne wiadomości telewizyjne oraz informację przekazaną Davidowi przez Hessa. Moje życie jest jak „Titanic” po zderzeniu z górą lodową, pomyślała ponuro.

Ukryła twarz w poduszce i jęknęła. Dzięki Elaine Montero całe Denver było teraz przekonane, że pani prezes Fielding zorganizowała napad na własny bank, a FBI też już zdążyło wyrobić sobie opinię na podstawie zeznań Sarge'a.

W zaistniałej sytuacji tym bardziej powinna wziąć udział w dzisiejszym nadzwyczajnym zebraniu zarządu Empire Bank, oczyścić się z zarzutów i walczyć o zachowanie swojego stanowiska.

O drugiej była umówiona w banku z agentem Metcalfem. Oficjalnie miała szukać torebki, przede wszystkim jednak chciała obejrzeć nagrania z kamery, którą jakiś czas temu kazała zainstalować w swoim gabinecie. Jeśli ktoś włamał się do jej biurka, dowie się, kto to taki. Prawdopodobnie FBI znalazło już kamerę. Jeśli tak, niech jej powiedzą, co znaleźli na taśmie. Musi rozwiązać zagadkę napadu.

Wstała energicznie z łóżka, zajrzała do Laurel, wzięła prysznic, włożyła jedwabną suknię, złote kolczyki i złoty łańcuszek, po raz pierwszy od napadu zrobiła porządną makijaż i zeszła na dół wypić kawę, zanim Laurel się obudzi.

David, który krzątał się już w kuchni, spojrzał na Amandę zaspanym okiem.

- Ślicznie wyglądasz - mruknął. - Dokąd się wybierasz?

- Na spotkanie zarządu. Nalał sobie kawy i upił łyk.

- Dobra.

Amanda poszła w jego ślady.

- Wiesz, czego mi brakuje? - zagadnął David, obserwując, jak Amanda przygotowuje sobie napój. - Kawy amaretto. I po irlandzku.

- Na śniadanie?

- O każdej porze dnia. Cieszę się, że nie piję, ale czasami okropnie mnie korci.

Kiedy z góry dobiegł szczebiot Laurel, poderwali się równocześnie, ale to David przejął inicjatywę.

- Przyniosę małą, ty już jesteś ubrana do wyjścia.

- Potrafię zająć się Laurel, nie niszcząc sobie toalety. Tak jest każdego dnia przed pracą. - Amanda zaczęła przygotowywać butelkę dla Laurel.

- Musi być ci ciężko rozstawać się każdego ranka z małą.

- Czasami tak, ale dzięki temu tym bardziej sobie cenię spędzony z nią czas.

- Dlaczego zdecydowałaś się wychowywać ją samotnie?

- Kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, bardzo się ucieszyłam, co tam, po prostu oszalałam ze szczęścia. Cały świat pojaśniał. - Amanda zakręciła butelkę. - Chciałam mieć dziecko. Mam trzydzieści pięć lat, w tym wieku macierzyństwo to już dar.

- Ojciec Laurel zareagował podobnie jak ty?

Nie dała mu szansy, by przekonał się, jak to jest dowiedzieć się, że wkrótce zostanie ojcem. Pochłonięta sobą i swoim szczęściem, nie pomyślała o jego uczuciach.

Popełniła straszny błąd. Powinna była mu powiedzieć.

- Jeśli chodzi o ojca Laurel...

- Wiem - wszedł jej w słowo. - Vonnie mi powiedziała. Amanda odruchowo zamknęła oczy. Musiała skupić całą siłę swojej woli, by się opanować. Zaraz... Jak Vonnie mogła mu cokolwiek powiedzieć? Przecież ona nie ma pojęcia, kto jest ojcem Laurel.

- Byłem zawiedziony.

Tak strasznie żałowała, że nie powiedziała mu prawdy. Powinna bardziej mu ufać, dopuścić do siebie możliwość, że naprawdę się zmienił. Gdyby mogła cofnąć czas, postąpiłaby zupełnie inaczej, teraz było już jednak za późno.

- Nie wiesz nawet, jak bardzo mi przykro, Davidzie.

- To nie twoja wina. Nie można winić biologii.

- Chyba nie.

Stanął za nią i położył dłonie na jej ramionach.

- Wszystko skończyło się najlepiej, jak tylko mogło. Laurel jest cudowna. - David ściszył głos. - Szkoda, że to Stefan jest jej ojcem, nie ja.

Stefan? A więc uważał, że Laurel jest córką Stefana! Musi mu wszystko wyjaśnić, skończyć z tym absurdalnym qui pro quo. Nawet gdyby miała stracić Davida na zawsze, musi powiedzieć mu prawdę.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich tylko wybaczenie, ani śladu nienawiści. Przebłysk nadziei na wspólną przyszłość?

- Wierzysz, że można dać sobie szansę po raz drugi? - zapytała.

- Jasne. Nawet po raz trzeci.

Może jednak nie popełniła nieodwracalnego błędu, może będą mogli być razem. Musi mu tylko wszystko wyjaśnić...

Z góry doszedł pełen zniecierpliwienia krzyk Laurel, w tej samej chwili zadzwonił telefon. Okazja minęła, chyba zresztą nie była najlepsza, być może bowiem Amanda powinna dokładnie przemyśleć, jak przeprowadzić rozmowę z Davidem. Laurel rozkrzyczała się, telefon nadal dzwonił.

- Odbierz, ja pójdę do małej na górę. - Amanda cofnęła się ku drzwiom.

- Sekretarka jest włączona. Idę się ubrać.

- Przecież masz dzisiaj wolne. David przeciągnął się i ziewnął szeroko.

- Jadę z tobą.

- Ale...

- Robi się coraz bardziej niebezpiecznie. Potrzebujesz ochroniarza i ja nim będę, czy tego chcesz, czy nie.

Chciała.

Pojechali porsche Davida, które bez najmniejszego uszczerbku wieczorem odstawił chłopiec z parkingu. Musieli być przygotowani, gdyby ktoś znowu usiadł im na ogonie.

Kiedy wysiedli z samochodu pod Heiser Building, gdzie miało odbyć się zebranie, David uświadomił sobie, że tego lata ani razu nie był w śródmieściu. Kiedyś bywał tu niemal codziennie, w barach i na nie kończących się imprezach. Dawne czasy, za którymi wcale nie tęsknił.

- Starzeję się - stwierdził, wsiadając do windy.

- Mówisz o tych kilku siwych włosach na skroniach?

- O włosach? - W ogóle się nad tym nie zastanawiał, chociaż jego starszy zaledwie o cztery lata brat był niemal zupełnie siwy. - W każdym razie nie łysieję i chyba mi to nie grozi.

- Lubię siwiznę - powiedziała Amanda. - Wygląda tak dystygowanie.

- A mówiąc wprost, staro. - David spojrział na nią ciepło. - Natomiast ty zupełnie się nie starzejesz. Wyglądasz jeszcze piękniej niż kiedyś.

Przed salą zarządu spotkali przewodniczącego Billa Chessmana. David znał go z Country Club, gdzie Bill cieszył się opinią fanatycznego gracza w golfa. Panowie uścisnęli sobie ręce.

- Co tu robisz, Davidzie?

- Pilnuję Amandy.

- David opiekował się mną, kiedy trafiłam do Denver General - wyjaśniła Amanda.

- I wypuścił cię? Na pewno czujesz się na tyle dobrze, żeby wziąć udział w zebraniu?

- Tak myślę. Jeśli chcesz fachowej opinii, zapytaj Davida.

Bill Chessman, nasróżwszy gęste brwi, odwrócił się do Davida.

- Co powiesz?

- Amanda otrzymała cios w lewą skroń, miała wstrząśnienie mózgu. Kiedy przywieźli ją do szpitala, była w szoku. Jak jednak widzisz, szybko doszła do siebie.

- Dzięki Bogu - ucieszył się Chessman. - Słyszałem, że masz amnezję i nawet nie pamiętasz, jak się nazywasz.

- Kto ci to powiedział? - zainteresowała się Amanda.

- Chyba Frank Weathers, któż by inny. To on na bieżąco informował nas o wszystkim. Dobrze się stało, że chociaż on, jako jedyny z kierownictwa waszej filii, był akurat poza bankiem, kiedy doszło do napadu.

- Szczęśliwy traf - zauważyła sucho Amanda.

- Naprawdę dobrze się czujesz? Z tą amnezją to nieprawda? Zwykła plotka?

- Lekarz lepiej ci to wyjaśni. - Ponownie zdała się na Davida

- Amanda cierpi na utratę pamięci krótkotrwałej, to typowe przy wstrząśnieniu mózgu. Nie może sobie przypomnieć ostatnich zdarzeń. Być może nigdy już nie odtworzy okoliczności towarzyszących urazowi.

- I napadowi? - zapytał Chessman

- Tak jest.

- To nie ma znaczenia, ponieważ mamy zeznania pozostałych pracowników. A ty dbaj o siebie i wracaj prędko do zdrowia.

- Dziękuję.

- Zanim zaczniemy zebranie - Chessman zmienił temat - chciałbym zadać ci jeszcze jedno pytanie. Rozmawiałem z szefem Summit Security. Twierdzi, że ciche alarmy nie działały, a kamery zostały wyłączone przy użyciu naszych kodów komputerowych. Kto miał do nich dostęp?

- O ile wiem, tylko ty i ja. Trzymam swoje w zamkniętej szufladzie biurka.

- Zatem ktoś musiał włamać się do twojego albo do mojego biura. Niech to diabli! - Tu zwrócił się do Davida. - Mamy najnowocześniejsze zabezpieczenia, a o napadzie zawiadomił policję jakiś anonimowy rozmówca, który zadzwonił pod 911. Powiadam, niech to diabli.

Chessman i Amanda weszli do sali, natomiast David został w holu, zadowolony, że nie będzie musiał nudzić się na zebraniu.

Drzwi się otworzyły o dwunastej i pierwszy wyszedł Frank Weathers. Był spocony i czerwony na twarzy, wyraźnie pod wpływem stresu.

- Dzień dobry, doktorze. Zechce pan przekazać Amandzie ode mnie wiadomość: proszę jej powiedzieć, że ma wrogów w zarządzie.

- Pan do nich należy?

- Kto wie. Gdyby to zebranie dłużej potrwało... - Weathers nerwowym ruchem rozluźnił krawat.

Kiedy pojawiła się Amanda, David pociągnął ją natychmiast za sobą, tłumacząc pozostałym członkom zarządu ten pośpiech pilnym spotkaniem.

- Dzięki - mruknęła w windzie. - Wyjść szybko z zebrania, to dobrze je zakończyć.

Po krótkiej naradzie ustalili, że zjedzą lunch w restauracji w centrum handlowym na Szesnastej Ulicy.

- Opowiedz, jak było - zażądał David, kiedy siedzieli już w klimatyzowanej sali.

- Elaine Montero musi zginąć - oznajmiła Amanda z przekonaniem. - Wszyscy słyszeli moją wypowiedź we wczorajszych wiadomościach. Tłumaczyłam, wyjaśniałam, ale i tak wyszłam na idiotkę, bo zgodziłam się z nią rozmawiać. Ależ jestem głupia!

- To właściwie drobiazg, kolejna manipulacja mediów. Codziennie zdarzają się podobne. Powiedzieli coś istotnego?

- Nie wiem, skąd ci ludzie czerpią informacje, ale wiedzieli o zeznaniu Sarge'a. Twierdzi, że to ja byłam ich kontaktem w banku i umożliwiłam ich człowiekowi, przebranemu za technika z Summit Security, wyłączenie systemu bezpieczeństwa. - Uśmiechnęła się cierpko. - Ten człowiek musiał być rzeczywiście fachowcem, bo oszukał wszystkich: mnie, strażników, ludzi z Summit, nawet Franka Weathersa, który go wpuścił pod moją nieobecność.

- Frank to mały, szczwany lis.

- Wie mnóstwo o Carrie. Musiał myszkować w moim biurze, tylko tak mógł zdobyć informacje.

Pojawiła się kelnerka i David z zadowoleniem słuchał, jak Amanda zamawia obfity posiłek. Potrzebowała teraz sił i powinna dobrze się odżywiać.

- Możesz tego dowieść?

- Dlatego tak zależało mi na spotkaniu z Metcalfem. Niedawno kazałam zainstalować w moim gabinecie ukrytą kamerę, która zaczyna pracować, kiedy ktoś przekręca klucz w zamku szuflady z kodami.

- Skąd ten pomysł, żeby zainstalować kamerę?

- Podjęłam decyzję, gdy pewnego razu po powrocie z lunchu zastałam szufladę otwartą. Możliwe, że sama zapomniałam ją zamknąć.

- Kiedy to było?

Amanda zastanawiała się przez chwilę.

- Dwa tygodnie temu, w piątek. Pamiętam, tego dnia jadłam lunch ze Stefanem i rozmawialiśmy o jego sobotnim wyjeździe na skałki.

Stefan... David wolałby nie słyszeć tego imienia.

- Mam dobrą wiadomość - podjęła Amanda, kiedy kelnerka przyniosła zamówione dania. - Oglądałam w czasie zebrania zdjęcia wewnątrz banku i przypomniałam sobie szczegóły spotkania z Tracy i Carrie. Pamięć zaczyna mi wracać, Davidzie.

- Opowiedz coś o tym.

- Rewolwer. Tracy przechowuje w skrzynce depozytowej rewolwer po swoim zmarłym mężu. Był naładowany, dopiero Carrie wyjęła naboje i położyła je na stole.

- Mówiłaś o tym wcześniej, opowiadałaś, że wydawały dźwięk, jak kapiące krople wody.

- Wiem.

- Przypomniało ci się coś jeszcze o Tracy? Zastanawiała się przez chwilę, nagle zasłoniła usta dłonią.

- O Boże!

- Co się stało.

- Właśnie coś zobaczyłam. Leżę na podłodze w pobliżu kas, Tracy mnie trzyma, zajmuje się mną. Byłam taka okropna w czasie spotkania, a ona zachowała się jak anioł. Naprawdę powinnam ją przeprosić. Chciała tylko podjąć pieniądze z funduszu małej, żeby móc zostać z nią w domu. Odradziłam jej takie rozwiązanie ze względu na konsekwencje prawne, ale nie miałam racji.

- Coś ty powiedziała?

- Nie miałam racji.

- Chyba pierwszy raz słyszę, jak przyznajesz się do błędu. W dodatku chcesz przeprosić Tracy.

- Chciałabym jej jakoś pomóc.

- Amando, skarbie, być może nie bez powodu dostałaś w głowę. Może stoi za tym jakaś kosmiczna siła, wszechmocna i wszechwiedząca, ale ty naprawdę się zmieniłaś.

- Ty też się zmieniłeś. Wróciłeś na medycynę, jesteś lekarzem, spełniłeś swoje marzenie.

- Oboje się zmieniliśmy, ale wciąż jesteśmy tacy sami.

- Co masz na myśli?

David wstał, usiadł na kanapce obok Amandy i ujął jej dłonie.

- Czujemy to samo, co czuliśmy przed laty, kiedy byliśmy zaręczeni. Pamiętasz, jak nam dobrze było ze sobą?

- Pamiętam - szepnęła.

O drugiej pojawili się w Empire Bank. W drzwiach przywitał ich uzbrojony strażnik z Summit Security, młody i muskularny niczym komandos.

- W czym mogę pomóc? - zapytał.

- Jesteśmy umówieni z Metcalfem i Hessem z FBI - powiedział David.

- A tak, wiem. Metcalf jest w środku. Amanda zerknęła do wnętrza przez szklane drzwi.

- Dlaczego tak ciemno? Prąd wyłączony?

- Tak jest.
- Ilu strażników z Summit Security pilnuje budynku?
- Ja i jeszcze jeden.

Strażnik uniósł żółtą policyjną taśmę zagradzającą wejście, otworzył drzwi i zawołał:

- Agencie Metcalf, ktoś do pana!

Po chwili pojawił się Metcalf. Na widok Amandy i Davida machnął wielką latarką, dając im znak, by weszli do środka.

- Proszę niczego nie dotykać bez mojej zgody. Skończyliśmy już co prawda zabezpieczanie śladów, ale ciągle jest to miejsce przestępstwa.

Przez mroczną, duszną, noszącą jeszcze ślady napadu salę główną przeszli do znajdującego się w głębi biura Amandy. Metcalf otworzył drzwi opatrzone mosiężną tabliczką „Amanda Fielding. Prezes”. Tutaj, w przeciwieństwie do hali głównej, poważnie zniszczonej w czasie ataku brygady antyterrorystycznej, panował względny ład, jeśli nie liczyć rozrzuconych na biurku papierów i przewróconego krzesła. Przez narożne, wychodzące na zachód i północ okno, wpadało dzienne światło.

- Zwykle tam chowam torebkę. - Amanda wskazała szafę w kącie gabinetu. - Mogę zajrzeć?

- Nie musi się pani fatygować. - Metcalf nachylił się i wyjął torebkę z półki pod blatem biurka. - To ta?

- Tak.

- Proszę sprawdzić, czy niczego nie brakuje. Otworzyła torebkę, w której jak zwykle nazbierało się mnóstwo potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy: szminka, puderniczka, przybornik do paznokci, jakaś recepta, serwetka z kawiarni. W przedniej kieszeni był telefon komórkowy i pager.

Po chwili znalazła portfel z kartami kredytowymi i nietkniętą gotówką. Książeczka czekowa też była na swoim miejscu.

Wsunęła rękę na samo dno.

- Oto i klucze.

- Ciekawe. Zatem nocny napastnik, który wszedł do pani mieszkania, ich nie ukradł.

- Na to wygląda.
- Kto jeszcze ma klucze?

- Tylko ja i niania. - Amanda usiłowała się skupić, ale nie mogła jasno myśleć. Była prawie pewna, że niedoszły morderca jednak ukradł klucze. - Mam jeszcze zapasowy komplet w mieszkaniu, ale jest na swoim miejscu.

- Jest pani pewna?

- Absolutnie. - Pokręciła głową. - Nie rozumiem, skąd ten człowiek miał klucze?

- To żadna filozofia - powiedział David. - Ktoś, kto miał dostęp do twojej torebki, mógł wziąć odcisk i zanieść do ślusarza.

- W takim razie musiał być to ktoś z moich znajomych albo pracownik banku. Ta osoba dorobiła klucze i dała intruzowi, który wszedł nocą do mieszkania. Agencie Metcalf, kim jest ten człowiek, który dostał się do mojego mieszkania?

- To nie pani sprawa, pani Fielding.

- Jak najbardziej moja. Ten człowiek chciał mnie zabić. Albo mi pan powie, albo pójdę na policję i tam będę rozmawiała. Byłam adwokatem i wiem jak...

- To kryminalista notowany w kartotekach policyjnych. Ktoś opłacił mu dość kosztownego adwokata. Kończmy te poszukiwania, bo się ugotujemy bez klimatyzacji. Chyba że jest jeszcze coś, co chciałaby pani sprawdzić - powiedział Metcalf.

- Owszem, kamerę zainstalowaną w moim gabinecie. Chciałabym zobaczyć nagranie.

- Znaleźliśmy tę pani kamerę - powiedział Metcalf z przekąsem.

- Obejrzeliście taśmę? Znaleźliście coś na niej?

- Pani Fielding, pozwoli pani, że coś wyjaśnię. To jest dochodzenie FBI i to my zbieramy dowody, natomiast pani rola ogranicza się wyłącznie do tego, by nam nie przeszkadzać. Bo na pomoc nie liczę.

- Rozumiem.

- Pozwoliłem pani tu przyjść, bo miałem w tym swój powód. Proszę się rozejrzeć. Ten bank jest zupełnie zdewastowany, wszystko poniszczone, kompletny chaos, a ciężko ranny człowiek walczy w szpitalu o życie. To naprawdę nie jest zabawa w złodziei i detektywów.

- Nigdy tak nie myślałam.

- Nie powiedziała nam pani, że Carrie Lamb to w rzeczywistości Carrie Leigh, również nie wspomniała pani ani słowem o kamerze w

gabinecie. - Metcalf otarł chusteczką spocone czoło. - Pragnę wierzyć, że cierpi pani na utratę pamięci, ale chcę też, aby dzieliła się pani z nami wszystkim, co zdołała zapamiętać.

- Postaram się.

- Bardzo panią do tego namawiam, dla pani dobra. Mamy obciążające panią zeznania, a swoim zachowaniem wzbudza pani dodatkowe podejrzenia. Jeśli znowu będzie pani próbowała coś przede mną ukrywać, aresztuję panią. Czy to jasne?

- Tak jest, sir - przytaknęła Amanda.

Metcalf miał rację. Gdzieś w jej pamięci musiał tkwić klucz do rozwiązania zagadki, jakiś bardzo ważny szczegół, którego nie potrafiła dotąd przywołać, a na tyle ważny, że ktoś postanowił ją zabić.

Musi sobie wszystko przypomnieć. Póki się to nie stanie, będzie osobą zarówno podejrzaną, jak i zagrożoną.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy wyszła z mrocznego banku, słońce oślepiło ją z całą siłą. Gwałtownie zamruwała, nie mogąc znieść blasku. Znowu nic, żadnego tropu. Po prostu ślepa uliczka.

Czy taśma w gabinecie coś zarejestrowała? Nigdy się tego nie dowie.

Agent Metcalf oczywiście nie zdradzi jej swoich cennych informacji. Miała szczęście, że w ogóle wpuścił ją do banku i pozwolił wziąć torebkę.

- Przejdźmy się, Davidzie. Muszę przemyśleć kilka spraw - zaproponowała.

- Dokąd chciałabyś pójść?

- Nad Cherry Creek.

Amanda po wyjściu z pracy często biegała brzegiem rzeki, bo jej mieszkanie od banku dzieliły zaledwie niecałe dwa kilometry.

Jak chętnie pobiegłaby tam teraz, zamknęła za sobą drzwi, uwolniła się od problemów, podejrzeń i wątpliwości.

Zeszli ze ścieżki, ustępując drogi jakiemuś rowerzyście, potem kilku biegaczom.

- Plan, muszę ułożyć sobie plan działania - powiedziała Amanda.

- A może posłuchałabyś rady Metcalfa i pozwoliła im wykonywać swoją robotę.

- A jeśli nic nie znajdą?

- Może głupek ze mnie, ale uważam, że policja i FBI lepiej sobie jednak poradzą niż samozwańczy detektyw Amanda Fielding.

David miał rację, policja dysponowała ludźmi, bazami danych, laboratoriami. A jednak dochodzenie nie posuwało się ani o krok do przodu.

- Jakoś nie wierzę w ich możliwości. Do tej pory nie udało się znaleźć Jaxa Schaffera, nie wpadli na trop Carrie, nie zatrzymali tego bandyty, któremu udało się uciec, nie potrafili też ochronić Temple'a. Nie mają żadnej hipotezy ani żadnego świadka.

- Oprócz ciebie. Zamach na twoje życie oznacza, że coś wiesz. Coś ważnego.

- Tak, wiem, ale nie mogę sobie przypomnieć. - Amanda zatrzymała się na chwilę. - Nie mogę znieść tego poczucia bezradności. Co będzie, jeśli stracę pracę, Davidzie?

- Znajdziesz sobie inną. Pokręciła głową.

- Nigdzie nie znajdę równie dobrej, jak ta. Z czego utrzymam Laurel? Jak będę pomagać rodzicom? Czuję, że cała moja przyszłość się wali.

- W życiu na nic nie mamy gwarancji.

- Chyba że mamy pieniądze. Wychowałam się w otoczeniu, gdzie każdy miał więcej od nas. Nie umieraliśmy z głodu, pozostało nam tak zwane nazwisko, ale byliśmy bankrutami. Moje przyjaciółki szukały pracy, która miała przynieść im prestiż albo satysfakcję, natomiast mnie interesowało, ile zarobię. Nie mogę stracić tego stanowiska.

- To jeszcze nie koniec świata.

- Dla mnie to koniec mojego świata.

- Najwyżej przejściowy kłopot, ale jeszcze nie tragedia.

- David ujął dłoń Amandy i ucałował jej wnętrze, a potem pogładził strapioną przyjaciółkę po policzku. - Jakoś sobie poradzimy.

- Tak - westchnęła cicho.

Z uśmiechem Davida cały świat, przed chwilą jeszcze tak ponury, pojaśniał.

- Będę przy tobie. W tej chwili najważniejsze, żeby wróciła ci pamięć.

Trzymając się za ręce, przez długą chwilę szli w milczeniu. Amanda stopniowo uwolniła się od czarnych myśli, cieszyła się obecnością Davida, słońcem, lekką bryzą. Znowu czuła, że żyje.

- Tak jak to widzę - odezwał się David - na twoją niekorzyść świadczą trzy rzeczy. Po pierwsze zatrudniłaś Carrie, chociaż wiedziałaś, że posługuje się fałszywym numerem ubezpieczeniowym, po drugie miałaś dostęp do zastrzeżonych informacji dotyczących systemu bezpieczeństwa, a po trzecie musisz wiedzieć coś istotnego, skoro ten facet próbował cię zabić.

- Zacznijmy od punktu trzeciego. Z tego, co powiedział Metcalf, wynika, że to przebiegły zawodowy zabójca i...

- Nie taki znowu przebiegły - przerwał Amandzie David. - skoro został pokonany przez skromnego lekarza.

- Przez superdoktora o żelaznej pięści. - Amanda uśmiechnęła się szeroko i zaraz zasepiła na powrót. - Jak się dowiedzieć, kto go wynajął?

- Jeśli sam nie powie, w żaden sposób tego nie odkryjemy.

- Może zajmijmy się więc sprawą kluczy. Byłam zawiedziona, kiedy znalazłam je w torebce. Sądziłam, że bandyci je ukradli, korzystając z zamieszania w banku.

- Nie, to byłoby mało prawdopodobne. Najpewniej na długo przed napadem ktoś zrobił z nich odcisk. Kto miał dostęp do twojej torebki?

- Każdy, kto był w moim mieszkaniu, oraz pracownicy banku.

Ustąpili kolejnemu rowerzyście.

- Sama mi mówiłaś, Amando, że w napad zamieszany jest ktoś z banku.

Niezbyt przyjemnie było myśleć, że któryś z zaufanych pracowników mógł wślizgnąć się do jej gabinetu i zrobić odciski kluczy.

- Po co były im moje klucze?

- Jeśli planowali napad, potrzebowali kodów.

- Ale ja nie trzymam ich w domu, tylko w biurku w gabinecie.

- A gdzie trzymasz klucz do biurka?

- W torebce... no tak, masz rację, Davidzie. Zrobili odciski kluczy i dostali się do biurka. Musimy tylko się dowiedzieć, kto to był.

- Stawiałbym na małego liska, Franka Weathersa. Ogromnie zależy mu na tym, żeby zająć twój fotel.

Amandzie trudno było sobie wyobrazić tego człowieczka, jak planuje napad. Frank miał duszę buchaltera, jeśli buchalterzy w ogóle posiadają duszę, i za grosz wyobraźni. Bał się własnego cienia i raczej nie podjąłby takiego ryzyka.

- Nie, to tchórz. Frank z bronią? Daj spokój:

- Plan nie wyszedł od niego. On miał tylko zdobyć potrzebne informacje: kody komputerowe wyłączające system i numery telefonów.

- Do których tylko ja miałam dostęp?

- Właśnie. A że tylko ty miałaś do nich dostęp, podejrzania automatycznie musiały skierować się w twoją stronę. To była dodatkowa korzyść dla naszego drogiego Franka.

- Owszem, Frank z rozkoszą wpędziłby mnie w kłopoty - przyznała Amanda.

- Załóżmy, że jest na naszej liście podejrzanym numer jeden.

- Powiedzmy.

Wreszcie zaczęli coś ustalać.

Przez chwilę szli w milczeniu. Amanda myślała o innych pracownikach banku, ich twarze przesuwały się jej przed oczami niczym zdjęcia w albumie. Widywała tych ludzi pięć dni w tygodniu, rozmawiała z nimi, wydawała polecenia, wysłuchiwała raportów, ale na dobrą sprawę nic o nich nie wiedziała. Byli dla niej zupełnie obcy.

Tylko kilka osób mogła zaliczyć do przyjaciół. Poprzedniego dnia w pokoju szpitalnym Harry'ego Hoffmana poczuła, jak bardzo bliska jest jej Jane Borelli.

- Co z Harrym Hoffmanem? - zapytał David.

- Z Harrym? - Amanda lubiła go i szanowała. Wolałaby nie umieszczać go na liście podejrzanych. - Nie, to nie ma sensu. Jeżeli Harry wszedł w układ z bandytami, dlaczego go poturbowali?

- Żeby nie można go było uznać za przestępcę.

Z logicznego punktu widzenia Harry rzeczywiście był idealnym podejrzany. Znał doskonale system bezpieczeństwa oraz miał łatwy dostęp do gabinetu Amandy, a więc do kluczy i kodów.

- Harry będzie naszym podejrzany numer dwa - powiedział David. - Był w szpitalu, kiedy zginął Tempie, i mógł swobodnie chodzić po korytarzach.

- Frank Weathers też wtedy tam był, a także Stefan i Carrie - dodała Amanda z rezygnacją. - No cóż, Carrie też tam była.

- Nie podoba mi się to, co powiem, Amando, ale wygląda na to, że twoja przyjaciółka jest w zмовie z Dallasem.

- Nie mogła zabić Temple'a. Carrie nie jest morderczynią.

Oddała się ponurym rozmyślaniom. Chciała być lojalna wobec przyjaciółki, ale musiała spojrzeć w oczy faktom. Carrie dobrowolnie uciekła z jednym z bandytów i prawdopodobnie nadal ukrywała się razem z nim, więc być może znała go wcześniej.

Mimo woli mogła przekazać mu ważne informacje.

- O Boże - szepnęła nagle Amanda. - Carrie wie o tobie.

- Co masz na myśli?

- Wie o nas, Davidzie. Wie, że byliśmy zaręczeni. Jeśli powie o tym bandytom, będą mnie szukać u ciebie w domu.

Zrobiło jej się zimno na tę myśl. Vonnie i Laurel, same w domu Davida, były zupełnie bezbronne.

- Dzwoń do domu - polecił David. - Mam co prawda system najnowszej generacji, ale skoro ci faceci poradzili tobie z

zabezpieczeniami w banku, tym bardziej poradzą sobie z moim alarmem. Dzwon natychmiast!

Po trzech sygnałach odezwała się sekretarka.

- Vonnie, tu Amanda. Wiem, że jesteś w domu, więc odbierz. - Czekala w napięciu, z każdą sekundą coraz bardziej niespokojna, ale niania nie podnosiła słuchawki. - Vonnie, odbierz!

Drgnęła nerwowo, kiedy David położył dłoń na jej ramieniu.

- Vonnie, odbierz, proszę - powtarzała błagalnie.

- Nie ma jej - skwitował David.

Amanda ścisnęła tak mocno aparat, że palce jej zbieleły.

- Nie panikuj - uspokajał ją David. - Może Vonnie pojechała po zakupy. Mówiła ci, co zamierza robić dzisiaj rano?

- Tak, może pojechała do sklepu. - Amanda uchwyciła się tej nadziei. - Miała kupić nowy zapas pieluszek jednorazowych.

- Wracamy do samochodu i jedziemy do domu - zdecydował David.

Ruszyli szybkim krokiem, a po chwili już biegli, potracając po drodze przechodniów. Amandzie dudniło w uszach, serce omal nie eksplodowało w piersi.

Już na ulicy David musiał chwycić ją za rękę, aby nie przebiegła przez trzypasmową jezdnię, nie zwracając uwagi na pędzące samochody.

Nie myślała o sobie, bo teraz ważna była tylko Laurel i grożące jej niebezpieczeństwo.

- Powinniśmy zawiadomić policję - powiedział David, kiedy siedzieli już w samochodzie.

- Nie - zaproponowała odruchowo Amanda. - W czasie napadu to właśnie policja, z ich brygadą antyterrorystyczną, wszystko schrzaniła.

Nagle sobie przypomniała. Błyski kogutów na dachach wozów policyjnych. Bandyti stracili głowę i jeden z klientów, siwowłose pan o nazwisku Nyland, został ciężko postrzelony. Amanda słyszała wracający echem odgłos kanonady z automatycznego karabinka. Widziała krew. Szkarłat. Kolor strachu.

- Ile czasu zajmie nam jazda stąd do domu? - zapytała, wracając do rzeczywistości.

- Dwadzieścia pięć minut. Dwadzieścia, jeśli będziemy mieli zielone światła.

Zerknęła na zegarek. Szesnasta osiemnaście. O szesnastej trzydzięci osiem powinni być na miejscu.

- Spróbuj zadzwonić jeszcze raz.

David manewrował wprawnie między samochodami, zmieniając pasy, a Amanda ponownie wystukiwała jego domowy numer. Vonnie w dalszym ciągu nie podnosiła słuchawki.

- Nic z tego.

- Spokojnie, Amando. Wszystko będzie dobrze.

Oby miał rację. Siedziała bez ruchu, wpatrzona prosto przed siebie, jakby w ten sposób chciała przyspieszyć jazdę. Jeszcze dziesięć minut. Pięć.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział David. Amanda odliczała sekundy. Ostatni zakręt i wjechali w ulicę, przy której stał dom Davida. Przed domem parkował minivan, ale nie należał on do Amandy, bo swój wprowadziła do garażu.

Ten miał zainstalowaną na dachu aparaturę elektroniczną, wdać też było logo stacji telewizyjnej. O maskę stała oparta Elaine Montero.

Amanda poczuła, jak opada z niej napięcie. Pod okiem kamer telewizyjnych nie mogło stać się nic złego. Elaine mimo woli odegrała rolę ochroniarza.

- Dziękuję. - Amanda wyskoczyła z samochodu i przypadła do Elaine z taką gwałtownością, że zaskoczona reporterka cofnęła się o krok.

- Za co mi dziękujesz?

- Nigdy się nie dowiesz.

Ledwie David otworzył drzwi frontowe, usłyszała radosny śmiech. W salonie Vonnie, wyciągnięta na sofie, oglądała telewizję, a obok niej, w chodziku, podskakiwała wesoło Laurel.

Amanda chwyciła małą w ramiona i zaczęła obsypywać całusami.

- Kocham cię, skarbie! Jesteś całym moim życiem. Laurel zagruchała w odpowiedzi.

- Co się dzieje? - zainteresowała się Vonnie, mierzając zdziwionym wzrokiem Amandę i Davida. - Wyglądacie, jakby śmierć was gonila.

- Dlaczego nie podnosiłaś słuchawki, kiedy dzwoniłam? - natarła na nią Amanda.

- Musiałam wyłączyć głośnik sekretarki i ściszyć dzwonek telefonu, bo ta Montero bez przerwy dzwoniła, a ja nie zamierzałam z nią rozmawiać.

- Dobrze zrobiłaś - pochwalił David, podszedł do Amandy, objął ją oraz Laurel. Stali tak przez chwilę w uścisku, niczym prawdziwa rodzina.

Amanda zajęła się karmieniem małej, a David w swoim gabinecie odsłuchiwał nagrane na sekretarce wiadomości. Rano było kilka zwykłych o tej porze telefonów od różnych akwizytorów, a potem zadzwoniła matka Amandy, płaczącym głosem tłumacząc się, że dała numer Davida jakiejś dziennikarce z Denver. To wyjaśniało, w jaki sposób Montero trafiła na trop Amandy.

Frank Weathers zostawił informację, dotyczącą porządkowania banku po akcji brygady antyterrorystycznej. David czuł antypatię do tego człowieka i nie ufał mu za grosz, nawet jeśli Amanda uważała, że Frank nie jest zdolny do podjęcia jakiegokolwiek ryzyka.

Kolejne trzy nagrania pozostały głuche, nikt się nie odezwał. Ciekawe...

Zbyt wiele osób wiedziało, dokąd przeniosła się Amanda, dom Davida przestał być bezpiecznym schronieniem.

Następnie odsłuchiwał sześć nagrań Elaine Montero oraz bezskuteczne próby Amandy przywołania Vonnie do telefonu.

Wyłączył sekretarkę, w chwili gdy do pokoju weszła Amanda.

- Są jakieś wiadomości? - zapytała, siadając naprzeciwko Davida po drugiej stronie biurka.

- Frank Weathers informuje cię, że jutro zaczynają się porządki w banku, dzwoniła też twoja matka, skarżyła się na Elaine Montero.

Amanda ściągnęła brwi.

- Montero dzwoniła do mojej matki? Nie wiem, której z nich bardziej żałować.

- Nie możemy zostać tu dłużej, Amando. Zrobiło się niebezpiecznie.

- Myślałam o tym - przyznała zmęczonym głosem. - Dzwoniłam do Stefana z pytaniem, czy jego chata w górach stoi teraz pusta. Nie było go, ale zostawiłam wiadomość.

- Podejrzany numer cztery.

- Słucham? - zdziwiła się Amanda.

- Pierwsza trójka to Frank, Harry i Carrie, a Stefan jest naszym czwartym podejrzanym.

- Ależ on nie pracuje w banku.

- Utrzymywał z tobą kontakt, więc mógł zdobyć potrzebne informacje, miał też łatwy dostęp do kluczy - wyliczał David, obserwując, jak Amanda zareaguje. Czy zwycięży lojalność wobec ojca Laurel, czy chęć dotarcia do prawdy?

Zacisnęła usta, ale skinęła głową.

- Stefan jest podejrzanym numer cztery.

- Jeśli to on, to paskudnie cię wykorzystał, Amando.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło.

- Mógł wynająć płatnego mordercę, żeby cię zabił.

- Powiedziałaś niedawno, że motywem zbrodni są pieniądze albo seks. W przypadku Stefana nie chodzi o seks, on kocha tylko pieniądze. - Mówiła spokojnym, opanowanym głosem. - Znamy się od zawsze, ale nie byłabym zaskoczona, gdyby się okazało, że za pełną kabzę przehandlował naszą przyjaźń.

Amanda zamilkła na chwilę, zastanawiała się nad czymś.

- Gdzie spędzimy dzisiejszą noc, Davidzie? Tutaj nie możemy zostać, nie mogę narażać Laurel.

- Mam pewien plan.

- Mów.

- Mój brat, Josh, mieszka z rodziną w górach. Ma ogromny dom.

- Nie możemy zawracać im głowy - wyraziła swoje wątpliwości Amanda.

- Istotnie, gdy zagraża nam śmierć, przede wszystkim powinniśmy pamiętać o dobrych manierach - zauważył David z kamienną twarzą.

- A jeśli ci ludzie dowiedzą się, gdzie jesteśmy? Nie mam prawa narażać twojej rodziny.

O tym David nie pomyślał.

- Masz rację. Może w takim razie FBI znajdzie nam jakąś kryjówkę.

- Wykluczone, myślę też o swojej pracy. Jak to będzie wyglądało, jeśli nagle zniknę?

David wzruszył ramionami.

- Po prostu wszyscy uznają, że masz dość rozumu, by chronić własny tyłek i własne dziecko.

- Chcę, by wszyscy uznali, że nic się nie stało. - Amanda nachyliła się i położyła dłonie na blacie biurka. - Mam pewien pomysł. W tej chwili najważniejsze jest bezpieczeństwo Laurel, a dopóki jest ze mną, nie będzie bezpieczna. Wyślijmy małą i Vonnie do twojego brata, a ja zostanę tutaj.

David ucieszył się, że na cały weekend zostanie sam na sam z Amanda, bał się jednak, czy zdoła zapewnić jej wystarczającą ochronę.

- Ten dom trudno uznać za fortecę, nie mam w piwnicy arsenału broni maszynowej...

Amanda nic sobie nie robiła z jego wątpliwości, tylko szybko podniosła słuchawkę.

- Zawiadomię Metcalfa o naszych planach. Jeśli ktoś rzeczywiście chce mnie zabić, niech FBI obstawi dom.

- Rozumiem, że zamierzasz wystąpić w roli przynęty.

- Przynęta, cóż za paskudne słowo - wzdrygnęła się Amanda, po czym zostawiła na sekretarce agenta wiadomość. - Myślę, że to powinno zadziałać.

Wkrótce okazało się, że Metcalf jest tego samego zdania.

W ciągu następnych kilku godzin FBI zorganizowało zasadzkę, posuwając zasady bezpieczeństwa do granic śmieszności. Podróż Vonnie i Laurel do domu Josha miała być niezwykle skomplikowana i wieloetapowa, tak by wykluczyć wszelką możliwość inwigilacji, a kilku agentów miało pilnować domu Davida.

O dziewiątej wieczorem David i Amanda znaleźli się w sypialni.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Iceman krążył wokół domu doktora. W oknach odbijało się mdłe światło ulicznych latarni, wszystkie zasłony były szczelnie zaciągnięte. Nie widział, co się dzieje w środku, ale wiedział, że jest tam Amanda, i że ukrywa się przed nim.

Skręcił w lewo na skrzyżowaniu. Żadnych samochodów, cóż za spokojna okolica.

Nawet jeśli Amanda odzyska pamięć, prawdopodobnie nigdy nie skojarzy napadu na bank z jego osobą. Gdyby był hazardzistą, zaryzykowałby, ale on bardzo cenił dokładność.

Dlatego Amanda musi umrzeć.

Chciał zabić ją już po południu, nad Cherry Creek, ale nad rzeką było zbyt wiele ludzi. Teraz znowu utrudniła mu zada - nie bo zawiadomiła FBI i cały czas jest z nią David Haines.

Musiał ją dostać, gdy zostanie sama. Chciał widzieć jej rozszerzone z przerażenia oczy i usłyszeć rozpaczliwe błagania o życie.

I kto jest teraz naprawdę zimny jak lód, księżniczko? - pomyślał mściwie.

Naciśnie spust i odejdzie przez nikogo nie zatrzymywany.

Uśmiechnął się nieznacznie. Chyba zostanie mordercą z powołania. Zabójstwo Temple'a to był dopiero początek, wszystko jeszcze przed nim. Stanie się międzynarodową sławą, jego imię będzie siało postrach na całym świecie.

Najpierw jednak musi zająć się Amandą. Wreszcie doczeka się chwili, gdy będzie sama.

Amanda siedziała pod oknem w sypialni i wpatrywała się w puste miejsce, gdzie jeszcze kilka godzin wcześniej stał kojec Laurel.

- Myślisz, że dobrze postąpiłam? - Podniosła głowę i spojrzała na Davida. - Laurel będzie tam dobrze?

Skinął w odpowiedzi głową.

- Tyle tylko, że dzisiaj w nocy nie zaśnie ani na chwilę, bo Josh i Nancy jej na to nie pozwolą. Zawsze chcieli mieć córkę, a rodzili się sami chłopcy. Nancy nie posiadała się z radości, kiedy powiedziałem jej przez telefon o naszym planie. Na pewno doskonale zaopiekuje się Laurel.

Amanda uspokoiła się nieco, ale zaraz pojawiła się następna troska: została sama z Davidem, w wielkiej sypialni z wielkim łóżem.

Wiedziała, co zaraz nastąpi, lecz zamierzała się przed tym bronić. Nie powinna pozwolić mu się dotknąć, zanim nie powie mu prawdy o Laurel.

Powiedz mu, powiedz mu teraz, szeptał jej wewnętrzny głos. Coraz natarczywiej...

A jeśli David ją znienawidzi? Jeśli odwróci się od niej?

Kiedy wziął ją w ramiona, zdołała wykrztusić:

- Ja... jestem matką.

- Tak, ale matkom wolno się kochać, o ile wiem.

- Nie o to chodzi.

David przechylił głowę i przyglądał się Amandzie przez chwilę.

- Boisz się, że twoje ciało się zmieniło i nie będziesz mi się podobała?

- Chodzi mi o coś innego...

- Zawsze będziesz mi się podobała. Twoje ciało jest wspaniałe, ale mnie pociąga Amanda Fielding: gruba albo chuda, stara czy młoda, to nie ma najmniejszego znaczenia.

O czym on mówi?

- Ależ ma.

- A ja ci mówię, że nie. Będziesz mi się podobała nawet wtedy, gdy stuknie ci siedemdziesiątka i pokryjesz się zmarszczkami.

- Urocza perspektywa.

- Dla mnie zawsze będziesz śliczna.

Kiedy ją objął i pocałował, stopniały ostatnie opory. Nie próbowała już nic wyjaśniać, oddała się całą sobą pożądaniu i rozkoszy.

David wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko, a po chwili spleli się w uścisku. Nie myślała już o niczym.

Następnego ranka David budził się powoli, ciągle jeszcze przepełniony doznaniem nocy. Amanda zajęła niemal całe łóżko. Ułożyła się po przekątnej, zostawiając mu bardzo mało miejsca. Zawsze musiała mieć przewagę, nawet we śnie... ale me wtedy, kiedy się kochali. Wtedy nikt nie miał przewagi.

Ostrożnie wysunął się z łóżka, wciągnął dzinsy i zszedł na dół zaparzyć kawę.

Po tej ostatniej nocy był już pewien, że powinni być razem. Czy się z nią ożeni? Trudna decyzja. Dwa razy już odprawiła go z kwitkiem.

A Stefan? Pewnego dnia ten głupek oprzytomnieje i zacznie egzekwować swoje ojcowskie prawa.

Davidowi wcale się to nie uśmiechało. Chciał mieć Amandę i Laurel wyłącznie dla siebie. O ile prościej wyglądałoby życie, gdyby Laurel była jego córką, a nie Stefana. Amanda traktowała go jak przygodnego faceta, z którym przypadkiem się przespała, a nie jak ojca własnego dziecka.

Może jednak Stefan nie był ojcem Laurel. W Davidzie na nowo obudziła się nadzieja, bo daty świadczyły, że to on mógł spłodzić małą. Usiadł przy stole i rozmarzył się. Gdyby tak było, oddałby małej serce i duszę, otoczył największą czułością i troską.

A tak prawdę mówiąc, biologia wcale nie miała znaczenia. David nauczył się w szpitalu, gdzie miał do czynienia z maltretowanymi dziećmi, że „prawdziwi” rodzice nie zawsze są najlepsi. Jeśli Amanda zgodzi się wyjść za niego, adoptuje Laurel i będzie się o nią troszczył jak o własną córkę.

Z kubkiem kawy w ręku obszedł cały dom, odsłaniając zasłony i podnosząc rolety. Widok szarego sedana parkującego po drugiej stronie ulicy, z ponurym facetem za kierownicą, uświadomił mu, że są w tej chwili ważniejsze sprawy niż rojenia o wspólnym życiu. Amandzie groziło bardzo konkretne, śmiertelne niebezpieczeństwo.

O dziesiątej przeszedł do swojego gabinetu i odsłuchał nagrane na sekretarce wiadomości.

Frank Weathers domagał się, żeby Amanda przyjechała do banku i zdecydowała, jaki kolor wykładziny podłogowej powinni wybrać do biur.

Harry Hoffman w swój burkliwy sposób zawiadamiał, że jest już w domu, czuje się dobrze i na pierwsze wezwanie wróci do pracy.

Dlaczego Amanda dała mu numer telefonu? Jeśli zamierzała ukryć się w domu Davida, po co opowiadała przyjaciołom, rodzinie i mediom, gdzie zamieszkała?

Wystukał numer brata. Odebrała Nancy, była wprost zachwycona Laurel, a chłopcy, straszne zabijaki, też byli zafascynowani małą dziewczynką. Panowało pełne bezpieczeństwo, wszystko układało się więc wspaniale na tym najlepszym ze światów.

Sedan z agentem FBI nadal parkował po drugiej stronie ulicy, ale oto przed domem pojawił się drugi wóz, brązowe bmw, z którego wysiadł Stefan Phillips.

Co go tu przyniosło?

David wyłączył alarm i otworzył drzwi frontowe, zanim Stefan zdążył nacisnąć dzwonek i obudzić Amandę.

- Czego chcesz? - przywitał go uprzejmie.

- Chcę rozmawiać z Amandą.

- Jeszcze śpi. Potrzebuje odpoczynku.

- Nie mów mi, czego Amanda potrzebuje, dobrze? Wczoraj wieczorem dzwoniła do mnie. Chce, żebym zabrał ją do mojej chaty w górach. - Prychnął. - Puść mnie, doktorku, stoisz mi na drodze.

David wyszedł na ganek i zamknął za sobą drzwi.

- Nie rób z siebie durnia i zjeżdżaj stąd, zanim zupełnie się skompromitujesz.

- Amanda i ja mieliśmy wspólne plany na dzisiaj. Jest Czwarty Lipca, jeśli zapomniałeś.

- Wiem, jaki mamy miesiąc i dzień. Powiem Amandzie, że tutaj byłeś. Zadzwońi do ciebie, kiedy się obudzi.

Stefan się zaparł.

- Nie ruszę się stąd, dopóki jej nie zobaczę.

David upił łyk kawy, rozważając kolejny ruch. Nie lubił przemocy, ale miał wielką ochotę dać Stefanowi w szczękę albo chwycić go za kołnierz oraz portki i zrzucić ze stopni.

- Wiesz co, Stefan, ja wracam do środka i zamykam drzwi, a ty czekaj tu sobie, jak długo ci się spodoba.

- Powiedz Amandzie, że tu jestem.

- Włączam system alarmowy. Jeśli przyjdzie ci jakiś idiotyzm do głowy, za pięć minut będą tu gliny, że nie wspomnę już o federalnych, którzy są w samochodzie po drugiej stronie ulicy.

Stefan odwrócił się i zmierzył uważnym spojrzeniem sedana.

- Czemu ci ludzie cię pilnują?

- Pilnują Amandy. Była świadkiem napadu na jej własny bank, pamiętasz?

- Nie podoba mi się to. Chcę się z nią natychmiast zobaczyć. - Stefan cofnął się, zadarł głowę i zaczął wykrzykiwać: - Amando, Amando, zjeżdż na dół!

David zmarszczył czoło. Powinien był jednak temu palantowi przyłożyć w szczękę.

- Amando!

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła Amanda, zaspana, w szlafroku, z potarganymi włosami.

- Uspokój się, Stefan. Jestem tutaj. Jak mnie znalazłeś? Nie dałam ci przecież adresu, w książce telefonicznej też go nie ma.

- Dostałem w Country Club - oznajmił, dumny z własnej przedsiębiorczości i sprytu. - Pomyślałem, że lekarz, nawet z miejskiego szpitala, powinien tam należeć. I miałem rację.

Na Amandzie domyślność Stefana nie zrobiła wielkiego wrażenia. Ziewnęła szeroko.

- Co cię tu sprowadza?

- Chcesz jechać do mojej chaty w górach? Z Laurel, ma się rozumieć.

Aha, głupek przypomniał sobie wreszcie, że ma córkę, pomyślał David z przekąsem.

- Nie, inaczej wszystko ułożyłam - powiedziała Amanda.

- Co z dzisiejszym wieczorem? Pojedziesz ze mną do klubu?

- Nie pojedę.

- Jak chcesz, ale powinnaś coś zrobić, żeby położyć kres plotkom. - Stefan cofnął się o krok. - Niech ludzie mówią, co chcą, ja w ciebie nadal wierzę.

Choć insynuacja sama w sobie była paskudna, Stefanowi udało się przyciągnąć uwagę Amandy.

- Co mówią? Kto mówi?

- Wolałbym nie rozmawiać na ganku, pod okiem tego faceta z FBI.

- Wejdz do środka.

Kiedy otworzyła szeroko drzwi, David miał wrażenie, że do jego domu wślizguje się wściekły szczur. Amanda, kobieta tak bardzo inteligentna, miała jednak jedną wadę, mianowicie była wyjątkowo czuła na głos opinii publicznej.

Przeszli w trójkę do kuchni. Amanda posadziła Stefana przy stole i niby to prowadząc niezobowiązującą rozmowę, rozpoczęła regularne przesłuchanie.

- Rozmawiałam wczoraj z rodzicami i ojciec powiedział coś, co mnie zainteresowało. Pamiętasz może Jaxa Schaffera? - zagadnęła w pewnym momencie.

- To ten kryminalista, który uciekł w dzień napadu - odparł Stefan. - Dlaczego pytasz?

- Należał do tego samego klubu, co mój ojciec i myślę, że go znałeś. Miał jacht, a ty byłeś członkiem Martin Bay Yacht Club, o ile dobrze pamiętam.

- Jax Schaffer należał do klubu jachtowego? - Stefan skrzywił się z niesmakiem. - Wierzyć się nie chce. Nigdy nie miałem z tym facetem nic wspólnego, a klub powinien bardziej selektywnie dobierać członków.

Amanda przeszła do konkretów:

- Zostawmy Schaffera. Powiedz mi, co mówi się na mój temat w Denver.

David nie chciał zostawiać jej samej ze Stefanem, a jeszcze mniejszą miał ochotę wysłuchiwać, co kto o kim powiedział. Uciekł na górę, znalazł dawno nie noszoną koszulę roboczą, założył ją i wrócił na dół.

Amanda zęgnęła się właśnie ze Stefanem.

- Dziękuję, że wpadłeś - mówiła, otwierając drzwi frontowe. - Przepraszam, że niepotrzebnie cię alarmowałam, ale jak sam widzisz, wszystko jest w porządku.

Stefan stanął w progu, wyraźnie ociągał się z odejściem.

- Co z dzisiejszym wieczorem w klubie, Amando? Przyjechać po ciebie o siódmej?

- Nie mogę nic planować. Nie wiem, jak będę się czuła wieczorem. Jeśli zdecyduję się tam pojechać, spotkamy się na miejscu. Do widzenia, Stefanie.

Zamknęła drzwi, przekręciła zamek i odwróciła się do Davida.

- Pojedziemy wieczorem do tego cholernego klubu - powiedziała stanowczo.

- Po co? - zdziwił się David.

- Bo chcę się pokazać ludziom z wysoko podniesioną głową. Niech wszyscy plotkarze zobaczą, że nie mam powodów ukrywać się ani niczego nie muszę się wstydzić. Nie zrobiłam nic złego.

W oczach Amandy pojawiły się gniewne błyski, a jej głos był pełen determinacji. David, patrząc na nią, poczuł autentyczną dumę.

- Możesz na mnie liczyć - powiedział i pogładził Amandę po policzku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W klubie zaczęli gromadzić się goście, wszyscy nastroszeni świątecznie i patriotycznie. Nawet niebo zdawało się uczestniczyć w święcie, było bowiem świetliste, rozgwieżdżone i bez jednej choćby chmurki. Zapowiadał się naprawdę udany wieczór.

Amanda wyprostowała się i wciągnęła głęboko powietrze. W markowej sukni, z idealnym makijażem i pięknie opalona, wyglądała doskonale, ale czuła się jak intruz.

Tak naprawdę nigdy nie należała do elity. Zbyt ciężko pracowała na swój sukces, a teraz w każdej chwili mogła stracić z takim trudem osiągniętą pozycję.

- Rozmyślałam się - oznajmiła, zwracając się do Davida.
- Nie chcesz obejrzeć pokazu ogni sztucznych?
- Nie chcę oglądać wszystkich tych ludzi ani słyszeć, jak szepczą za moimi plecami. Nie chcę, by odwracali wzrok na mój widok.
- Boisz się.
- Nie, tylko nie widzę powodu, żeby wystawiać się na upokorzenia.

David podał jej ramię i poprowadził przez trawnik tam, gdzie było mniej ludzi.

- Jeśli chcesz, możemy wracać do domu, ale nie zamierzam uciekać tylko dlatego, że czujesz się nieswojo.

Dla Amandy był to wystarczający powód.

- Więc dlaczego?
- Bo może być tu niebezpiecznie. To duży otwarty teren, a wkrótce zrobi się zupełnie ciemno.
- Nikt mnie tu nie zaatakuję. W takim tłumie, przy tylu świadkach?
- Drzewa, zarośla, snajper może ukryć się gdziekolwiek. Nie myśl, że w tłumie będziesz bezpieczna. Ktoś podejdzie do ciebie, wsadzi pistolet pod żebro...

- Przestań, Davidzie.

Amanda nie należała do osób, które uciekają przed niebezpieczeństwem, ale on nie ustępował.

- Coraz bardziej jestem przekonany, że napad na bank ma związek z ucieczką tego Jaxa Schaffera.

- Ja też tak myślę.

- To naprawdę niebezpieczny człowiek. W czasie jego ucieczki zginęło czterech policjantów, zostali zastrzeleni z zimną krwią. Jeśli postanowił, że masz zginąć, jego ludzie nie przestaną na ciebie polować.

- Nie wiem, co robić. - Amanda spojrzała pytająco na Davida. - Chcę bronić swojej reputacji, ale jeśli miałyby to oznaczać wystawianie się na niebezpieczeństwo... - nie dokończyła zdania.

- Wracajmy do domu, Amando. Zamiast cisnąć się w tłumie, pójdziemy do łóżka.

Propozycja była kusząca, ale Amanda chciała dowieść ludziom, że nie ma nic do ukrycia i nie ucieka od publicznych występów.

- Zawrzyjmy kompromis. Pokręcimy się między gośćmi i wyjdziemy stąd, zanim zacznie się pokaz ogni sztucznych.

- Zgoda - przystał David.

- Dobrze wyglądam?

- Ślicznie.

Amanda nie była przekonana.

- Jak prezes banku?

- Nie rozumiem, czym się zamartwiasz. Dlaczego tak ci zależy na ludzkiej opinii? Jesteś inteligentna, świetna w tym co robisz, piękna. Nie masz się czego wstydzić.

Amanda wygładziła suknię i wyprostowała się. Znowu była zimną księżniczką, wyniosłą i niedostępną.

- Idziemy - oznajmiła z determinacją.

- Wyglądasz jak Maria Antonina w drodze na szafot - zauważył David.

Amanda uniosła niewidzialne berło.

- Niech mają swoją ucztę.

Kiedy weszli do sal klubowych, wokół Amandy natychmiast zaroilo się od znajomych, ciekawych szczegółów napadu. Cierpliwie odpowiadała na pytania, ale kiedy próbowała zmienić temat, tłumek, nasyciwszy swoją ciekawość, błyskawicznie zniknął. Wkrótce została znowu sama z Davidem.

Podeszli do stołu zastawionego pasztetami, krabami, kawiozem, różnego rodzaju sałatkami i różnych gatunków serami. Szef kuchni stanął na wysokości zadania, przygotowując świąteczny bufet.

To tu natknęli się na Franka Weathersa.

Chociaż kilka razy tego dnia rozmawiał z Amandą przez telefon, teraz wydawał się zaszokowany jej widokiem.

- Amanda? Czy aby na pewno możesz już wychodzić z domu?

- To w końcu Czwarty Lipca, pragnęłam uczcić własną niepodległość.

Frank nerwowym ruchem sięgnął pod szyję, jakby chciał poprawić krawat. Z tego wszystkiego zapomniał, że nie włożył go tego wieczoru. Rozejrzał się wokół.

- Wiem, że nie jest to odpowiednie miejsce, aby rozmawiać o interesach, ale w dniu napadu miałaś spotkanie z Tracy Meyer.

- Owszem. Cóż z tego? - zdziwiła się Amanda.

- Chodzi o to, czy zgodziłaś się, żeby podjęła pieniądze z funduszu swojej pasierbicy?

Przynajmniej jedną sprawę mogła wreszcie wyjaśnić.

- Nie zgodziłam się. Chcę zaproponować jej kredyt w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, bez żadnych zabezpieczeń, bo Tracy ich nie ma.

- Bez zabezpieczeń?

- Nie są potrzebne. - Amanda całkowicie ufała Tracy. Zresztą, co znaczy dziesięć tysięcy dolarów. - Czy mógłbyś to załatwić tak szybko, jak to możliwe?

- Oczywiście - zgodził się Frank. - Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, możemy to zrobić od ręki. Bank jest niedaleko, mam klucze. Możemy tam pojechać we dwójkę, tylko ty i ja.

- We dwójkę? Tylko ty i ja? To brzmi jak zaproszenie na randkę, Frank.

- Zapewniam cię, że romanse mi nie w głowie - prychnął z pogardą.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podszedł Bill Chessman i serdecznie uściskał Amandę.

- Świetnie wyglądasz, naprawdę świetnie.

- Dziękuję, Bill.

Bill najwyraźniej zaczął świętować wcześniej niż inni, bo nawet jego wąsy zdawały się lekko chwiać. Poklepał Davida po ramieniu.

- Dobrze was widzieć znowu razem. Zawsze lubiłem twoją rodzinę, Davidzie. Haines Construction to porządna rodzinna firma.

- W dodatku spłacamy nasze długi w terminie.

- Kiedy zagramy w golfa, chłopcze?

- Kiedy skończę staż.

- Tylko nie odkładaj tego w nieskończoność. Każdy porządny lekarz powinien zaliczyć swoje osiemnaście dołków raz w tygodniu. To należy do zawodu. - Tu zwrócił się do Franka: - A ty, Weathers? Grasz w golfa?

- Nie, sir. Moja gra to tenis.

- Nigdy nie lubiłem tenisa - stwierdził Chessman. Kiedy odwrócił się znowu do Davida, Frank posłał mu mordercze spojrzenie i zacisnął dłonie. Nie zdawał sobie sprawy, że Amanda go obserwuje. No proszę, strachliwy Frank Weathers chował w głębi swojego serduszka jakieś dziwne emocje. W tej chwili wyglądał na człowieka, który potrafiłby zabić.

Amanda poczuła, że otacza ją czyjeś ramię. Stefan.

- Amando, tak się cieszę, że jednak przyszłaś. Powinnaś częściej bywać.

Zaczął witać się ze wszystkimi. Ta jego wymuszona wylewność przywiodła Amandzie na myśl inne klubowe spotkania, dziesiątki podobnych wieczorów. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że Chessman też pochodzi z Illinois.

- Byłeś członkiem klubu jachtowego Martin Bay? - zagadnęła.

- A owszem, byłem.

- Stefan też należał do tego klubu - powiedziała.

- Prawdę powiedziawszy, nigdy nie byłem jego członkiem - wyjaśnił Stefan. - Jedna z moich ciotek trzymała jacht na ich przystani.

- Członkostwo tego klubu przestało być przywilejem - powiedział Bill.

- Co przez to rozumiesz?

- To, że Jax Schaffer należał do niego.

- Znałeś tego Schaffera? - pytała dalej Amanda.

- Poznaliśmy się. Miał dziwny głos, ale niesamowicie grał w golfa.

To go rozgrzeszało. Mógł grabić i mordować jak kraj długi i szeroki, ale dopóki dobrze grał, był w porządku.

Konwersacja, całkowicie zdominowana przez Billa, potoczyła się dalej wokół golfa, czyli sportu, który Amanda uważała za śmiertelnie nudny. Słuchając jednym uchem, rozglądała się po sali. W pewnej chwili, gdy usłyszała swoje imię, ocknęła się z zadumy.

- Przepraszam?

- Twoja pamięć? - mówił Bill. - Amnezja już się cofnęła?

- Ciągle nie mogę sobie do końca przypomnieć, co się działo podczas napadu.

- Okropna sprawa - po ojcowsku zatroskał się Bill i pogładził nastroszone wąsy. - Obyś nigdy nie musiała sobie przypomnieć. Wyobrażam sobie, jak się bałaś.

- Jakoś sobie poradzę z tym niemiłym doświadczeniem - zapewniła Amanda.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął Bill. - Nie chciałem sugerować, że...

- We wtorek zamierzam wrócić do pracy.

Amanda czekała w napięciu na reakcję Billa. Nie sądziła, żeby oznajmił jej w trakcie świątecznego wieczoru w klubie, że jest zwolniona, ale uspokoiłaby się, gdyby uścisnął jej dłoń i poklepał jowialnie po ramieniu.

- Zostań jeszcze w domu przez następny tydzień - powiedział po namyśle.

- Dobrze się już czuję. Chcę wrócić do pracy.

- Jeszcze nie teraz.

Zachowała uprzejmy uśmiech, ale poczuła się zupełnie pusta w środku. Potwierdziły się jej najczarniejsze przeczucia. Zarząd Empire Bank uznał, że należy zwolnić ją ze stanowiska. Czyli koniec, jej słońce zgasło.

- Zaraz zacznie się pokaz - przypomniał Bill, zwracając się do całej grupy. - Chodźmy na zewnątrz. Aha, Davidzie, miałem cię zapytać, jak się miewa twój brat, Josh? Ciągle mieszka w Evergreen?

- Tak.

- Chodźmy - przynagliła Amanda. Nie chciała, żeby rozmowa zeszła na Josha, zbyt bała się o bezpieczeństwo Laurel. - Pierwsze ognie sztuczne są zawsze najbardziej efektowne.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, David odciągnął ją na bok, z dala od tłumu, w pobliże parkingu.

Na niebie rozjarzył się wielobarwny pióropusz fajerwerków. Wokół pojaśniało.

- Słyszałeś, Davidzie? Chessman nie chce, żebym wracała do banku. - Przytuliła się do niego, szukając w fizycznej bliskości pociechy.

A jeśli wyciągała zbyt pochopne wnioski i słowa Chessmana nie oznaczały tego, co sądziła?

- Może chodzi mu tylko o moje zdrowie. - Jeszcze czepiała się nadziei.

- To bardzo prawdopodobne - przytaknął David.

Nie, na pewno ją wyrzucą. Historia z Carrie, oskarżenia Sarge'a, dostęp do poufnych informacji, wszystko świadczyło przeciwko niej.

- Musimy coś zrobić, Davidzie.

- Możemy pojechać jutro do szpitala.

- Po co? - zdziwiła się. - Przecież masz wolne.

- Spróbujemy zająć się zabójstwem Temple'a. Popytamy, czy ktoś nie zauważył czegoś niezwykłego.

- Tak, przeprowadzimy nasze dochodzenie. - Na nowo rozpałała się przygasająca nadzieja. - Świetny pomysł, Davidzie. Policja co prawda przesłuchała już wszystkich, ale my mamy coś, czego oni nie mieli.

- Co takiego?

- Naszych czterech podejrzanych. Możemy pokazać ich zdjęcia.

David skinął głową.

- A skąd je weźmiemy?

- Z klubu. - Amanda wskazała w stronę budynku. - Na ścianach jest mnóstwo zbiorowych zdjęć członków. Na pewno znajdziemy na nim Stefana, Weathersa i Chessmana. - Ruszyli przez parking, obok stojącego w ostatnim rzędzie porsche Davida, w stronę głównego budynku.

- On też jest już podejrzany?

- No pewnie - przytaknęła z przekonaniem. - Powinien był mnie poprzeć, zamiast słuchać zeznań jakiegoś bandyty.

Na niebie znowu rozbłysły tysięczne kaskady iskier. W tej samej chwili gdzieś w pobliżu rozległ się suchy trzask. Kątem oka Amanda dojrzała sylwetkę kulącą się między samochodami. Kolejny suchy trzask. Ktoś strzelał!

David pchnął ją na ziemię i przykucnął obok.

- Szybko do samochodu - polecił. - Jest otwarty. Znowu wystrzał. Nie potrafili już odróżnić, czy to fajerwerki, czy broń.

- Nie wychylaj się.

Zgięta wpół zaczęła się przemykać między samochodami, a David tuż za nią.

Dopadła samochodu i zanurkowała do środka. Kolejny suchy trzask zamienił boczną szybę w mleczną pajęczynę.

David na pełnym gazie wyjechał na ulicę.

- Nic ci nie jest?

- Chyba nie - wykrztusiła Amanda.

- Cholera, powinniśmy byli przewidzieć, że to się tak skończy. Zadzwoń na policję. Powiedz, żeby przyjechali do klubu.

- Nie.

- Dzwon, do diaska.

- Ten facet na pewno już uciekł, a ja nie zamierzam robić zamieszania w klubie. Przyszłam tutaj, żeby odzyskać dobrą opinię i nie zamierzam rujnować sobie kariery.

- Życie jest mniej ważne? Jeśli zginiesz, opinia i kariera na niewiele ci się zdadzą.

. - Nie złapią go - powątpiewała Amanda.

- Może nie, ale powinni spróbować. A bufonom z klubu przyda się lekcja pokory. Dzwon.

Amanda z ociąganiem wystukała numer Metcalfa i zostawiła mu wiadomość:

- Mówi Amanda Fielding. To pilne. Ktoś do mnie strzelał.

- Zaproponowała spotkanie w pobliżu klubu, rozłączyła się i zwróciła do Davida: - Wychodzi na to, że znowu wszyscy będą o mnie mówić.

- Skoro poluje na ciebie jakiś snajper, może FBI w końcu uwierzy, że jesteś niewinna. Jeśli jesteś ofiarą, to trudno, żebyś równocześnie była podejrzaną.

- To nieprawda, Davidzie. Przecież ci sami ludzie zabili Temple'a.

W przeciwieństwie do Amandy, Davidowi podobało się zamieszanie w klubie. Metcalf i Hess przesłuchiwali potencjalnych świadków, a lokalna policja przeszukiwała teren.

- Pan, doktorze, i Amanda możecie wracać do domu w każdej chwili - oznajmił w pewnej chwili agent Greg Hess.

- Znaleźliście coś? - zainteresował się David.

- Nic, i pewnie nic nie znajdziemy. To zbyt rozległy teren, a świadków też nie ma. Wszyscy oglądali pokaz ogni sztucznych. Trudna sprawa.

- Dziękuję za informacje, które mi pan przekazał.

- Metcalf skopałby mi tyłek, gdyby się dowiedział, że powiedziałem panu o Sarge'u, doktorze - przyznał Hess.

- Nie jest pan takim sztywniakiem, jak on. Hess pokiwał głową.

- Jakoś nie mogę wyobrazić sobie Amandy w charakterze podejrzanej, ale mam przekonanie, że coś, co ona wie, jest kluczem do sprawy.

- Macie coś jeszcze? - zapytał David.

- Owszem - sarknął Hess. - Dwie rzeczy. Ustaliliśmy, że ktoś zawiadomił policję o napadzie z ukradzionego telefonu komórkowego.

- Co to oznacza?

- Że informacja pochodziła prawdopodobnie od przestępcy.

David szybko wyciągał wnioski.

- Skoro tak, można się domyślać, że chodziło o skierowanie brygady antyterrorystycznej do Empire Bank, dzięki czemu Jax Schaffer mógł swobodnie uciec.

- To możliwe - przyznał Hess.

- Co jeszcze?

- Obejrzeliliśmy nagrania z kamery w biurze Amandy. Ciekawe, że nikt nie próbował dostać się do jej biurka, za to był ktoś, kogo interesowały teczki z danymi osobowymi.

- Kto to taki?

- Frank Weathers.

A więc podejrzany numer jeden.

- Przesłuchaliście go już?

- Jeszcze nie, bo nie mogliśmy go złapać. Cały dzień był w ruchu. Pojawiał się w banku i znowu znikał. - Hess odchrząknął i spojrzał Davidowi w oczy. - Miał pan jakieś wiadomości od Vonnie?

- Już się zadomowiła w Evergreen. - Amanda kilka razy w ciągu dnia rozmawiała z nią. - Chce się pan z nią umówić? Serio?

Hess uśmiechnął się jakoś nieporadnie.

- A będzie chciała pójść na randkę z federalnym?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

David pożegnał się z Hessem i poszedł szukać Amandy.

Znalazł ją siedzącą samotnie w kącie głównej sali klubu. Najwyraźniej czuła się nieswojo, jako że wywołała tyle zamieszania podczas świątecznego wieczoru.

- Możemy jechać - powiedział.

- Niczego bardziej nie pragnę. Wynośmy się stąd jak najprędzej. W samochodzie, ku zaskoczeniu Davida, zaczęła chichotać.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie, możesz mi wierzyć. - Jej głos był naładowany energią. - Wyobraź sobie, udało mi się ukraść zdjęcia. - Otworzyła torebkę i wydobyła fotografie. - Mam Stefana, oraz Billa Chessmana w roli zwycięzcy turnieju golfowego. I jeszcze jedno, zrobione po zawodach tenisowych, na którym jest Frank.

- Podejrzany numer jeden - mruknął David. - Myślisz, że to dobry trop?

- Chyba tak. W pewnym momencie, gdy Bill go zlekceważył, zobaczyłam wyraz jego twarzy. Nie uwierzysz, co działo się z tym człowiekiem, ile w nim było nienawiści. Aż przeszły mnie ciarki. Pomyślałam, że on byłby zdolny zamordować.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Następnego ranka David zaraz po przebudzeniu spojrzął na rewolwer leżący na szafce nocnej. Nigdy go nie używał, nie miał nawet pojęcia, jak się nim posługiwać. Odziedziczył go wraz z domem po ciotce, która kiedyś kupiła rewolwer dla ochrony. Teraz wyjął go ze schowka w poczuciu, że musi zapewnić bezpieczeństwo Amandzie.

Odrzucił kołdrę, wstał, włożył szorty i zszedł na dół zrobić kawę. Światelko automatycznej sekretarki już migało, ale nie odsłuchiwał wiadomości, tylko zadzwonił do szpitala, do Stelli.

- Dobrze, że się odezwałeś - powitała go, zanim zdążył się przedstawić. - Mam wiadomość dla Amandy.

- Dawaj.

- Znalazły się jej pantofelki od Gucciego - oznajmiła z dumą. - Dziewczyna miała rację. Wygląda na to, że ktoś je ukradł i zareagował dopiero, kiedy wywiesiłam w całym szpitalu ogłoszenia.

Nie mieściło mu się w głowie, że te dwie kobiety, w obliczu napadu na bank i zamachów na życie, zamartwiają się pantofelkami od Gucciego.

- Skąd wiesz, że ktoś je ukradł?

- Dostałam list. Posłuchaj: „Mam buty. Czekam na właścicielkę w niedzielę w południe, na skwerze przed szpitalem. Spodziewam się nagrody”.

Brzmiało to jak żądanie okupu. Za parę butów?

- Przekażę Amandzie.

- Dlaczego właściwie dzwonisz?

- Chcę przyjechać do szpitala. - Nie zamierzał mówić Stelli, w jakim celu. - Powiedz mi, czy Loretta Spangler będzie dzisiaj w pracy?

- Chowasz się przed wielką panią neurolog?

- Mniej więcej - przyznał David.

- Muszę cię zmartwić, bo już tu jest.

Ledwie odłożył słuchawkę, w drzwiach gabinetu pojawiła się Amanda z kubkiem kawy w dłoni.

- Dobra wiadomość - powitał ją. - Stella natrafiła na trop twoich butów.

- Tych od Gucciego? Powtórzył jej treść listu.

Postanowił nie odstępować jej na krok, bo dziwny list mógł być próbą zwabienia Amandy w zasadzkę. Postanowił też zabrać ze sobą wielki, nieporęczny rewolwer ciotki.

Amanda już miała wsiąść do minivana, kiedy w jej torebce rozdzwonił się telefon. Coś jej to przypomniało, ale ulotny obraz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Wyciągnęła komórkę.

- Tak, słucham?

- Tu agent Metcalf. Chciałem pani powiedzieć, że wczoraj wieczorem nic nie znaleźliśmy.

- Trudno. - Po powrocie do domu David powiedział jej, że na taśmie z jej gabinetu pojawił się Frank Weathers. - Aresztowaliście kogoś?

- Nie, proszę pani. Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

Nie chciała przysparzać kłopotów Hessowi za zdradzanie tajemnic dochodzenia.

- Nie wiem, po prostu pytam.

- Chcę panią ostrzec. Musi pani być dzisiaj bardzo ostrożna. Proszę nie wychodzić z domu. Dochodzenie wprawdzie posuwa się naprzód, ale ludzie, których podejrzewamy, mogą uciec się do desperackich kroków.

Podziękowała Metcalfowi za radę, choć nie zamierzała się do niej stosować.

- Kto dzwonił? - zainteresował się David.

- Metcalf. - Nie wspomniała Davidowi o przestrojach agenta, i tak był wystarczająco zdenerwowany. - Mam dobre przecucia, Davidzie. Odzyskamy buty, pokażemy w szpitalu zdjęcia naszych podejrzanych, a mnie wróci pamięć. Wkrótce ten koszmar się skończy. - Nachyliła się i pocałowała go lekko w usta.

- Obyś miała rację. - Odpowiedział pocałunkiem i uruchomił silnik. - Kiedy będzie już po wszystkim, musimy porozmawiać o przyszłości. Twojej, mojej i Laurel. Nie chcę, żebyś znowu odeszła. Nie pozwolę na to.

Amanda uśmiechnęła się szeroko.

- Dobrze, porozmawiamy - obiecała.

Rozglądali się po szpitalnym skwerze w poszukiwaniu jakiejś samotnej osoby z pudełkiem na buty, ale wśród wygrzewających się w słońcu pacjentów i ich rodzin, spożywających wspólny lunch, nikogo takiego nie mogli dostrzec.

- Carrie - szepnęła bez tchu Amanda na widok drobnej siwowłosej pani w okularach słonecznych.

- Nowa peruka - zagadnęła, kiedy Carrie się zbliżyła.

- Aha. Te przebieranki zaczynają mi się podobać - przyznała uciekinierka.

Jej podobały się przebieranki, ona zaś od pierwszego rzutu oka spodobała się Davidowi. Miała szczerą, otwartą twarz. Ktoś taki nie napada na banki oraz nie układa intryg kryminalnych, osądził od razu.

- To ty zostawiłaś list u Stelli - domyśliła się Amanda.

- Aha - przytaknęła Carrie. - Pomyślałam, że w ten sposób ściągnę cię tutaj. Chciałam się z tobą pożegnać, Amando. Wyjeżdżam. Nie martw się o mnie, zawsze spadam na cztery łapy.

Amanda przez długą chwilę wpatrywała się w przyjaciółkę, wreszcie wykrztusiła zdławionym głosem:

- Błagam cię, uważaj na siebie. Jeśli zginiesz, to klnę się, że więcej się do ciebie nie odezwę.

- Chyba rzeczywiście się nie odezwiesz. Amanda mimo woli parsknęła śmiechem.

- Poznaj Davida Hainesa.

- A więc to ten David! - Carrie serdecznie uścisnęła jego dłoń. - Dobrze, że znowu jesteście razem. Powiedz, nie jesteś dumny z Amandy i z waszej córki?

Naszej córki? David przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Co powiedziałaś?

- Mówiłam o Laurel. - Carrie uśmiechnęła się promiennie. - Musiałeś się od razu domyślić, gdy tylko ją zobaczyłeś. Jest tak podobna do ciebie, jakby skórę ściągnął.

Laurel Fielding, dziewięciomiesięczna panna, była jego córką. Krew z krwi, kość z kości. Jego dziecko!

Dlaczego, do cholery, Amanda nic mu nie powiedziała?

Dlaczego okłamywała go w tak ważnej, najważniejszej w życiu sprawie? Dlaczego pozwoliła mu wierzyć, że Laurel jest dzieckiem Stefana?

Był ojcem. Powinien się cieszyć, zamiast wściekać.

Kiedy Carrie odeszła, nie był w stanie spojrzeć na Amandę. Miał ochotę rozszarpać ją na kawałki.

- Przepraszam, Davidzie.

- Nie chcę nic słyszeć. Odebrałaś mi pierwszych dziewięć miesięcy życia mojej córki. Miałem prawo wiedzieć.

Mógł być przy porodzie, trzymać noworodka w ramionach. Teraz już nie można było tego odrobić.

- Gdybyś wiedział, nalegałbyś na małżeństwo, a ja nie wierzyłam, że to się uda. Nie zdawałam sobie sprawy, jaki... jesteś dla mnie ważny.

- Jedyłą naprawdę ważną osobą dla ciebie jesteś ty sama, twoja kariera... twoje życie.

Nagle przypomniał sobie o rewolwerze ukrytym w torbie lekarskiej i o niebezpieczeństwie grożącym Amandzie. Obiecał, że będzie ją chronił i zamierzał dotrzymać słowa, niezależnie od bólu i gorzycy, które czuł.

- Chodź ze mną, Amando.

- Davidzie, ja...

- Chodźmy.

Amanda usadowiła się obok Stelli w recepcji oddziału ambulatoryjnego. Mogła mówić i ruszać się, ale czuła się jak żywy trup.

David nigdy jej nie wybaczy, będzie nią gardził do końca swoich dni. Nie mogła go winić. Powinna była posłuchać swojego serca, zamiast uciekać się do rozumu. Nikt, żaden mężczyzna, nie mógłby być lepszym ojcem dla Laurel niż David.

Stella rzuciła słuchawkę telefonu i zaczęła wołać:

- David, mamy zderzenie czterech samochodów i strzelaninę. Trzy kareta. Sześciu poszkodowanych. Bądź gotów do operacji.

- Nie. - Do biurka Stelli podeszła wysoka kobieta o ciemnych, uczesanych w kok włosach. - Doktor Haines ze względów dyscyplinarnych jest zawieszony w czynnościach.

- Potrzebujemy w tej chwili każdej pary rąk - tłumaczyła Stella. - Niech pani zrozumie, doktor Spangler.

W tej samej chwili pojawili się w korytarzu sanitariusze z noszami. David nie kazał się prosić i szybko wcisnął swoją torbę lekarską z ciotczynym rewolwerem pod krzesło Amandy.

- Nie ruszaj się stąd - polecił. Skinęła w odpowiedzi głową.

Siedziała niemal bez ruchu przez godzinę, niezdolna myśleć o czymkolwiek. Wreszcie gdzieś mignął jej David, zmęczony, w skrwawionej bluzie. W tej samej chwili odezwał się jej telefon

komórkowy. Wyjęła go z torebki i nagle przemknęło jej przez głowę nieoczekiwane wspomnienie.

Jest w banku, a obok niej stoją Carrie i Tracy. Kieruje wzrok w stronę okna. Widzi mężczyznę z telefonem komórkowym. Mężczyzna spogląda na bank, potem odwraca się plecami.

Stefan!

Wypuściła telefon z ręki, nie próbując odebrać rozmowy.

Stefan zaplanował napad. Podejrzany numer cztery.

Teraz wszystko zaczęło układać się w logiczną całość.

Stefan poprzez nią miał dostęp do wszystkich potrzebnych informacji, dlatego wybrał jej bank.

Bez trudu mógł wykraść z jej mieszkania zapasowe klucze i dorobić nowy komplet dla własnego użytku. Odwiedzał ją w pracy, zdarzało się, że zostawiała go samego w swoim gabinecie. Mógł myszkować w jej biurku.

Próbowała oswoić się z tymi rewelacjami, a przede wszystkim chciała podzielić się nimi z Davidem. Pragnęła poczuć, jak otaczają ją jego ramiona.

Do recepcji wróciła Stella i ciężko opadła na krzesło.

- Nie wiem, dlaczego David przyjechał dzisiaj do szpitala, ale dzięki Bogu, że się pojawił.

- Co się stało?

- Najpierw mieliśmy wypadek drogowy, potem sześciolatniego chłopca, którego potrącił jakiś samochód. Dzięki Davidowi mały wyjdzie z tego. Ten twój facet to naprawdę dobry lekarz.

Telefon Amandy znowu się odezwał. Tym razem odebrała. Dzwonił Stefan.

- Muszę się z tobą zobaczyć, Amando. Natychmiast.

- Niestety, nie mam czasu, Stefanie. Przykro mi.

Miała nadzieję, że FBI wsadzi go za kratki, a sąd skáže na sto lat więzienia.

- Nie masz czasu zobaczyć swojej małej Laurel, a ona tak tęskni za tobą.

- Co powiedziałaś?

- Josh i Nancy Haines. Zobaczyłem kartkę z ich imionami i adresem, kiedy odwiedziłem cię w domu Davida. Potem w klubie, kiedy Bill Chessman o nich zapytał, skojarzyłem fakty. I teraz Laurel jest ze mną.

- Nie - szepnęła Amanda.
- Vonnie bardzo chętnie oddała mi małą. Nie pamiętasz? Uważa, że to ja jestem ojcem Laurel.
- Gdzie jesteś?
- W twoim mieszkaniu, Amando.
- Jak się tam dostałeś? Stefan zaczął się śmiać.
- Przecież wiesz, że mam klucz. Pospiesz się, jeśli nie chcesz, żebym zrobił Laurel krzywdę.
- Jeśli ją tkniesz, to ja...
- I ani słowa nikomu, ostrzegam, bo inaczej nie zobaczysz jej żywej. Wiesz, że nienawidzę dzieci.

Połączenie zostało przerwane. Nie było czasu do stracenia. Amanda chwyciła leżącą pod krzesłem torbę Davida i rzuciła się do wyjścia.

David skończył badać rannego szesnastolatka.

- Założymy ci dwa szwy i wszystko będzie w porządku. Teraz zajmie się tobą doktor Spangler.

Loretta skinęła głową.

- Zrobiłeś dzisiaj kawał dobrej roboty, Haines. Wycofam swoją skargę - obiecała.

- Zdaje się, że wyrobiłem dzisiaj sporo nadgodzin - mruknął David, odwracając się w stronę Stelli, która pojawiła się na progu gabinetu zabiegowego.

- Martwię się o Amandę - zaczęła Stella. - Odebrała telefon od tego faceta... wiesz, od Stefana i... Siedziałam obok niej, nie mogłam nie słyszeć...

Jasne, Stella słyszała i widziała wszystko. Davida wcale to nie dziwiło.

- No więc odebrała telefon od Stefana, i co dalej?
- Wyglądała na przerażoną. Jakby była w szoku. Mówiła coś o Laurel... żeby nie ważył się jej skrzywdzić.

David zdrewniał.

- Gdzie ona jest?
- Wybiegła ze szpitala, ale z rozmowy zorientowałam się, że ten Stefan jest w jej mieszkaniu.

David ruszył pędem na korytarz. Torba z rewolwerem znikła, musiała zabrać ją Amanda. Laurel była w niebezpieczeństwie. Przez ostatnią godzinę ratował inne dzieci, a teraz mógł stracić swoje

własne, zanim jeszcze zdążył je naprawdę poznać. Wskoczył do ambulansu stojącego przed głównym wejściem.

- Włączaj sygnał i jedź jak do wypadku! - krzyknął w stronę kierowcy.

Amanda weszła do mieszkania, chowając rewolwer za plecami.

- Jestem, Stefanie.

Ruszyła w stronę bawialni. Za późno go usłyszała. Chwycił ją od tyłu, zanim zdążyła zareagować. Wytrącił jej rewolwer z dłoni, wykręcił ramię.

- W samą porę się pojawiłaś.

- Gdzie Laurel? - wydyszała.

- W górach, tam gdzie ją wysłałaś. Po co miałbym ją porywać? Wystarczyło, że cię nastraszyłem, i dobra mamusia natychmiast się pojawiła.

- Blefowałeś.

- Nie znasz mnie. Blefuję na zimno. Ci, którzy dobrze mnie znają, nazywają mnie Iceman.

Puścił ją tak gwałtownie, że zatoczyła się na drzwi. Dopiero teraz zobaczyła pistolet w jego dłoni, ale jeszcze bardziej przerażające niż broń były jego oczy: dzikie i rozbiegane. Oczy chorego człowieka, owładniętego obłędem.

- Umrzesz, Amando, ale postaram się, żebyś miała szybką i bezbolesną śmierć.

Poszukała wzrokiem rewolweru. Leżał zbyt daleko, poza jej zasięgiem, powinna przysunąć się bliżej.

- Ty zaplanowałeś napad?

- Ja.

- Sprytnie. - Zagadać go, mówić cokolwiek, może odwróci jego uwagę. - Robiłeś to już kiedyś?

- Kilka lat temu splukałem się do zera i zacząłem drobne roboty dla Jaxa Schaffera. Ale Empire Bank to dopiero miało być coś. Pół miliona baksów!

- Nie udało się.

- Pech, bo pojawiły się gliny. Tempie został postrzelony, a on miał prowadzić wóz.

- Może za wcześnie zadzwoniłeś na 911. Stefan uniósł brwi.

- Wiesz o tym telefonie?

- Widziałam cię przed bankiem z komórką w ręku. - Amanda przesuwiała się nieznacznie w kierunku rewolweru. - Naprawdę sprytnie to zaplanowałaś. Jak sobie poradziłeś z systemem bezpieczeństwa?

- Miałem specjalistów. Tempie był kierowcą, a Dallas to geniusz komputerowy. Przygotował wszystko, posługując się kodami, które znalazłem w twoim biurku. - Zmierzył Amandę pełnym odrazą spojrzeniem. - Sarge był od mokrej roboty. Miał cię sprzątnąć w czasie napadu.

- Dlaczego?

- Dlatego, że mogłaś naprowadzić gliny na mój trop. Teraz Amanda postanowiła zablokować.

- I naprowadziłam. Powiedziałam o wszystkim Metcalfowi. Zadzwoiłam do niego z telefonu komórkowego, kiedy tu jechałam.

- Kłamiesz.

Jeszcze kilka kroków, a będzie mogła dosięgnąć rewolweru.

- To koniec, Stefanie. Za chwilę będzie tu FBI. Nie opłaca ci się dodawać morderstwa do i tak długiej listy popełnionych przestępstw.

Rzuciła się do rewolweru, niemal już go dotykała, ale Stefan był szybszy. Zawiesił go sobie na palcu.

- Tego szukałaś?

To koniec. Straciła nadzieję na ratunek. Będzie musiała zginąć.

- Nie wierzę ci - mówił Stefan - ale na wypadek gdybyś miała rację, nie zabiję cię tutaj. Znikajmy, zanim pojawi się policja. - Pchnął ją na korytarz i do windy.

Nie będzie mogła już nic wytłumaczyć Davidowi, nie zobaczy, jak dorasta Laurel. Ściany windy zdawały się napierać na nią, zbliżać się. Ogarniała ją coraz większa panika. Nie mogła oddychać.

- Biedna Amanda - zakpił Stefan. - Nie lubisz zamkniętych przestrzeni, prawda?

Nacisnął guzik „stop”, winda stanęła między piętrami.

- Mów, zadzwoniłaś do FBI?

- Tak. - Amanda szarpnęła kołnierzyk bluzki, dusiła się. - Tak, dzwoniłam.

- Co im powiedziałaś?

- Nie pamiętam.

Musi się stąd wydostać, jeszcze chwila, a zwariuje.

- Mów!

- Nigdzie nie dzwoniłam. Wypuść mnie!

W głowie jej się kręciło, czuła, że traci świadomość, kolana się pod nią uginały.

Winda ruszyła i zatrzymała się na parterze. Drzwi zaczęły się rozsuwać. Usłyszała strzał i zobaczyła, że Stefan osuwa się na podłogę. Ledwie zdawała sobie sprawę z obecności Davida i dwóch policjantów.

- Suka - zdążył jeszcze wycharczeć Stefan i skierował pistolet prosto w jej twarz. David jednym ruchem wytrącił mu pistolet z ręki, chwycił wpół Amandę i wyprowadził ją z windy.

- Już dobrze.

- Powietrza - wykrztusiła.

David posadził ją ostrożnie na ławce koło wejścia do budynku. Powoli wracała do siebie, strach ustąpił, w jego miejsce pojawiła się pustka.

Sanitariusz i policjant wynieśli nosze z ciałem Stefana. Na podjeździe pojawił się kolejny wóz policyjny.

- Potrafisz mi wybaczyć, Davidzie? - szepnęła. - Potrafisz być ze mną?

- Z tobą i z Laurel. - Pocałował ją w czoło. - Każda chwila z wami to bezcenny dar.

Znowu żyła, znowu krew pulsowała w żyłach normalnym rytmem, znowu mogła oddychać pełną piersią.

- Popełniłam straszny błąd. Źle cię oceniłam. Teraz to rozumiem, Davidzie i wiem, że nigdy, czy byliśmy razem, czy osobno, nie przestałam cię kochać.

Wokół narastało zamieszanie. Pojawili się sąsiedzi, portier kłócił się o coś z jednym z policjantów.

Ale Amanda widziała tylko Davida. Teraz, obok Laurel, był dla niej najważniejszym człowiekiem na świecie. Był mężczyzną, któremu bezgranicznie ufała.

EPILOG

Dwa dni później Amanda siedziała za swoim biurkiem w Empire Bank. Wreszcie wróciła do pracy!

Wokół kręcili się robotnicy, ekipa remontowa usuwała ostatnie ślady po napadzie i niefortunnej akcji policji.

Jeszcze ostatni podpis i Tracy Meyer miała przyznany kredyt w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Do gabinetu zajrzał jeden z robotników.

- Nie będę pani przeszkadzał? Chciałem umieścić nową tabliczkę na drzwiach.

- Nie będzie mi pan przeszkadzał. Wręcz przeciwnie, będę zachwycona.

Wstała zza biurka i stanęła przy drzwiach.

Na nowej tabliczce był napis: „Amanda Fielding - Haines. Prezes”. Czy nie piękne podwójne nazwisko? Lot do Vegas, wizyta u sędziego pokoju, i stali się małżeństwem.

Właśnie jej nowy mąż wchodził do banku razem z Laurel. Amanda nie była pewna, ile będzie trwać to niezmałowane, idealne szczęście. Wieczność to bardzo długo, ale mniej więcej tyle wypadało jej z rachunków.

David wziął ją w ramiona i serdecznie uściskał.

Kto wie, czy specjalnym rozporządzeniem prezesa nie powinna nakazać, żeby pracownicy banku codziennie witali się i żegnali gorącym uściskiem, pomyślała rozmarzona.

- Kocham cię, maleńka - szepnął jej David do ucha.

- Ja też cię kocham. - Uśmiechnęła się szeroko do Laurel. - A jak się miewa nasze małżeństwo?

Laurel zamachała rączkami.

- Gaga, ga, ga.

- Słyszałaś? - ucieszył się David. - Wyraźnie powiedziała „tata”.

- Bardzo zdolne dziecko - przytaknęła Amanda.

- Dyrygowała facetami od przeprowadzki. Jak widać, odziedziczyła po tobie zacięcie do rządzenia.

Uwagę Amandy odwróciło zamieszanie przy głównym wejściu.

Do banku wpadł Bill Chessman.

- Zatrzymać tę kobietę! - huknął do Harry'ego Hoffmana i stanął, prychając ze złości, dopiero przy szczęśliwej trójce Fielding - Hainesów. - Od poniedziałku ściga mnie Elaine Montero i każe sobie

opowiadać o mojej rzekomej znajomości z Jaxem Shafferem - sapła. - Ta kobieta nigdy się nie poddaje.

Uwaga Chessmana przypomniła Amandzie, że Schaffer ciągle przebywa na wolności. Co gorsza, Carrie do tej pory nie dała znaku życia. Amanda mogła mieć tylko nadzieję, że u jej przyjaciółki wszystko w porządku.

- Teraz rozumiem, jakie to okropne podejrzewać kogoś o nie popełnione winy - ciągnął Chessman. - Wybacz mi, Amando.

- Wybaczam.

Spojrzała na Davida. Zdążyli się przekonać, jakim skarbem dla obu stron jest wybaczenie. David uśmiechnął się szeroko.